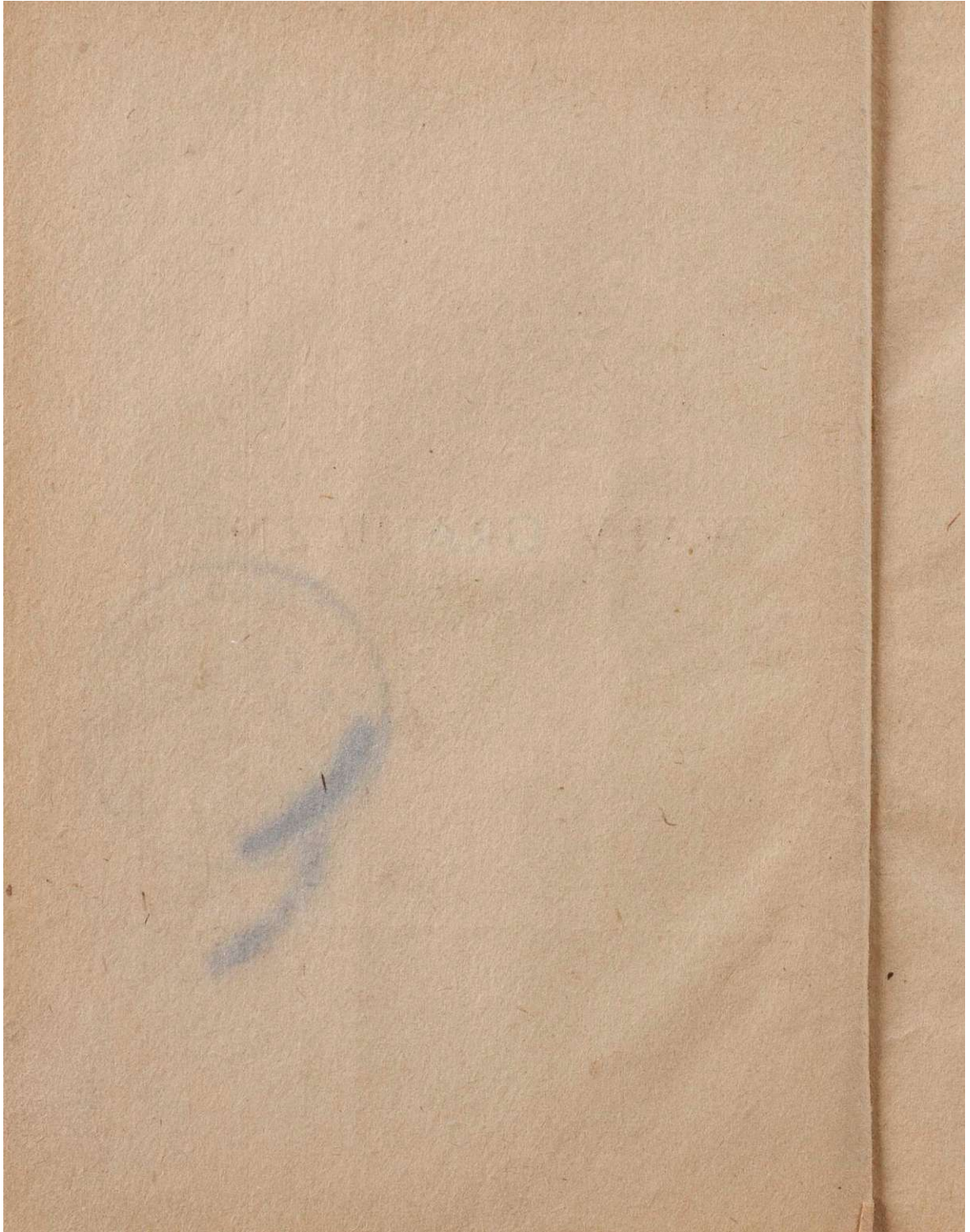


WAŁY GRANICZNE





EDWARD M. WORONIECKI

WAŁY GRANICZNE

OPOWIEŚĆ Z KRESÓW UKRAIŃSKICH



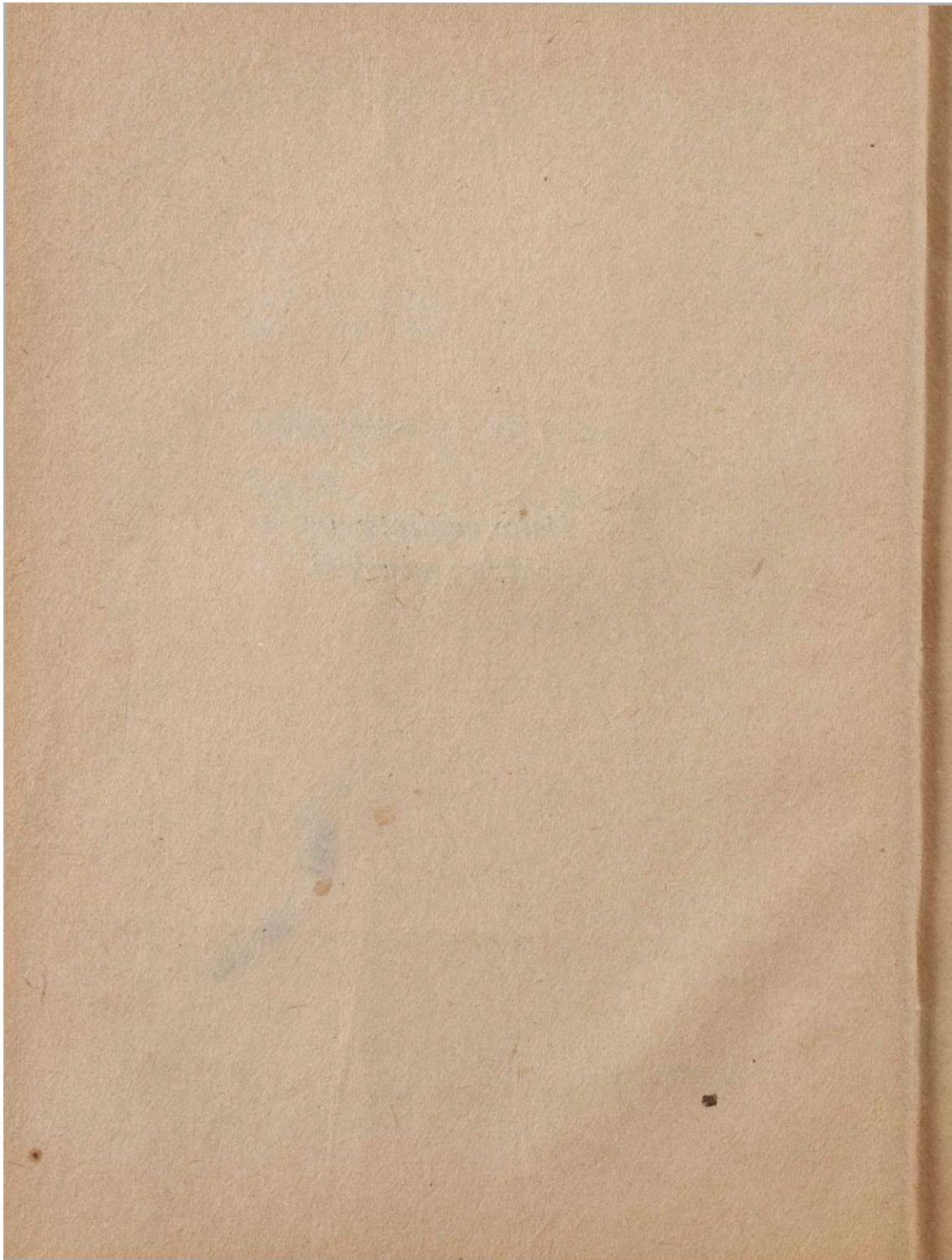
WARSZAWA 1921
INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA”

Centrum Dokumentacji Kultur Pogranicza
OŚRODEK
POGRANICZE CENTRUM KULTUR NARODÓW
ul. Piłsudskiego 37, tel. 189
16-500 SEJN Y
skr. poczt. 15

10847 V. (161) Kancelaria

WYTŁOCZONO W ZAKŁADACH GRAFICZNYCH „BIBLIOTEKI
POLSKIEJ” W BYDGOSZCZY

*Matce najdroższej
hołdzie synowskim.*



I.

Oddawna już utykające na jedną nogę krzesło zachwiało się pod ciężarem wspinającego się chłopca.

„Mamo, mamó!” zawołał Michaś z trwogą, „bo zaraz spadnę! Mamó!”

Krzesło wciąż się chwiało i skrzypiało. Michasiowi wydało się, że już pada, leci, że już spadł i strasznie się potłukł. Że zaś każdego zaboli, gdy z krzesła spadnie na podłogę, więc Michaś ryknął tak potężnym jękiem bólesci., że przybiegła matka, za nią ojciec i zdjęli go czempredzej z krzesła. Rozpytywali, gdzie się uderzył, czy go bardzo boli...

Chłopiec zawodził żałośnie, lecz sam już dobrze nie wiedział, co go boli i czy naprawdę spadł z krzesła. Ojciec, tuląc go do piersi, wymawiał matce brak uwagi: „Niechby sobie i głowę rozwalił, — ani popatrzysz. G@ cię to wszystko obchodzi!”

Matka, nic nie odpowiadając na ten surowy wyrzut, wybiegła z pokoju. Michaś zaniepokojony urwał **swą** gorzką skargę. Żałując widocznie swej porywczosci, ojeie« zapytał znowu, czy się bardzo uderzył.

„Nie,” mruknął niepewnie.

„Toś nie spadł z krzesła?”

„Kie, tato. Tylko krzesło zaczęło skakać podeuona i chciało mnie zrzucić, a ja się przestraszyłem,” tłumaczył się, czując, że jakoś mu grunt ucieka z pod nóg.

/

„Jak-to!” wykrzyknął ojciec z irytacją, „nic ci się jeszcze nie stało i już wrzeszczysz, jak opętany? Myślałem, żeś głowę przetrącił lub nogę złamał. Czemu wrzeszczałeś, mów!” I strąciwszy Michasia z kolan, popchnął go tak, aby musiał patrzeć mu w twarz, pełną gniewu.

„Bo, tatusiu,” ciągnął, połykając łzy z trudem, „krzesło uaprawdę chciało mnie zrzucić. Krzyczałem, żeby nie upaść.”

„Tak? doskonale. Czyli krzyczałeś bez żadnego powodu. A ja matce o ciebie wymówki robię! Kto ci pozwolił wyłazić na krzesło? No? pytałeś kogo?”

„Ja, tatusiu...”

„Co — ja tatusiu! Mama ci pozwoliła? Mów!”

„Nie. Tylko ja chciałem ...zobaczyć, kiedy się gwiazdka pokaże.”

„Jaka gwiazdka znowu,” wołał niecierpliwie ojciec, coraz to spoglądając na drzwi do kuchni, z poza których dolatywały odgłosy tłumionego płaczu.

„Gwiazdka, co —” zaczął chlipać malec, „co pozwalać o wilji siadać, bo ja... bo mama powiedziała, że bez gwiazdki nie wolno, a mnie już brzuszek boli, tak jeść się chce.” I chłopiec rozpłakał się z bolesną rezygnacją, że go nikt nie rozumie, że go brzuszek boli, a jeść mu nie «łają, choć gwiazdka dawno weszła — on już ją widział,

tylko mamusia uie chciała mu wierzyć. Na krzesło się wdrapał, żeby wyrzeć przez okno, bo on maleńki, a krzesło wyższe od niego i z krzesła widać ulicę, domy i niebo z tą gwiazdką, co się jak na złość znowu w obłokach ukryła. A teraz go pewno wybiją za to, że na krzesło wlaźł bez pozwolenia. Niech biją, niech!... I rozżalił się nad sobą, że jest taki maleńki, biedny, i, wtulając głowę w drobne ramionka, zasłaniał rączką twarzyczkę.

„Poczekaj-no. Sprawię ja ci lanie. Będziesz wiedział przynajmniej, dlaczego płacysz. Polezisz mi innym razem na krzesło kulawe, gdy matka kazała ci siedzieć na kanapie, dopóki nie skończy sprzątanania. Poczekaj !” odgrażał się ojciec.

Ratunek nadszedł zupełnie niespodzianie. Weszła matka i szorstko rzuciła: „Ty umiesz tylko krzyczeć na kogoś. Mnie skrzyczałeś, że dziecka nie pilnuję, nie kocham, — teraz sam chłopca dręczysz i gotówbyś wybić, Bóg wie za co. Chodź, synu, i bądź grzeczny...”

Malec przetarł oczy piąstką, wzdychając — Do to nie wypada odrazu przestać płakać : starsi mogą pomyśleć, że to było „udawanie” i naprawdę wybiją — i spojrzała rodziców, którzy stali nasepieni.

Ojciec wybuchnął: „Nigdy wam nie dogodzisz. Dajcie mi raz święty spokój z tymi fochami!” i wzburzony wyszedł, zatrzaskując z hałasem drzwi poza sobą, na dziedziniec — może na ulicę.

Michaś patrzył. Po chwili zastanowienia zrobiło nau się żal ojca. Na podwórzu wicher i mróz, tatuś wyszedł bez kapelusza, bez futra —zmarznie.

„Mamo! gdzie tata poszedł? Ja się boję — uieek tata wróci.”

Ale matka nic nie odpowiedziała. Zagryzała wargi, w oczach kochanych, ciemno-piwnych oczach zawisły na długich rzęsach dwie ciężkie krople łez. Odsunęła Michasia i rzuciła się na kanapę, ukrywając głowę w poduszce. Łkania wstrząsały całym jej ciałem.

Chłopak nie wiedział, co począć. Przybiegł do matki, ciągnął ją za rękę, prosząc, by wstała, by nie płakała więcej. Ale mamusia leżała na kanapie i nie słyszała, czy nie rozumiała jego wołań.

Stał bezradny. Jak się to wszystko stało? — Aha! Tata z mamusią się pogniewali o to, że on na krzesło wyłazł bez pozwolenia. On nie będzie więcej. Ale niech tata wróci, bo na podwórzu zimno. Albo... wilki tatę zjedzą jeszcze! — pomyślał z przerażeniem, — bo przecież w zimie wilki biegają po ulicach i chwytają nieposłuszne dzieci. A może wilki się pomylą i napadną na tatusia!... Coś mu zerwało się w piersi, zdławiło gardło — łzy wyschły w oczach i z dzikim krzykiem „Tato! tato!” Michaś pobiegł do drzwi i wypadł na podwórze.

Mróz ścinał lodowym biczem, zapierał oddech, śnieg tysiącem szpilek wbijał się w źrenice, ślepił je, żgał, aż przesłoniła je mgła, jakby z palących tępych języczków ognia złożona.

Ojca nigdzie nie było. W pustym dziedzińcu z świstem przewalał się wicher. Gwiazdka, nie, całe pułki gwiazd wyległy na niebo. Tajemniczo czerniały ściany starych domków parterowych. Michaś wybiegł na sai*

«odek podwórza. W jęku wichru słyszał wycie zgłodniałej zgrai wilków.

„Pewno brama zamknięta, — wilki się tu nie dostaną,” dodawał sobie otuchy. Przysłonił oczy ręką od śniegu i rozejrzał się dokoła. Serce mu biło tak mocno, że się zdawało, iż lada chwila wyskoczy z piersi.

„Tato! tato!”

Tuż, o kilkanaście kroków od niego wznosiła się ogromna, czarna od drzew góra, zamykająca dziedzinie« od tyłu. Chłopcu przyszło na myśl, że stamtąd właśnie wilki mogłyby się zakraść.

„Tato!” zawołał głośnie.

Michasiowi było zimno i straszno. Mignął przed nim, jak marzenie, ciepły i jasny pokój... i nagle dostrzegł jakąś postać skuloną koło drewnutni.

Może to tatuś zaczyna marznąć! Wahania pierzchły odrazu i całą siłą swych małych nóżek ehłopak po- pędził do drewnutni.

Byle tylko tatuś nie umarł!... kurcz straszego bólu ścisnął serce. —• Jak umarła mała Musia, co już nie wróciła więcej.

Biegł ze łzami, marznięcemi na rzęsach w sople lodowe. Wtem postać się poruszyła i przed Michasie» stanęło jakieś wielkie czarne zwierzę o strasznym, wło- chatym pysku — wilk!

„Tato! tato!” Miohaś uciekał, padał i zrywał się znowu, krzycząc nieprzytomnie.

Na szczęście tatuś, stojący w cieniu koło bramy. j*08łyszał wołanie i skoczył na ratunek Michasia. Małe«

uczepił się kurczowo szyi ojca: Suche łkania wstrząsały drobnem jego ciałkiem. Nie mógł się utulić.

Na progu spotkali matkę, struchlałą o syna i męża. Bzuciła mu się w ramiona. Ojciec, trzymając Michasia jedną ręką, drugą głaskał matkę, przemawiając niby to opryskliwie, a ze wzruszeniem: „No cicho już, cicho. Nie buczcie, utrapione bąki. Cicho.”

Michaś, nieco uspokojony, ześlizgnął się na ziemię. Ojciec przyciskał mamusię do piersi i wciąż ją uciszał, aż Michasiowi serce wezbrało męśldem pobłażaniem i pomyślał sobie, jak nieraz to już słyszał od starszych panów: lit Kkobiety zawsze mają oczy na moloem miejscu.

Maluchny pokoik z paru krzesłami i kanapą w kącie, ze skromną szafą oszkloną pomiędzy drzwiami i oknem — wyglądał dziś szczególnie uroczyście z powodu wybielonych na świeżo ścian i lśniącej czystością podłogi. Koło okna stał duży stół. Z pod białej serwety majaczyły zarysy jakichś pagórków i dolin. Ponętny aromat unosił się nad tym zaczarowanym zakątkiem. Michaś widział oczyma duszy, przenikał brutalną zasłonę serwety, kryjącej wdzięki wonnych bab i kuliszów, wędliny rumiane i kilka butelek z trunkami o cienkich, długich kibiciach.

Chłopiec czekał na święta z niecierpliwością. I oto nareszcie Boże Narodzenie przyszło, raczej ma przyjść jutro. Chrystusik maleńki się narodzi i ucieszy sobą cały świat. Michaś chciał również się cieszyć, lecz jakoś nie umiał oderwać myśli od stołu świątecznego.

Zwłaszcza nęciła go szynka różowa, smakowita i wonna, ach, taka wonna!...

Niestety, przed Bożem Narodzeniem bywa zawsze Wilja, kiedy przez cały dzień nic jeść nie wolno. Nawet jemu nie dano ani mleka, ani chleba z masłem, nic, oprócz przyczerstwiającego obwarzanka, i to dopiero po bardzo energicznych z jego strony naleganiach.

Na myśl o tylu smakołykach nietykalnych do jutra, głód zaatakował chłopca ze wzmożoną zaciekłością. Zakręcił nagle, zaświdrował we wnętrznościach z taką furją, że już niepodobna było dłużej wytrzymać.

Po krótkim wahaniu chłopak skierował się do ojca, który wciąż jeszcze głaskał i pocieszał matkę.

„O, jak długo mama płacze”, przemknęło mu w głowie, „ja dawno przestałem, a ona ciągle płacze. A mówią zawsze, że dorośli nie płaczą”.

„Tato!” zawołał półgłosem.

Nie słyszeli.

„Tato!” powtórzył dobitniej, dotykając ojca ręką.

Nie słyszeli. Zapomnieli o nim.

Hamując uczucie goryczy, szarpnął ostrzej za połę fattuszka: „Mamo!”

A kiedy zdziwieni rodzice obejrzel się dla ofuknięcia go za zuchwałość, zawołał: „Ja chcę jeść!” i szybko skończył dla usprawiedliwienia: „Naprawdę, mamusiu. Brzuszek mnie boli, tak mi się chce jeść.”-

„No, niema rady, Basiu. Trzeba tego smyka nakarmić, inaczej nie da nam spokoju.”

„Tak,” skarżył się malec, „mama mówiła, że bę-

dziemy mieli Wilję zaraz, jak pierwsza gwiazdka się ukaże. Gwiazdek już jest dużo na niebie, a mama ciągle nie daje jeść. Serjo", dodał z obawy, że mu nie uwierzą, tonem przekonania najgłębszego — „gwiazdka mi powiedziała, że wolno już siadać do stołu."

„Patrzcie go, jaki mądrala!" Ojciec przyciągnął go za ucho do siebie i ucałował. „Nakrywaj, Basiu."

Na widok roześmianych twarzy chłopiec poczuł ciepło otuchy, wstępującej do piersi, i dla usunięcia wszelkich wątpliwości powtórzył: „Gwiazdka mi powiedziała, że można już jeść, jeżeli będę grzeczny. A ja będę bardzo grzeczny", szepnął przymilnie.

Za chwilę wszyscy siedzieli przy dużym stole. Stół pod białym obrusem wysłany był świeżem, wonnem sianiem. Tatuś z mamusią łamali się opłatkiem i dali kawałeczek Michasiowi.

„Nie rozsyp okruszyn, broń Boże", ostrzegał ojciec, „bo to wielki grzech". Michaś z szacunkiem spoglądał na tę tajemniczą świętość i, nie bez obawy, ją spożył, pozbierawszy sumiennie wszystkie okruszynki.

Przepyszny barszcz buraczany, pierożki z kapustą, ryba smażona i cudowna słodka „kutja"... Michaś tonął w morzu zachwyceń.

Wszystko dokoła na znak uciechy zaczęło nucić i śpiewać na spółkę z mruczającym samowarem: statki ezyściuchne kiwały doń przyjaźnie głową i przytańcowywały sobie na półkach.

„Tato!" nagle przypomniał sobie Michaś, „a wilk taty

»ie ugryzł?" Nie bez chępliwości dodał: „Pewnie się nastraszył, bo tatuś jak mu da!... A wilk tutaj nie przyjdzie?" wtrącił z lekkim niepokojem, „wilk boi się wchodzić do domów, prawda, tatusiu?"

„Pewnie", przytaknął ojciec z uśmiechem.

Chłopiec uspokojony usiadł wygodniej i słuchał rozmowy rodziców. Piosnka samowara stawała się coraz rażniejszą, coraz weselszą, aż wreszcie zahuczała okropnie, głuszac głosy rodziców. Głowa bardzo ciężyla Mihasiowi, starał się podtrzymać ją rękoma — ani sposób.

„Ja nie chcę spać, tatusiu", obruszył się serdecznie, i wnet, jakby w watę obwinięte słowa matki wpadły gdzieś, zginęły wśród wrzawy samowara i dzwonek saneczek na ulicy.

Michaś rozgniewał się nawet na samowar, że tak krzyczy — spróbował otworzyć powieki. Zobaczył, że tatuś stał się maleńki i taki cieniuchny, jak szpilka, a mamusia — szeroka i też malutka, ale z strasznie okrągłą, pyzată twarzączką...

Chciał się zaśmiać, bo to było naprawdę śmiesznie, ale samowar znowu zawrzeszczał, i, protestując energicznie, że to nie on, — on nie chce spać — że to samowar, Michaś w połowie zdania zasnął kamiennym snem, pełnym błogości i uśmiechów.

III.

Od pamiętnej Wilji upłynął rok.

Michaś otworzył oczy i patrzył ze zdziwieniem. Ktoś widać wstał wcześniej od niego i posprzątał. Wszystko dokoła takie schludne, czyste, wesołe. Przez szybkę małego okienka wślizgnęło się kilka promieni. Czołgały się, skradały, aż jeden wpadł z rozpędu na twarz Michasiowi. Chłopak poruszył się niecierpliwie — promień łaskotał mu powieki i zmuszał oczy do mrużenia się. Spłoszony, uciekł, wdrapał się na krzesło i zaczął się bawić, ciskając na podłogę plamki żłociste przez dziureczki w plecionce siedzenia.

Michaś przyglądał się i rozważał, dlaczego tak jasno się zrobiło w przyciemnej zwykle kuchence... Prawda! dziś święta. Pewno Pan Bóg wystroił cały świat na urodziny swego Syna.

Michaś wiedział, że Pan Bóg jest bardzo jbtary, mieszka gdzieś wysoko w niebie i wszystko może. Chłopiec myślał o Bogu z szacunkiem i troszkę się Go bał. To przecież nie żarty — Pan Bóg widzi każdy grzech i wnet zań karze.

Bo któż inny mógłby powiedzieć mamusi, że Michaś pewnego razu, gdy nikogo w pokoju nie było, upił z dzbanka odrobinę mleka i dolał wody dla niepoznaki; albo, że zjadł z koszyczka trzy śliwki. Matka zajrzała do koszyczka, poruszyła parę razy wargami, nic nie mówiąc, zaczęła patrzeć surowo na Michasia. On tego bardzo nie lubi — wydaje się mu wtedy, że ma na czole wypisane przewinienia.

Odwrócił się — niby nic — i chciał odejść, ale matka powiedziała: „Patrz mi prosto w oczy”.

I musiał patrzeć.

„Mamusi, to nie ja, to Burek wziął śliwkę i zjadł”, tłumaczył, żeby uprzedzić pytanie.

Tymczasem matka pokiwała boleśnie głową — chłopiec Wolałby, żeby go raczej obito — i z smutnym wyrzutem w dobrych, ciemno-piwnych oczach rzekła: „Nie to mnie gniewa, żeś zjadł śliwki, ale to, że się z tern ukrywasz. „Więc mój syn nauczył się kłamać, jak ulicznicy? A myślałam, że on kocha mamę i zawsze jej mówi prawdę. Wiesz przecie, że nicbym ci nie zrobiła, gdybyś się przyznał”.

Pod tym względem miał Michaś coprawda pewne wątpliwości na podstawie dawnych doświadczeń, ale mamusi tak żałośnie oczy ściemniały i łzy się W nich zakreściły, — że chłopcu popsuło to humor na dobrą godzinę. Czuł się wówczas straszonym winowajcą i rozumiał całą ohydę swego występku. — Widocznie Pan Bóg rzeczy-» wiście wie wszystko, szczególnie zaś pilnuje, aby mali chłopcy nie kłamali.

Pana Boga wyobrażał sobie podobnym do p. Kamińskiego, tylko z dłuższą jeszcze siwą brodą, z ognistym, groźnym spojrzeniem z pod krzaczastych brwi. Pan Bóg trzymał w grubej i silnej prawicy kulę ziemską. Pan Jezus Chrystus siedział obok niego, Przenajświętsza Panna Maria siedziała po drugiej stronie, a z góry unosił się biały gołąbek — Duch święty.

Chłopiec nieraz łamał sobie głowę nad tem, dlaczego Duch święty ma postać gołębia i dlaczego unosi się ciągle w powietrzu. Ofuknięto go, gdy spróbował o to zapytać.

„To jest tajemnica boska”.

„A co to jest tajemnica boska?”

Dostał lekkiego klapsa i odprawiono go z kwitkiem. Dziś jednak Michaś nie medytował długo nad trudnym tem zagadnieniem. Doczekał się nareszcie tych świąt, po których tyle sobie obiecywał. Zerwał się i, wciągnawszy pończoszki na nogi, pobiegł do okna.

Dziedziniec cały wyglądał, jak stół odświętny, podleczony oślepiąco białym obrusem śniegu. Z powodu bardzo Wczesnej godziny nie znać na nim było ani jednej stopy ludzkiej, bielą swą niepokalaną ukrył, osłonił nędzę zabłoconego zwykle, wyboistego podwórka. Na dachach zadymka porozścielała puszyste swe futra. Tęczowe brylanty sopli lodowych obramiały nierówną, postrzępioną wiekiem linję gzymsów. Świat cały dziwnie poweselał i uśmiechał się do słońca, które w nocy Panu Bogu piece w raju opala, a w dzień ziemię ogrzewa. Chowa się, gdy się zmęczy i wtedy jest zimno na świecie.

Podwórko nęciło go nielada, lecz ciekawość przemogła. Michaś otworzył po cichu drzwi, zajrzał... Nie wierzył własnym oczom: przymykał je, mrugał... Zjawa nie znikwała, owszem występowała jeszcze wyraźniej, jeszcze wspanialej.

Na stole stała przepysznie wystrojona choinka. Oplatały ją siatką barwną łańcuszki z kolorowego papieru. Tam i sam huśtały się pukawki, pierniki, jabłuszka rumiane i nawet kilka złocistych pomarańcz. Zpośród zielonego igliwia choinki wyglądały kokieteryjnie serduszka z marmoladek: czerwone, liljowe i żółte. Do grubszych gałązek przywiązane były ładne latarki z malutkimi świeczkami w środku. Na samym wierzchołku błyszczała duża srebrna gwiazda. Pod choinką leżał śliczny kask z tektury brązowej.

Michaś patrzył w zachwycie, dotknął zabawek, pierników, wreszcie w porywie niepokonanym wojennego zapału popędził do łóżka matki i zaczął bębnić po kołdrze.

„Co się stało V przeraziła się, przecierając rozspane oczy.

„Mamusiu! mam kask! jestem generał!”

Uciecha malca była tak wielką, że nawet niezadowolone ojca, którego obudził, nie zepsuło mu humoru. Potrębując sobie buzią, maszerował po pokoju dokoła choinki.

Mimo fukań i surowej miny, rodzice cieszyli się z radości chłopca. Nalegał, by dano jeść, skarżył się na głód, choć go właściwie nie czuł. W rzeczywistości był okropnie ciekawy, jak będą mu smakowały te rzadkie świą-

2*

teezne specjały. Kazał sobie nałożyć wszystkiego i dużo i zabrał się z impetem do jedzenia. Po paru kąskach przełkniętych utknął. Smakowało mu: wędliny były jędrne, soczyste, baby słodkie i pulchne, cóż, kiedy apetyt. gdzieś przepadł bez śladu.

Z żalem odszedł od stołu. Trapiły go gorzkie refleksje. Czeka człowiek, czeka na te święta, cieszy się, że będzie spożywał różne wspaniałości, a później, jak na złość, nic a nic mu się jeść nie chce. „Kto tak urządził gubił się Michaś w domys ach. „Czemu Pan Bóg, co wszystko może, nie zrobi i tak, aby ludzie mieli apetyt, gdy mają coś dobrego do jedzenia, a żeby nie potrzebowali jeść, gdy nie mają pieniędzy? Pewno, że tak byłoby najlepiej”.

Trzeba było jednak umyć się i ubrać. Michaś podał się bez szemrania tej nieco dokuczliwej operacji. Wyszorowawszy mu buzię, szyję i plecy, matka wytarła go grubym ręcznikiem mocno do suchości, włożyła mu czystą bieliznę i wreszcie wyjęła tajemnicze zawiniątko z szafy. Zawiniątko nadeszło pocztą od dziadunia i bardzo intrygowało chłopca. Matka schowała je do szafy, przyrzekając pokazać ją na święta, o ile Michaś będzie grzeczny. I teraz oto przyszła niecierpliwie oczekiwana godzina, cudu.

Paczka tajemnicza zawierała całe ubranie arnauckie. Michaś z zawodem głąskał ręką miękkiej jedwab materji. Marzył, że w paczce będzie strzelba i szabla, albo duże pudełko z zabawkami. Do strojów nowych odnosił się

'A męską pogardą — tylko przeszkadzają: ani pobiec, ani się położyć, ani usiąść swobodnie —• zaraz się coś

podrze, splami, popęka... A później wyrzuty i awantury w domu.

Matka, rozgoryczona chybieniem efektu, ubierała chłopca poszturchując go i przymawiając, że jest nieznośnym nudziarą, który nic się nie rozumie na dobrych rzeczach. Michaś nie raczył odpowiadać przez uprzejmość, gdyż właśnie o guście starszych był zdania nader sceptycznego. To też biernie poddawał się niecierpliwym rękonom matki. Z rezygnacją dłuwał paluszkami w nosie, co bywa zajęciem równie interesującym, jak i pomocnym w myśleniu.

Po skończeniu toalety matka cofnęła się o parę kroków dla oceny wrażenia. Wróciwszy do chłopca, łagodnie odsunęła rączkę jego od nosa — innym razem byłby dostał „po łapie” i wysłuchał dłuższej nauki moralnej — i mocno go ucałowała. Michaś, cokolwiek zaskoczony, otworzył szeroko buzię. Matka zawołała ojca.

Ojciec mruknął: „Et, jaki tam ładny”, ale mówił to jakoś bez przekonania. Matka się obruszyła, ściągnęła chłopca z kanapy i postawiła go przed lustrem na dziecinnym stołku, bardzo wysokim i chwiejnym. Stołek skrzypiał i Michaś się bał, że upadnie.

„No, przypatrz się, czy nie ładny!”

„Ładny, babusiu, ładny,” zaśmiał się ojciec, klepiąc syna po ramieniu.

Chłopak rzucił od niechcienia okiem do lustra i osłupiał. W lustrze stał on, Michaś, ale jakże inny!...

Szarawarki karmazynowe, wpuszczone do czerwonych bucików z cholewkami, biała kamizelka z czerwone»} wypustkami, — na tem kapota czerwona też w białe

fałdki... i z patronami, prawdziwymi patronami w specjalnych kieszonkach na piersi. Kapota z sztywnym kołnierzem, rozpięta z przodu, nad kapotą pełna, okrągła buzia zsiwemi, błyszczącymi ślepkami; czoła prawie nie znać, bo czapka zjechała trochę na czoło i na bakier — biała atłasowa czapka, jak to bywają czapki z futra, — a nad czapką wysoka kita karmazynowa. Z pod czapki wysunęło się kilka kręcących się jasno brązowych pukli. W całości zjawisko niezwykle, rzadkie i piękne — Michaś arnauta!

Roziskrzyły mu się oczy, zaśmiały się usta. Z gwałtownym pośpiechem położył się brzuszkiem na stołek i, trzymając się ostro za brzeżek, zsuwał się pomału, próbując roztropnie nóżką, czy można już zeskoczyć bez wyraźnego niebezpieczeństwa dla życia. Chłopiec ześliźnął się na podłogę bez przygód i, korzystając z nieuwagi rodziców, — ojciec chciał matkę pocałować, matka niby nie chciała i oboje byli bardzo tem zajęci — przemknął się chyłkiem do drzwi. Już mu się udało otworzyć drzwi pocichu, gdy wtem przez pośpiech puścił klamkę i klamka szczęknęła z hałasem o zatrask. Michaś chciał uciekać, nacisnął drzwi, nawpół je otworzył, ale ojciec złapał go za połę kapoty i przyciągnął z powrotem.

„Dokąd to, panie kawalerze?”

„Ja nic, ja muszę wyjść, niech tata pozwoli,” błagał chłopiec. Sprawa była jednak przegrana. (Ile już mu złego w życiu narobiła ta klamka!) ...Michaś bowiem chciał wybiec na podwórze, żeby się pokazać

chłopcom. Napewno nigdy, nie widzieli arnautów — dopierożby się dziwili i zazdrościli. I Koluś nie przechwalałby się więcej swojemi imieninami, kiedy to u jego* rodziców zbiera się dużo gości i wszyscy przynoszą mu różne podarunki. Koluś zawsze pokpiwa z Michasia, że on nie ma imienin, bo jego rodzice są biedni i nie mają za co urządzić gościom przyjęcia. Michaś zwykle odpowiadał z miną lekceważącą, że jego rodzice mogliby urządzić sto takich imienin — tylko nie chcą, ponieważ on jest za mały.

Naprawdę go to jednak bardzo bolało. Pewnego* razu zapytał ojca, kiedy będą jego imieniny. Ojciec* sarknął: „Odczep się, co za wymysły znowu”. Michaś nalegał, przytaczając na dowód Kulusia i Kostka, którzy co roku mieli imieniny. Ojciec się nasepił — czoło mu się poryło «w bruzdy, niebieskie oczy zaszklily się, jakby kt* wody w nie nalał. Milczał zamyślony i czegoś smutny.

Michaś trącił go ręką: „Tatusiu?”

I ojciec zwolna, głaszcząc go po nastroszonej czuprynie, mówił, jakby do kogoś zdaleka: „Widzisz, synu, nie mogę ci teraz sprawić imienin. Wiesz, że nie jesteśmy bogaci, — może później kiedyś.” I łagodnie popchnął chłopca, od siebie do kąta, w którym się zwykle bawił.

Michaś nieraz medytował, co to znaczy, że jedni ludzie są bogaci, a inni biedni, i dlaczego tak jest na świecie. Teraz wszakże przyszła chwila, że i on był bogaty, że miał strój arnaucki, którego nikt z chłopców na podwórzu nawet nie oglądał. Teraz byłby pokazał im i Ko-

lusiowi, że jego rodzice nie są gorsi, że on też ma dziadunia, co mu przysyła takie rzadkie i drogie podarki... A ojciec, jak na złość, nie puszcza go na podwórze. — Nadaśał się, połykając gorycz zawodu.

Sprzątanie skończono. Ojciec włożył surdut, wziął czysty kołnierzyk, nowy krawat. Mamusia poprawiła mu szpilkę w krawacie, pomogła chłopcu wciągnąć stare futerko, trochę przyciasne w ramionach., i żartobliwie wypędziła ojca z synem do drzwi, — żeby nie zawadzali.

Michaś rozpiął był futerko, żeby widać było czerwoną kapotę arnaucką, ale ojciec kazał się zapiąć: „Jeszcze się przeziębisz.” Czapkę z kitą zostawiono w domu — musiał wziąć starą, ciepłą... Wszystkie plany się rozbiły. Obrażony i ponury chłopiec szedł, a raczej plątał się koło nóg ojca, z trudem się wydostając z głębokich zasp śniegu. Na zagadywania ojca odpowiadał półgębkiem, dla znaczenia w ten sposób protestu.

„Co ci jest, synu?”

„Nic!”

„Czemuś taki nierozmowny?”

„No, bo mi zimno, a tata tylko ciągle: chodź i chodź do kościoła. Nawet w święta odpocząć nie można.”

„Cicho mi bądź!” obruszył się ojciec. „Takiś leniuch, że świat drugiego takiego nie widział. Żyd idzie do synagogi, turek do swego meczetu, a ty, chrześcijanin, katolik, nie chcesz się modlić w takie wielkie święto. Wstydzilibyś się nawet mówić o tem.”

Michaś milczał, lecz wszystko w nim wrzało. „Cóż, że jestem katolik, to mi nie wolno pobawić się troszkę? Będę chcedził do kościoła, jak będę duży!”

X włókł się coraz ospałej i wolniej, roztrącając noskiem bucika zasy pyłyste, aż się za cholewki nasypało. Śnieg topniał i było mu coraz zimniej w nogi.

„Niechaj zachoruję! Jeśli tatuś taki — to dobrze. A mama jeszcze mówi, że on uparty. A tatuś nie uparty? Nie wszystko mu jedno, czy Michaś jest co niedziela w kościele, czy nie jest? Inni rodzice kupują dzieciom zabawki. A jemu nic nie kupują. Gdzież tu sprawiedliwość?... I Michaś zatrzymał się przed wystawą cukierni.

Patrzył z podziwem na tysiączne gatunki ciastek — pewno okropnie smaczych — na torty, ubrane owocami i figuynkami z czekolady, oblane słodkim lukrem, na słoiki różnobarwne cukierków i marmoladek.

„Szczęśliwi są bogaci ludzie. Gdyby on miał pieniądze, zarazby kupił moc ciastek i zjadł z setkę conajmniej. Poprosić chyba tatę?” Machnął ręką. Nic z tego nie będzie. Pogrążył się w zadumie nad tem, jakie ciastka są najlepsze i jakieby wybrał, gdyby mu to zaproponowano.

Przypomniała mu rzeczywistość twarda dłoń ojca, który, zauważywszy nieobecność syna, wrócił po zbiega. Schwycił go za ramię i ciągnął za sobą z taką pasją, że Michaś musiał biec za nim, żeby nadążyć.

„Tatusiu, ja nie mogę tak prędko, bo mi zaraz bucik spadnie. I majteczki się rozpięły. Tata jest duży, a ja —

mam małe nóżki i mogę umrzeć, jak Musia, jeżeli będę biegł, biegł cały czas."

„Nie zostawaj Wtyle. Ile ci razy mam powtarzać? Innym razem nie tak oberwiesz."

Spojrząwszy jednak na twarzyczkę zaczerwienioną i zacięte w gniewny łuk brewki nad źrenicą pełną łez powstrzymywanych, zwolnił znacznie kroku.

„Natrzyj uszy, uważaj żebyś ich. nie odmroził", niepokoił się ojciec.

„Tak," myślał Michaś z goryczą, „a jeżeli odmrozę, czyja będzie wina?"

Natarłszy synowi uszy, aż się paliły, jak ogień — Michaś był przekonany, że zdarto z nich skórę żywcem — ojciec rozpoczął naukę moralną:

„Każdy katolik powinien chodzić do kościoła i modlić się, aby mu Bóg grzechy odpuścił i pomógł w jego sprawach. Pan Bóg wszystko może i jest dobry, tylko nie trzeba go obrażać grzechami."

„A czemu Pan Bóg nie zrobił tak, żeby ludzie nie grzeszyli, tatusiu?"

„Co za głupie pytania! Słuchaj lepiej, co ci mówię. Pan Bóg się gniewa na tych, co nie chodzą do kościoła i ciężko ich karze."

„Tato," przypomniał Michaś, „a co to jest grzech?"

Po chwili zastanowienia ojciec z uśmiechem zadowolenia objaśnił: „Grzech dla dorosłych — to, jeżeli nie słuchają Pana Boga, a dla dzieci, jeśli nie słuchają starszych."

„Tato, a czy to grzech, jeżeli dzieci palą?"

„Naturalnie, grzech.”

i . . . A czemu tatuś pali?”

Ojciec urwał i nagle się rozgniewał. „Głupiś! starszym s wolno palić. Knocie jeden! Będzie mię uczył, co mi wolno, a czego nie wolno! Masz milczeć i robić, co ci każą, a nie myśleć twym głupim rozumem. ; Będzie dosyć czasu, gdy dorośniesz.

Ojciec mówił jeszcze na ten temat z pewną irytacją, I lecz Michaś już go nie słuchał. Zanosił się na długie morały, które go zawsze nudziły... Dziwni są ci starsi: opowiadają coś, tłumaczą — pytaj, jak nie rozumiesz. I A jeżeli zapytasz, złością się i krzyczą, żeby milczeć. Zawsze źli, niczem im nie dogodzisz. Jedyna rada — nie ; słuchać i myśleć o czym innym. Chłopcy z dziedzińca pewno teraz babę lepią ze śniegu lub robią „ślady.” — Żółć poruszyła się w nim na myśl, że nie weźmie w tem j udziałem

Na czystym pokrowcu śnieżnym, nietkniętym jeszcze żadną stopą ludzką, stawia się mocno nogę, a później | ostrożnie unosi się ją do góry tak, żeby nie obsypać śniegu z boku. Broń Boże powłóczyć nogą — Wszystkoby się zepsuło. A gdy się już narobi dosyć „śladów”, każdy opowiada, czyje to są ślady: niedźwiedzia, rozbójnika, dzikiego człowieka — i wszyscy zazdroszczą temu, kto umie najładniej robić „ślady”.

Gdy Michaś wróci, będzie już zapóźno. Chłopcy wydeptą całe podwórze, nie zostawią ani jednego „czystego” miejsca.

„Nie słuchasz, co ci mówię?" zabrzmiał złowieszczo głos ojca.

„Słucham, tatusiu," zmieszał się chłopiec, wyrwany z marzeń.

„Powtórz, co mówiłem."

„Tato mówił ...o grzechu."

„O grzechu?"

„Tak," poprawiał się chłopak pośpiesznie „...i o kościele."

„Cóż powiedziałem o kościele? no?"

„Że trzeba chodzić do kościoła i słuchać rodziców," zgadywał Michaś, zadzierając główkę i usiłując dopatrzeć się z wyrazu twarzy ojca, czy trafił w sedno.

Ojciec spojrzał podejrzliwie na malca, zastanawiając się, czy aby nie zmyślał. Ale, wkońcu, istotnie mówił o potrzebie posłuszeństwa i uczęszczania do kościoła. Rzekł tedy surowo: „Pamiętaj! Bo odrazu zobaczę, czy kłamiesz. Zresztą i Pan Bóg będzie wiedział i grzech ten zapisze."

Michaś odetchnął. Boga łatwiej przebłagać. Bćci nigdy nie bije chłopczyków. Gorzej, jeżeli tata się domyśli. Wówczas, jak nic, obrywa się kilka tęgich klapsów.

Usiłował skupić uwagę — daremnie. Po chwili myślał już z roztargnieniem nad tem, dlaczego tatuś chodzi do kościoła, choć mu nikt nie każe, zamiast bawić się na podwórzu.

III.

Przed kościołem mrowiły się tłumy. Głos dzwonów płynął w czystym zimowym powietrzu, krzyżując się z radosnym gwarem ciżby, ze skrzypieniem płozów i z turlikiem uciesznym dzwoneczków przy sankach.

Michaś zawsze podziwiał ogrom świątyni, wznoszącej się nad rozległym placem, podziwiał kolumnadę nad wysokimi schodami, ciężką, baniastą kopułę pośrodku. Kościół nazewnątrz pomalowany był na brudno-żółty kolor.

Ojciec przecisnął się do środka głównej nawy, prowadząc syna za rączkę. Zatrzymali się na uboczu koło ambony, opartej o jeden z potężnych filarów środkowych.

Michaś stał grzecznie i rozglądał się po dobrze sobie znanym gmachu. Pobożni przybywali coraz gromadniej. Szept przyciszonych rozmów i szelest otrzepywanych z śniegu sukni zagłuszał i mącił inne hałasy. Czasem rozlegało się donośne stukanie po podłodze i rozmowy przycichały na mgnienie. Michaś z szacunkiem spoglądał na szwajcara w pięknym czarnym uniformie z srebrnymi wyłogami, który stukając laską, zakończoną grubą «ałą z mosiądza, przywoływał do porządku rozmawiających

zbyt głośno. Dobrzeby to było zostać szwajcarem i nosić taką laskę.

Odezwały się kilku basów emi nutami organy, ksiądz wychodził ze mszą, chudy, wysoki, z ornatem złocistym na piersi, w asyście grona ministrantów w białutkich komeżkach.

Przeciągły, donośny głos księdza zawibrował w kościele — organy i chór odpowiedziały. Msza się zaczęła. Ojciec ukląkł i zatonął w modlitwie. Chłopak stał obok, przyciskając czapkę do piersi i przestępując z jednej nóżki na drugą. Muzykę i śpiew bardzo lubił. Gorzej było z kazaniem. Michaś niewiele co rozumiał i trochę się nudził. Ksiądz opowiadał dużo o grzechach i pokusie, o karach piekielnych i czyśćcu. Czasem wznosił głos do krzyku, czasem szeptem prawie opisywał szczęśliwości rajy i nagrody niebieskiej dla ludzi cnotliwych.

Chłopak wydziwić się nie mógł sile głosu księdza: dla rozrywki próbował zgadywać, czy za chwilę wyciągnie ręce do stropu świątyni, czy też ciśnie je gestem grożącym na słuchaczy. Z szczerą zazdrością spoglądał na wybrańców losu, siedzących wygodnie w ławkach i czytających z ładnie oprawnych książeczek.

W drugiej części mszy organy przeważnie milczały, ksiądz przy ołtarzu recytował coś jednostajnie w jakimś dziwnym, niezrozumiałym języku. Znużenie ogarniało rzeszę wiernych.

Obok tatusia stał staruszek o małej, jak jabłko pieczone, pomarszczonej twarzyczce, z kresą głęboką

przez cały lewy policzek. Zasługiwało na uwagę i to, że brakowało mu kawałka ucha. Michaś oddawna już go obserwował, usiłując odgadnąć przyczynę tych niedokładności. Całą czaszkę starca obejmowała potężna łysina. Dwa długie sznureczki siwych wąsów z pod cienkiego nosa, zakrzywionego, jak sztych szabli, zwisały daleko poza podbródek maleńki i zadarty do góry. Głęboko ukryta pod siwą strzechą brwi siedziała para żółto-zielonkawych wypłowiałych doszczętnie oczu. W jednym z nich kręciła się ustawicznie łezka mętna, jak opał.

v

Starowina stał zgarbiony i, żując wargami, szeptał — pewno słowa modlitwy — aż, rozemdlony ciepłym, parnym oddechem tłumu, zadrzemał. Lekkie chrapanie wyrwało się z napół otwartych ust... Wtem czapka z twardym daszkiem, którą staruszek trzymał w ręku, zwolniona z słabo sprzęgniętych śpiących palców, spadła z łoskotem na posadzkę. Michaś drgnął i obejrzał się. Wszyscy patrzyli na staruszkę, jedni z uśmiechem, drudzy, marszcząc brwi z wyrzutem.

Biedak, zażenowany, mrugał żałośnie rzadkimi rzęsami. Łza wylała się z pod powieki bladą niteczką po wyżółkłej skórze policzka, zatrzymując się w wyżobieniach zmarszczek. Michaś z początku śmiał się, jak inni, lecz po chwili zrobiło mu się żal staruszkę. Ten, coraz bardziej zmieszany, schylił się i macał niedołączną, trzęsącą się ręką po posadzce, usiłując zgarnąć czapkę.

Michaś chciał mu dopomóc, gdy nagle ojciec, wciąż rozmodlony żarliwie, podniósł i podał czapkę staruszkowi.

Staruszek ujął ją czepkim chwytem drżących, kościstych paluchów i szepnął: „Dzię-ku-u-ję ci... młodzień...cze. Niech ci Bóg... pobłogosławi.” I długo jeszcze kiwał starą głową rozechwianą na cienkiej szyi, zupełnie jak chińskie lalki z porcelany, które Michaś widział w dużym sklepie.

Chłopiec, niewiadomo dlaczego, miał ochotę porwać ojca za rękę i pocałować. Rzucił na sąsiadów hardem okiem, lecz dawni śmieszkowie, widocznie zawstydzeni, odwracali wzrok lub usilnie szeptali modlitwy. Jakiś czas Michaś rozkoszował się niejasnym odczuciem, że ojciec postąpił lepiej i piękniej od tych, co się naigrawali z niedołęstwa starości. Wkrótce jednak uwaga się znużyła i wróciła nuda' kaśliwa, dręcząca, że rady .sobie dać nie można... Trzykrotnie zabrzmiały dzwonki, — wszyscy uklękli, chyląc nisko głowy.

„Klęknij”, szepnął ojciec.

Michaś się zawahał: „Kiedy posadzka, tatusiu, bardzo brudna.”

„Zaraz mi klęknij, skoro ci mówię!” syknął ojciec.

Chłopak zastosował się z irytacją do rozkazu, mrucząc sobie pod nosem: „Tak, w nowym ubraniu — na brudną posadzkę. A co mama powie? Dobrze. Ale to nie moja wina, jeżeli plamy będą. Owszem, niech będą. Powiem, że mi tatuś kazał.”

Ukląkł, podkładając starannie poły futerka, żeby nie zawalać szarawarek arnauckich.

Po srebrzystym, wielokrotnym trylu dzwonek dłuższa chwila ciszy... głucho brzmienie organów... krótkie

podzwonne... Szmer ulgi przeleciał przez kościół. Szurgano nogami, wstawano.

Michaś też chciał wstać, ale ojciec go zatrzymał: „Kłęcz i módl się.”

I musiał pozostać na zeszywniałych, zbolałych kolanach, w które nawet przez futerko przenikał ziąb wilgotny z kamiennej posadzki. Odmawiał z pamięci modlitwy jakie umiał. Mówił: „Panie Boże, daj zdrowie mamusi, tatusiowi, Michasiowi i wszystkim dobrym ludziom”. Komponował trochę: „Daj, Boże, tatusiowi dużo pieniędzy i żebym prędko był starszy.”

Nieśmiało zaczepił ojca: „Tato, ja wstanę, bo więcej nie umiem modlitew.”

„Nie”.

Po chwili: „Tato, kiedy mnie nóżki bardzo bolą!”

Odpowiedź bezlitosna: „Kłęcz, módl się jeszcze, jak umiesz.”

Chłopak nie śmiał znowu przerywać ojcu; z westchnieniem bolesnej rezygnacji rozsunał kolana i usiadł, jak mógł najwygodniej, na piętach.

W pobliżu kłęczała jakaś „gruba pani”, o twarzy dobrodusznej, rozlanej, z małymi groszkami piwnych oczu pod czołem wążuchnem. Grubej pani było gorąco, zsunęła więc z ramion długie, staroświeckie futro, odsłaniając szeroką spadzistość pleców, nakrytą koronką w duże oczka.

Chłopak przypatrywał się nie bez sympatii jej tęgiej, niezbyt kształtnej postaci, gdy wtem dojrzał na kołnierzu jej futra jakąś dziwną plamkę.

Plamka ginęła w puszystych kotach kołnierza i znowu się pojawiała, wędrując niezmordowanie w kierunku pleców swej właścicielki. Chłopak śledził ją z coraz większym zainteresowaniem, zapominając nawet o bólu w kolanach. Przez jakiś czas plamka, czarna i podłużna, podobna do maluchnego listka, spoczywała, rozważając widocznie, dokąd ma wyruszyć. Raz i drugi zboczyła w prawo czy w lewo, wkońcu zdecydowała się i z energią popęzła naprzód. Michaś z zapartym tchem oczekiwał, kiedy plamka przedostanie się na suknię. Plamka przeczołgała się przez grzbiet futra i znikła bez śladu.

Chłopcu znowu zaczynało się nudzić. W kościele było duszno. Przykry ziąb sącył się w zbolące kolana. Szmer modlitewny ustawał, zato pokaszliwania, westchnienia i szurgania nogami wzrastały z każdym kwadransiem.

Michaś spojrzał przypadkiem na grubą panią i isłderki śmiechu trysnęły z siwych, bystrych źrenic. Plamka wy dostała się na suknię. Na białym tle koronki wybornie ją było widać. Posuwała się zwolna, zapadając się w oczka koronki i gramoląc z nich z trudem. Wysiłki pękatej plamki były nad wyraz pocieszne. Gruba pani czuła, że coś się święci niedobrego; od czasu do czasu poruszyła plecyma, raz nawet podrapała się ostrożnie.

Michaś bawił się świetnie. Cieszył się, gdy plamka wpadała do oczka koronki, bezradnie macając dokoła nóżkami i główką, irytował się, gdy trafiała na obrębienie i podróżowała bez przygód. Gruba pani coraz to się wzdrygała, a głośne westchnienia świadczyły o jej zaniepokojeniu. Michaś się troszkę nad nią litował, wolałby,

żeby plamka pełzała po plecach starej „jędzy”, która klęczała tuż obok, rzucając z pod czarnego czepka złe spojrzenia na wszystkich sąsiadów. Wicońcu jednak bawił się znakomicie. Nie ukrywał roześmianej twarzy, gdyż i inni wraz z nim oddawna już obserwowali pielgrzymkę plamki. Pragnął podzielić się swą wesołością z ojcem. Z głośnym śmiechem targnął go za rękaw, wołając: „Tato! proszę patrzeć!”

Ojciec spojrział i nagle zmarszczył brwi z takim gniewem, iż Michaś, z uczuciem, że popełnił straszną zbrodnię, przestał się śmiać i wyprosfował na kolanach. Spłonął cały gorącym rumieńcem, ponieważ kilka osób obejrzało się na jego wołanie, a „jędza” syknęła wyraźnie: „Phi, moskalczuk. Poco takiego do kościoła prowadzą”.

Michaś nie wiedział, co to znaczy, lecz odczuł obrazę. Spojrział na ojca — słyszał, napewno słyszał, ale udał, że nie zwraca uwagi i bardziej jeszcze zatopił się w swym złotym ołtarzyku. Michaś popatrzył wyzywająco na jędzę, aby nie myślała, że się jej przestraszył. Jędza nieraz zwracała nań złe czarne oczy. Krucze brwi jaszczurki wiły się niespokojnie nad żółtym płomykiem jej źrenic, blade, sinawe wargi żuły coś ze złością i mamrotały. W głębi duszy chłopiec się jej bał, choć nigdyby się nie był przyznał do tego.

Ksiądz przy ołtarzu wznosił wysoko ręce, z szumem powstali z kolan pobożni, nawet tatuś, a za nim cichutko i Michaś. Wyciągając dziwacznie głos, ksiądz zaintonował: „I-i-i-dźcie-e-e, insza-a... jest!” co znaczyło, że wolno

iść do domu. Organy zaryczały potężnym basem, wszyscy lawą ruszyli do drzwi, popychając się i szturchając. Michaś lubił pasjami przedzierać się przez zwarty tłum, ale ojciec rzadko na to pozwalał. Trzeba było przeczekać pierwszą falę pobożnych.

Dzwony na wieży huśtały się i wesoło bimbały. Słońce świeciło, śnieg skrzył się brylantami. Michaś wolałby jaknajprędzej iść do domu, ale ojciec spotkał znajomych i zagadał się z nimi. Znajomi prosili, żeby tatuś koniecznie zaraz do nich wstąpił. Ojciec wykręcał się, — wreszcie się zgodził: „tylko malca odprawdę.”

Po drodze rozmawiano o interesach, pogodzie i dzieciach. Michaś był głodny i nóżki go bardzo bolały. Co chwila zostawał w tyle —• bębnił po parkanach, piastką otrząsał kity śniegu z krzaków przydrożnych. Wówczas ojciec podpędzał go, strofował, że grzeczni chłopcy idą przy starszych i słuchają, co starsi mówią, bo to zawsze jest dla nich z pożytkiem.

Michaś puszczał uwagi te mimo uszu. Co tam wogóle starsi wiedzą o chłopczykach, nawet grzecznych. Myślą, że to ciekawe... „a czy prowizje podrożeją, czy mrozy zelżą, czy drzewo opałowe będzie tańsze”. Chłopcy, jak Michaś, tysiąc rzeczy ważniejszych mają na głowie. Przypomniał sobie jędzę i jakaś obraza poruszyła się w nim znowu.

„Tato,” przerwał gawędę starszych.

„No?”

„Tato, dlaczego mnie ta czarna baba nazwała moskalczukiem?”

„Kiedy?”

„A w kościele.”

„Boś się do mnie odezwał po rosyjsku.”

„A czy nie wolno tak mówić?”

„Wolno, ale nie w kościele.”

„Czemu, tatusiu?”

„Do kościoła chodzą tylko polacy i tam się mówi w}dajcznie po polsku.”

„A czemu polacy nie rozmawiają po rosyjsku?”

„Głupiś, Michałku. Rosjanie mówią po rosyjsku, polacy po polsku.”

„A jaka jest różnica pomiędzy polakami a rosjanami?”

„Nudzisz. Polacy są katolicy, a rosjanie prawosławni.”

Ojciec powrócił do rozmowy ze znajomymi, chłopiec jednak chciał raz się czegoś dowiedzieć dokładnie.

„Tato”, trącił ojca.

Znajomi się roześmiali. Ojciec napół z gniewem, napół ubawiony patrzył pytająco na syna..

„Tato, co to jest prawosławny?”

„Prawosławny — to jest taki człowiek, co chodzi do cerkwi!”

„I mówi po rosyjsku?”

„Oczywiście.”

„A my nie jesteśmy rosjanie, tato?”

„Nie. Jesteśmy, polacy. Wiesz przecie, że chodzimy do kościoła, jak wszyscy porządni katolicy."

„A po jakiemu my mówimy w domu?"

„Co za piła!... Po rosyjsku!"

„A czemu nie po polsku?"

„Bo mama nie jest polką, nie umie po polsku."

„To mama jest rosjaną — tato?"

„Mama jest włoską. Mieszkała daleko stąd za granicą, a tam niema polaków i nie miała gdzie się nauczyć po polsku. Rozumiesz?"

„Rozumiem, tato, ale..."

„Co znowu?"

„A czy we Włoszech też mieszkają rosjanie?"

„Skąd-że! Bynajmniej."

„A dlaczego mama mówi po rosyjsku?"

„Dlaczego i dlaczego!... mucho utrapiona!" zirytował się ojciec. „Mieszkamy wśród samych prawie rosjan, — i matka nauczyła się od nich po rosyjsku. Odczep się raz ze swemi pytaniami. Będę mu zdawał sprawę ze wszystkiego!"

Michasia nie bardzo zaskoczyła irytacja ojca. Starsi zawsze są tacy — to się uniosą — i krzyczą bez żadnej racji, to wybuchają śmiechem bez przyczyny... Dowiedział się w każdym razie, że jędza wyłajała go za rozmowę po rosyjsku w kościele. Poczł pewną dumę. Chłopczy na podwórzu byli wszyscy rosjanami, ponieważ ich rodzice chodzili do cerkwi, a on jest czemś innem, lepszen* od nich, — on jest polakiem. Swoją drogą, jak to może być? — ojciec polak, on też, a matka włoska, i wszyscy mówią w domu po rosyjsku...

„A Koluś nie jest rosjaninem, tato?”

Koluś należał do najulubieńszych kolegów Michasia.

„Koluś jest polakiem.”

„A Kostek, też polak?”

„Nie, Kostek jest rosjaninem — rodziców ma prawosławnych. A daj mi już święty spokój z temi indagacjami.”

„Dobrze, tatusiu.”

Michaś szedł skupiony, z czołem zmarszczonem i brewkami nastroszonymi. Tyle postyszał nowości, co nie bardzo jakoś z sobą się godziły. Oni, polacy, w domu rozmawiają po rosyjsku. Koluś — też polak, jak i on, i obaj rozmawiają po rosyjsku... Czyżby i on miał matkę włoszkę?

Tak się tern wszystkim zmęczył, że z prawdziwą uciechą zobaczył swoją ulicę z starymi domkami, garściami się do stoków góry wysokiej i stromej. Po drugiej stronie ulicy ciągnął się głęboki parów. Niżej jeszcze białe mury żeńskiego klasztoru ze złocistymi i zielonymi baniami kopuł nad podłużnym, szaro-niebieskawym gmachem cerkwi.

W wielu miejscach chłopcy wyslizgali stoki, zjeżdżając na sankach z karkołomnej wysokości. Najzuchwalsi zlatywali z góry na łyżwach w szalonym pędzie. Pochyleni naprzód, mknęli z rozognioną żrenicą, z okrzykiem beztroski junackiej na ustach.

Michaś zatrzymał się koło ślizgawki i, pogrubiając głos po męsku, zawołał z uznaniem: „Tęgo, chłopcy”.

Na to ktoś ze starszych odkrzyknął wzgardliwie: „Zmykaj no, malcze, bo cię stratuja”.

Michaś spłonął na tę zniewagę. „Sam jesteś chierak (tchórz w gwarze ulicznej), a jeszcze się przechwalasz!”

Poczem za roztropniejsze uważał przysunąć się do ojca. gdyż chłopak, znacznie odeń starszy, łatwo mógłby go obić.

„Nie wdawaj się z ulicznikami”, strofował ojciec, „głowę ci kiedyś rozbiją”.

„Oho! akurat!” nadymał się malec w przyпіywie zadufania. — Naprawdę wszakże wcale tej pewności nie miał, jakkolwiek byłby się bronił do upadłego.

„Śmigaj mi teraz do domu”, rzekł ojciec, „i powiedz matce, żeby nie czekała z obiadem. Zajdę do państwa Werliczów. Wrócę przed wieczorem. Tylko uważaj, nie zaczynaj mi z chłopakami... inaczej dobrze ci uszu natrę. Pamiętaj!”

Michaś skinął i pobiegł do domu.

IY.

Wpadł do pokoju zdyszany, wołając: „Mamo!”

Stanął, jak wryty. Matka gawędziła z ożywieniem z p. Burczyńskim.

Michaś nie lubił tego pana za zbytek poufałości i za pokpiwanie z niego. On starszy — ja maleńki, ale z jakiej racji on ma żartować ze mnie? — rozumował malec.

P. Burczyński był przystojnym mężczyzną. Nosił wąsy zakręcone do góry, twarz miał bardzo bladą — z nosem miernym, z czołem nieco przywąskiem i z fryzurą dokładnie rozdzieloną pośrodku. Oczy jego przypominały Micha sio wi wodę ustałą w kadzi i zlekka zmaconą. P. Burczyński paradował w dobrze skrojonym tużurku, obciążającym jego cieką talję i szerokie plecy.

Powitał Michasia żartobliwem: „Aha ! oto i nasz mały bohater! Cóż słyhać, panie kawalerze?”

„Nic”, mruknał pan kawaler lakonicznie i wyrecytował matce polecenie ojca.

„Czemu nie przywitałeś się z panem Burczyńskim? Wstydz się być takim niegrzecznym.”

„Nic nie szkodzi, proszę pani. Nic nie szkodzi” * łaskawie bronił go p. Burczyński.

Chłopak burknął „dzień dobry” i stał niezdecydowany.

„Chodź do mnie, panie kawalerze”, robił awanse p. Burczyński. „Chodź, powiozę cię na koniu.” — Mimo oporu chłopca złapał go i posadził na kolana. „Hoc, hoc! na koniku — hoc, hoc!”

P. Burczyński i matka śmiali się do rozpuku. W Michasiu krew się wzburzyła. Uwięzienie swe uważał za hańbiącą zniewagę...

„Proszę puścić!”

Ale p. Burczyński, zadowolony z żartu, podrzucał go wciąż do góry, przytrzymując zarazem mocno za kołnierz, żeby nie uciekł. Nie mogąc uwolnić się inaczej, Michaś ugryzł wroga w rękę z całej siły. P. Burczyński z okrzykiem boleści puścił chłopca, który stoczył się z kolan z tryumfalnym: „aha!”

„Co on panu zrobił?” niepokoiła się matka.

„Nic, błahostka”, hamując złość, mówił p. Burczyński. „Ależ zęby ma ostre! Zupełnie, jak młody szczeniak. Myślałem, że mi palec odgryzie”.

„Jaki wstyd! Przeproś pana zaraz albo pójdziesz do kąta. Słyszysz, Michasiu?”

Michaś ruszał chrapkami ze wzruszenia i stał nieruchomy, z buzią ponuro zaciętą, jedną rączkę trzymając na brzuszku, drugą zaś machinalnie, lecz energicznie dłubiąc w nosku. „Nie przeproszę — za nic na świecie!” — wypisane było na okrągłej, zarumienionej szamotaniem twarzyczce... Wojowniczo sterczała kędzierzawa, zmierzwiona czupryna.

Na szczęście p. Burczyński znalazł wyjście honorowe.

„Niech pani daruje chłopcu. To moja wina — trzymałem go na kolanach, wbrew jego woli, a on nie rozumiał żartu. To głupstwo. Proszę nie karać malca.”

Wstawiennictwo p. Burczyńskiego już było usposobiło Michasia życzliwiej, ale nieco lekceważący zwrot „malca” utkwiał mu grotem jadowitym w sercu. Toteż na propozycję podania prawicy na zgodę, wyciągnął rękę dość chłodno. P. Burczyński zaś, niby niechący, ścisnął dłoń chłopca tak mocno, że ten aż syknął z bólu. Nie prosił jednak o zmiłowanie, owszem, mierzył wyzywającym wzrokiem oprawcę.

P. Burczyński puścił go wreszcie z dłonią pośmiała, i ze zlepionymi od uścisku paluszkami. Michaś z dumą odszedł od p. Burczyńskiego, usiadł przy stole i czekał. Matka nałożyła mu pełny talerz różnych doskonałości, które spożywał z apetytem. Po nasyceniu głodu zaczął przysłuchiwać się rozmowie. Porównywał w myśli elegancką postać p. Burczyńskiego z ojcem.

Ojciec był niższego wzrostu, barczysty, o twarzy śniadej, skupionej, z niewielkim wąsikiem, mającym w kąci-
kach warg tendencję do spuszczenia się na dół. Dwa pionowe rysy przecinały wysokie, białe czoło. Krótk*
strzyżone blond włosy i otwarte, choć zatroskane spoj-
rzenie jasno niebieskich oczu nadawały jego postaci wy-
| raz energii i prostoty. Dwie leciuchne zmarszczki
w okolicy ust świadczyły o przeżytych kłopotach i smut-
i kach. Ojciec ubierał się bez wyszukania, skromnie, lecz
i starannie. P. Burczyński może był przystojniejszy*

Z błyskiem wściekłości w zmaconych źrenicach p. Burczyński mimowoł się cofnął. Chłopak, na wszystko zdecydowany, stanął obok mamusi w pozie obronnej.

„Cóż to za hałasy tu wyprawiacie?” rozległ się od progu dobrze znany głos.

Michaś z okrzykiem radości skoczył do ojca.

„Nareszcie jesteś. Myślałem, że nie doczekam się ciebie. Witaj, witaj”, z sztucznym ożywieniem odezwał się p. Burczyński, wyciągając rękę do ojca. Ojciec pozdrowił go niedbale.

„Czemu krzyczałeś?”

„Bo, tatusiu, — on chciał mamę uderzyć. Mama się wyrywała, a on”...

„Nie słuchaj go, Stachu!” z gniewnym nasępieniem brwi przerwała mu ostro matka. „Pan Burczyński żartował, a ten niemądry chłopak wziął to na serjo”.

„Aha!” protestował winowajca, „a czemu mamusia krzyknęła i wyrywała mu ręce?”

„Zamilcz, głupcze! Nie rozumiesz żartów i narobiłeś hałasu.”

„Kiedyż., tato, naprawdę”, tłumaczył się Michaś, zbolały tym niespodzianym zwrotem, zwałającym całą winę na niego.

„Daj mi spokój”, uciął ojciec opryskliwie i zbliżył się do stołu.

Chłopiec został na miejscu z uczuciem strasznej obrazy. Słyszał przecież, jak matka krzyknęła: Michaś! — aż się przestraszył i przybiegł jej bronić. A teraz ma-

musia się gniewa. I ojciec nie wysłucha, nie zrozumie — także łaje. Cóż zrobił złego ?

Przy stole toczyła się obojętna rozmowa. Ojciec, popijając herbatę, opowiadał, że mu się znudziło u Werliczów, i dlatego zabawił tak krótko. Wszystko niby nic. Tylko matce falowała pierś i wystąpiły na twarz rumieńce silniejsze, niż zwykle. P. Burczyński odzywał się rzadko i kręcił się na krześle. Ojciec był też jakiś kwaśny, nie w humorze.

Michaś, nadąsany, poszedł do swego kąta za szafą. Gorzkie myśli, jedna od drugiej czarniejsza, wiły się nad nim zgrają.

Zapomnieli o nim. Nakrzyczeli, przepędzili i zapomnieli. Wszystko im jedno. Jestejn sam, malutki, biedny, a oni — nic. Dobrze, dobrze. Ja umrę i nie będzie mnie — dopiero będą płakali i żałowali. Będzie za późno. Pójdę do nieba, do Musi i nie wrócę!... Tak mu się zrobiło żal Michasia, opuszczonego przez wszystkich, że łyzy same nabiegły do oczu. Wysiłkiem bohaterskim zahamował łkanie. Wiedział, że tylko baby płaczą, że chłopcom wstyd się mazać. A Michaś był chłopcem, a nie babą, chociaż był jeszcze maleńki!

P. Burczyński spojrział na zegarek, krzyknął, że jest późno, że musi się spieszyć. Ojciec go nie zatrzymywał.

Matka prosiła, by znowu ich odwiedził, gdy mąż będzie w domu. — Mąż, to znaczy tatuś, to jest wszystko jedno — Michaś doskonale o tem wiedział..

Aha! boi się sama zostać z panem Burczyńskim! pomyślał z zadowoleniem.

P. Burczyński wyszedł, nie żegnając się z Michasiem. Natychmiast po jego wyjściu zaczęła się „scena”. Chłopak nieraz już słyszał to słowo i serdecznie go nienawidził. „Sceną” się nazywa, gdy ktoś zaczyna gniewać się, kłócić i skarżyć, a ktoś drugi także się gniewa albo płacze i ciągle powtarza, że to nie on, tylko tamten pierwszy jest winny i nie ma ani odrobinki słuszności.

Tym razem rozpoczął tatuś. Mówił głosem wzburzonym, że matka cieszy się, gdy go nie widzi, że zaprasza młodzieńców przystojnych i z nimi flirtuje (flirtować — to znaczy pić herbatę z jakimś panem, jeżeli tatusia niema w domu — oho! Michaś świetnie to rozumie), że mu się nie podoba cały ten Burczyński.

Mama się obraziła, odparła, że tato zmyśla, że samy nie wie, czego chce; że zabrał jej życie i zamiast to ocenić, ciągle jej robi sceny zazdrości.

Tatuś znowu, że matka żałuje swego kroku, że o doskonale to widzi i czuje. Matka przeczyła.

„Tak. Mów, co chcesz. Wiem, wiem, żeś mnie nit kochała i nie kochasz”.

Wówczas mamusia strasznie się obruszyła! „Jak to?] Opuściłam ojca, przyjaciół, dobrobyt, wszystko, żeby wyjechać do obcego kraju, zdała od rodziny i znajomych] żeby przymierać tu z nędzy i chłodu! Nie bywam zabawach, nie mam się w co ubrać, nie widuję żadnego towarzystwa... A ty mi jeszcze wymawiasz, jeżeli ktoś przyjdzie pogawędzić, pożartować, jak p. Burczyński naj

przykład? Nie ufasz mi?! Przecież ciebie przez cały dzień w domu niema. Wpadniesz na obiad — i znowu do biura — do późnego wieczora. Zapomnieć można, że się je;—t człowiekiem. I mówisz, że zrobiłabym to, nie kochając ciebie?”

Oczy matki płonęły, ręce drżały.

„Tak, zdawało ci się, że kochasz, teraz jednak sama żałujesz”, szepnął ojciec i zakrył twarz rękoma.

„Cóż ci mam więcej powiedzieć!” zakrzyknęła matka i — pewno dlatego, że nic więcej nie miała do powiedzenia — rozpłakała się na głos.

Michaś radby się był zapadł w ziemię, byle go nie zauważono, bał się jednak ruszyć, gdyż w drodze do drzwi musiał przejść koło stołu. Słuchał więc i serce pękało ^ nim z żalości i lęku. — Czem się to dzieje, że tato zwykle jest taki pochmurny, a matka smutna, chociaż z natury jest bardzo wesoła? Kłóca się, robią sceny. Mamusia płacze, ojciec biega po pokoju...

Wahał się, sto razy chciał się już zbliżyć — i zostawał na miejscu. Wreszcie nieśmiało, czując, że nóżki raptem zrobiły się miękkie, jakby z wosku, i uginają się pod nim, przysunął się do matki i objął ją rączkami za szyję: „Mamusiu, proszę nie płakać. Bo ja też będę płakał”.

Matka wybuchnęła łkaniem na dobre i z całej siły przycisnęła go do piersi: „Mój synu złoty! pociecho moja jedyna!”

Od uścisku matczynego chłopcu zaparło dech i zabolowało go w dołku. Trochę się wyzwalając — powieki mu jakoś zmokły, pewno od łez mamusi — szepnął do ojca, który przesłonił oczy dłonią: „Niech tatuś nie płacze, ja tatusia także kocham”.

Ojciec schwycił jego rączkę, przycisnął ją mocno do ust i zerwał się z krzesła tak gwałtownie, że się Michaś przestraszył.

„Przepraszam cię, moje kochanie najdroższe. Wiem, że to moja jedynie wina, że nie mam racji, — ale, gdybyś wiedziała, jak mi ciężko oboje was w biedzie widzieć, widzieć, jak się zapracowujesz od rana do nocy — i nie móc wam dostarczyć więcej tych głupich, podłych pieniędzy.”

„Uspokój się, Stachu! To się zmieni, poprawi. I ja cię przepraszam za gorzkie słowa”. Odsunawszy delikatnie chłopca, mamusia położyła tatusiowi rękę na ramieniu. „Idź bawić się, synu!” obejrzała się na Michasia, „ty jesteś kochany chłopczyk”.

Michaś wolał sam wynieść się z pokoju, wiedząc z doświadczenia, jak tatuś nie lubi w takich wypadkach jego obecności. Poszedł do kuchenki, wyciągnął z pod łóżka spore drewniane pudełko i zawartość jego wysypał na kołdrę.

Nie mało tu było rzeczy dużej wartości i ze wszechmiar godnych uwagi. Pudełeczka od zapalek z wyciętymi umiejętnie drzwiczkami i okienkami zastępowały wybornie domki, o ile wypadło budować osadę. Moc zapalek z czarnymi czubkami — nie bardzo opalonych —

stanowiło w razie potrzeby jedną armję, zużyte gilzy od papierosów — armję przeciwną. Pestki od wisien i śliwek z kompotu, dobrze wysuszone, służyły jako granaty i kartacze, stary zaś drewniany mundsztuk był armatą, oddaną do dyspozycji tej stronie, po której występował sam wódz naczelny Michaś. Na końcu wydostał okręt, zrobiony z całego arkusza papieru, z kilku wewnątrz małemi łódeczkami, dziatkami dużego okrętu. Kilka-naście szpilek mniejszych i większych, parę złamanych agrafek, guzików i kamyczków czerwonych i żółtych, uzbieranych na torze kolejowym, uzupełniały poczet niebylejaki skarbów Michasia.

Z zabawek tych można było robić użytek najrozmaitszy. Na podłodze rozstawiało się pudełeczka — domki, lud „zapałków” szykował się (inaczej nie chciał stać)wzdłuż ściany, plemię „cygarków”, gilz, przy pewnej rozwadze potrafiło paradować na własnych, a raczej na własnej nodze. Pudło — ustawione poza miastem było górą. Otwierało się okna i drzwi domków, na progach i na ulicach miasta wbijało się ostrożnie do podłogi szpileczki — spokojnych mieszkańców.

Reszta pokoju była morzem. Mamusia opowiadała mu nieraz piękne bajki i mówiła, że morze to jest taka duża woda, że z jednego brzegu nie widać drugiego. Michaś ładował na okręt swe bogactwa i z końca pokoju przyciągał go do brzegu, znajdującego się o parę cali od pierwszego domku. W ten sposób miasto Michasiowe posiadało własność stawania się nadmorską osadą. Chłopak ciągnął okręt, czołgając się na czworakach i ro-

biąc: czuch, czuch, czuch..., co oznaczało szum fal, rozbijanych kołami parowca. Zbliżając się do miasta gwizdał trzykrotnie, zarzucał kotwicę (z kamyczka, przywiązanego nitką do rufy statku), spuszczał łódeczki i przewoził na brzeg towary.

Ludność miejska tłumnie zbierała się koło łódek, kapowała, targując się zawzięcie o każdy grosz. Chłopak to przekonywał ich, że towary są doskonałe i wartościowe, to znowu występował w obronie mieszkańców, wyrzucając załódze statku, że żąda od nich stanowczo za drogo, że oni są biedni i nie mogą tyle zapłacić. Wkońcu dobijano zwykłe targu, towary przenoszono do wnętrza domków, a okręt odpływał na pełne morze. Po jakimś czasie wracał po zakupno towarów, poprzednio sprzedanych.

Wraz z wojowniczą naturą Michaś posiadał wybitne zdolności strategiczne. Toteż najczęściej, po dokonaniu handlu zamorskiego, zapałki ustawiały się wzdłuż ścian lub wspierały o pudełka, gilzy szykowały się na podłodze o własnych siłach, zaczem po zmontowaniu armaty z mundsztuka chłopak na daną sobie komendę: ognia! bombardował nieprzyjaciela pestkami wiśni i śliwek, jęcząc zamiast poległych i rannych, wydając okrzyki zachęty do własnych żołnierzy, zgromadzonych niewidzialnie poza jego plecyma. Wspólnie z nimi cieszył się z klęski, jaką szerzyły pociski we wrogich szeregach, wspólnie z nimi drwił i urągał przeciwnikom. Zdarzało się, że w uniesieniu bojowym obracał całe miasto w perzynę i gruzy. Zmartwychwstawało jednak z popiołów na władcze skinienie Michasia.

Gdy **Zapasy** wojenne mu dokuczyły, zamieniał się w inżyniera i zaczynał budować z cierpliwego ludu zapałek, gilz i szpilek głębokie studzienki i piękne chatki.

W ten sposób chłopak bawił się godzinami, półgłosem rozprawiając z sobą o wszystkich przejściach gry. Czasem biegł do mamusi i z entuzjazmem jej opowiadał, jakie to nadzwyczajne miasto powstało na brzegu morza i jak świetnie prowadzi z niem handel wymienny. Matka, o ile czas jej pozwalał, przychodziła i, śmiejąc się, dawała mu różne rady, przeważnie takie niemądre, że aż chłopiec się dziwił. Mógł tylko ubolewać nad ubóstwem inteligencji starszych, którzy nic nie rozumieją i nie mają za grosz pomysłowości.

Michaś rozważał, jak się ma bawić. Czuł się zmęczonym, podniecenie z powodu awantury z p. Burczyńskim opadło i nie chciało mu się ruszać z ciepłego łóżka. Nasłuchiwał trochę. Ale w pokoju panowała cisza. Czasem mamusia żaliła się półgłosem, ojciec odpowiadał łagodnie, — czasem doleciał szmer jakby pocałunku... Z nagłą determinacją chłopak zebrał zabawki do pudła i postanowił ot, tak sobie, poleżeć spokojnie. Wspiął się wysoko na pcduszkę, skręcił w kłębuszek, żeby przez majteczki nie wiało w nogi i leżał, czując, jak błogie lenistwo rozplywa się po ciele znużonym wraz z ciepłem.

Myślał o rodzicach... Czemu tatuś wciąż skarży się na biedę, że nie mamy co jeść, w co się ubrać? Przecież jemy codzień i jesteśmy ubrani. Wprawdzie możnaby

było kupować coś smaczniejszego na obiad, naprzyktad cukierki, ciastka... Tatusia nigdy prawie niema w domu, widuje się go tyłko zrana i nie zawsze w porze obiadowej — o piątej godzinie. Po obiedzie tata wychodzi i wraca, jak Michaś już śpi. Mama mówi, że siedzi w biurze i ma dużo pracy. Dlaczego tatusiowi W takim razie nie dają dużo pieniędzy, jeżeli on dużo pracuje? Jabym kazał sobie dać bardzo dużo pieniędzy.

Michaś przypomniał sobie o stroju afnauckim. Cieszył się na myśl, że chłopcom się w nim pokaże, nie miał wszakże ochoty do opuszczenia wygodnej pozycji na łożku... Dobry jest dziadunio, że przysłał ten strój arnaucki. Byłbym go w rękę pocałował za to. Szkoda, że sam nie przyjechał. Mama mówi, że dziadek mieszka bardzo daleko i jest bogaty, że ma trzydzieści koni w stajni i pałac, to znaczy taki ogromny dom. Szkoda, że tam nie mieszkamy. Jabym się codzień ubierał, jak arnauta, jadłbym czekoladki, pastylki, ciastka... Tato rzadziej chodziłby do biura. — A czemu tato nie poprosi dziadka, żeby przysłał pieniędzy? Dziadek jest przecież bogaty. Pewno tatuś zapomniał, trzeba mamusi powiedzieć. I wówczas tatuś nie byłby taki zmartwiony, nie gniewałby się o byle co. A teraz z mamusią ciągle się kłóca, robią sceny, później się godzą. Czyż nie lepiej wcale się nie kłócić? To takie przykre. — Michaś nie rozumie, jaka może być przyjemność W urządzaniu „scen”.

Mamusia mówi, że tatuś jest zdenerwowany i smutny. Szkoda tatka. Dlaczego na świecie jedni są bogaci, a drudzy — nie. Jak to się stałej — Chłopcu

zaczynało być gorąco, położył się na inny bok i odpędził senność, która podstępnie się doń skradała.

Mamusia często płacze, gdy tatka niema, a gdy się ją zapyta, dlaczego płacze — wyciera oczy i gniewa się, że nieprawda, że wcale nie płakała. Tymczasem to jest prawda, bo później ma oczy czerwone, musi przemywać je zimną wodą i twarz pudrować, żeby nie było znać... Aha! Raz tylko powiedziała, nie ukrywając łez: „Niema naszej Musi, synu!” przygarnęła Michasia i mocno się rozpłakała.

Prawda! I chłopiec szerzej otworzył klejące się ze snu powieki. Pewno mamusia i tatuś są tacy zgryzieni z powodu śmierci Musi. Dobra była siostrzyczka. Michaś sposepniał. Zdradzieckie łezki same się zakreśliły pod powieką. On bardzo lubił Musię i teraz żałował, że czasem ją krzywdził — odebrał zabawki, poszturchnął... A ona nic. Pójdzie do kącika, popłacze sobie. I choćby mamusia nie wiem jak pytała, czy to Michaś ją uraził — nic nie powie: „Nie, to nie on. To ja sama paluszek uderzyłam” — i cicho płacze.

Serce się chłopcu ścisnęło. Byłby jej oddał wszystkie zabawki, gdyby żyła. Naturalnie — gilzy, zapalki i pestki zostawiłby sobie, — dziewczynki się tem nie bawią. Ale, gdyby poprosiła — postanowił w nagłym przypływie wspaniałomyślności — oddałby jej wszystko, choćby mu i bardzo było żal tych zabawek.

Niestety, Musia umarła. Umrzeć to znaczy pójść do nieba i nie wracać więcej, chyba we śnie. Chłopak dotychczas nie mógł zrozumieć, jak Musia umarła. Gdy-

by był w domu. nie pozwoliliby zabrać jej do nieba. Ale Michaś był u Kostka. — Kostek ma 7 lat i bawi się lalkami. Wstyd! Chociaż lalki ma ładne, swoją drogą — Michaś również miałby ochotę pobawić się nimi. Oprócz tego ma moc innych zabawek...

Michaś był u Kostka, gdy wtem przybiegła pewna kobieta i powiedziała, żeby zaraz szedł do domu, ponieważ Musia umarła. Kobieta wycierała sobie oczy fartuchem. Chłopcu było żal zabawek i nie chciał wracać do domu. Powiedział nawet: niech Musia poczeka, — poco ma zaraz umierać. On się pobawi troszkę i wtedy przyjdzie. Kobieta pokiwała litościwie głową i głośno zapłakała. Matka Kostka kazała mu się ubierać i iść. Michaś był zły na Musię, że mu na złość teraz właśnie umarła.

Gdy wszedł do pokoju — (mieszkali oni wówczas w innej kamienicy: wchodziło się po schodach, wysoko, wysoko) — w pokoju pełno było ludzi, firanki zapuszczone i panował półmrok, jak o szarej godzinie. Ojciec stał z brwiami nasępionymi, zimny, nieruchomy, jak kamień. Michaś bał się go. Kazano mu podejść, pocałować Musię. Musia leżała na stole w czystej sukience, taka malutka, sztywne, z żółtą, jak z wosku, twarzą. Powieki miała zapadnięte, fioletowe, i czarna mucha ciągle kręciła się nad nią. Mama odganiała muchę i cicho płakała. On się okropnie przestraszył i nie poznał Musi — taka była zmieniona, inna. Opierał się, nie chciał jej pocałować — dano mu spokój. Stał w kącie, patrzył i bał się, że ta obca straszna Musia

wstanie ze stołu i przyjdzie do niego. Obleciał Wszystkie zakątki w pokoju, kuchence, na korytarzu — w poszukiwaniu swojej Musi, żeby się dowiedzieć, po co umarła i co to znaczy... Ale Musi nigdzie nie było. Raz nawet zapytał matkę, gdzie jest nasza Musia, — gdy mu dano coś do przegryzienia, bo był głodny. Matka się strasznie rozszlochala, a ojciec ledwo z trudem wymówił — tak mu twarz przytem drgała kurczowo — że Musia umarła i więcej nie wróci. Michaś zdziwił się, chciał zapytać, dlaczego? lecz nie śmiał.

Później przyniesiono trumienkę, tamtą Musię złożono do niej, matka poprawiła jasne, pozlepiane pukle włosów. Kazano mu podejść i pożegnać się z Musią, bo więcej jej nie zobaczy. Michaś wahał się, zajrzał do trumienki. Rodzice myśleli, że się upiera, jak poprzednio, więc nie zmuszali go. Ktoś przyniósł wieko i chciał nakryć trumienkę. W tem mgnieniu dopiero zrozumiał, że to już na zawsze, że Musia umarła, zrozumiał, że to ona, ta sama ukochana jego siostrzyczka i że ją chcą zabrać. Zrzucił wieko na podłogę, uczeplił się trumienki i zaczął krzyczeć: nie dam Musi! nie dam! to nasza Musia!... Musia! wstań zaraz! — bił, kopał nogami tych, co go próbowali usunąć. A potem coś czarnego spadło mu na oczy, zakręciło mu się w głowie — i więcej nic nie pamiętał. Zabrano Musię i nigdy już jej nie zobaczy!

Niepostrzeżenie dla siebie chłopak szlochał na głos, ciężkie łzy boleści płynęły mu po policzkach. Przybiegli rodzice. Rozpytywali, co mu się stało, ale chłopiec szlochał, powtarzając wciąż: Musia, biedna Musia! Na świeże,

P. Kamiński nie spieszył się. Kończył spokojnie ulubiony swój proceder, zdmuchiwał kruszyny tabaki z brzegów staroświeckiej, ciepłej kapoty, którą nosił w lecie i w zimie, i zaczynał dla nauki chłopca przypowiadkę o pożytku cierpliwości. Michasiowi aż się coś w brzuszku przewracało, musiał jednak czekać, gdyż inaczej p. Kamiński wpadał w morały nieskończone.

Nabiwszy nos tabaką, p. Kamiński kontynuował powolutku swą historyjkę. Tymczasem nabój oddziaływał. Starzec napawał się rozkosznym łechtaniem w nozdrzach, wąsy mu drgały, do oczu nabiegało trochę mgły... potem poważnie kichał, jak grom, raz po raz — z każdej iufy, jak mawiał sam żartem.

Chłopiec obserwował go z nigdy nie gasnącem zainteresowaniem. Poprosił pewnego razu, aby mu pozwolono skosztować. P. Kamiński łaskawie wyciągnął doń swą tabakierę. Chłopiec wpakował sobie sporą szczyptę do nosa, rozsypując niemało na brodę i po ubraniu. Skutek był piorunujący. Michaś kichał, kaszłał, znowu kichał i to trwało przez kilka minut. Nosek mu poczerwieniał, spuchł, z oczu lały się łzy. Pan Kamiński serdecznie się uśmieł, wkońcu jednak zaniepokoił się naprawdę. I dostał porządną burę od żony, wysokiej, chudej kobiety o pomarszczonem, zatroskanem obliczu, bardzo ruchliwej, dobrej i prostej w obejściu.

Od tego czasu Michaś czuł instynktowną odrazę zarówno do tabaki, jak i do tytoniu. Wogóle przyjemności starszych przy bliższem zbadaniu nie wytrzymały najsłabszej krytyki.

O panu Kamińskim Michaś wiedział z niezachwianą pewnością, że był polakiem i niczem innym być nie mógł. Mimowoli wyobrażenie o prawdziwym polaku związało się u niego z panem Kamińskim. Starzec zawsze mówił po polsku, wtrącając niekiedy rosyjskie żołnierskie wyrazy, spolszczone po swojemu. Zabronił chłopcu raz na zawsze odzywać się do siebie inaczej, jak po polsku.

„Kiedy nie umiem.”

„Głupstwo. Naucz się, zapytaj.”

Pytać się o każde słowo polskie było nudno, skoro rosyjskie samo przychodziło do ust. Chłopiec grymasił, nie chciał. Stary gniewał się, sfukał go nieraz i kazał zabierać się do domu. Ale Michaś przepadał za bajkami i szczególnie się rozkoszował powolnem opowiadaniem p. Kamińskiego, pełnem przekonania i czaru. Toteż unikał zwykle dłuższych rozmów, gdzie niechybnie byłoby mu zabrakło wyrazów i u pp. Kamińskich stawał się ogromnie lakonicznym.

Mówił: „Dzień dobry, dziaduniu!” i całował go w poźółkłą, drżącą zlekka dłoń z grubymi węzłami żyłek błękitnawych z wierzchu.

P. Kamiński głaskał malca po buzi i całował w czoło. Następnie babunia, żona p. Kamińskiego, nakrywała do stołu, rozstawiała na białym obrusie półmiski i zapraszała gościnnie do jedzenia. A umiała przyrządzać kiełbasy, wędzonki, rolady nadziewane i inne doskonałości — wprost nadzwyczajnie. Chłopiec kosztował wszystkiego sumiennie, na rozkaz dziadunia powtarzał porcję, a na deser dostawał kawał serowca i pyszne przekładańce.

Na pytania dziadunia odpowiadał politycznie: „tak — nie — nie wiem, dziaduniu”, żeby nie ryzykować dłuższych zdań ze swym znikomym zapasem polszczyzny. Po herbacie złąził ostrzcznie z krzesła, dziękował, całując wzbraniającego się nieco starca w rękę, i mówił przymilnie: „Dziaduniu, proszę bajkę powiedzieć

Pan Kamiński wymawiał się, że zapomniał, że nie umie nic więcej, że zachrypł. Wkońcu ulegał, pytał, jaką Michaś chce bajkę, medytował, zażywał tabaki i zaczynał metodycznie opowieść, spoglądając to na pyzatką komodę z ciemno czerwonego drzewa ze skrzypiąciami szufladkami, to na chłopca, to znowu na kredens, gdzie babunia przechowywała swe arcydzieła gastronomiczne.

Czasem, gdy mu nie szło, mrucał, że dostał chrypki, że ten chłopak to jak rzep do końskiego ogona się przyczepi — „bajkę i bajkę!” Skąd on mu tych bajek nabierze? Wstawał i, postępując, szedł do kredensu. Wyjmował pękata butelczynę z żubrówką — bardzo gorzką i niesmaczną: Michaś kosztował — nalewał sobie kieliszek, rozmyślał, wzdychał. Wychylał go duszkiem. Po chwilce wahania brał flaszkę, kieliszek, chciał nalać znowu... najczęściej wszakże po namyśle i, pokiwawszy żałośnie głową, chował "wszystko z powrotem do kredensu, poczem wracał i kończył opowiadanie.

Chłopak stał przy p. Kamińskim lub siedział na jego kolanach, zapatrzony w twarz starca, zawsze na nowo porwany czarem bajek, tylokrotnie już słyszanych. Zdarzało się to jednak wyłącznie podczas jego samodziel-

nych wizyt u pp. Kamińskich. Gdy bowiem przychodził z rodzicami, dziadunio rozmawiał z nimi o różnych nieciekawych rzeczach, i o bajkę daremnie byłoby prosić.

Tym razem chłopcu pilno było pochwalić się nowem ubraniem. Starzy ucieszyli się gościom, podziwiali strój arnaucki i to, jak w nim Michasiowi do twarzy. Dziadunio powiedział mamusi, że zawsze wygląda jak róża. Matka się śmiała i ucałowała go w czoło. Dziadunio udawał, że boi się okrutnie żony, która groziła mu palcem, ale jakoś nie bardzo się gniewała. Ojciec się także uśmiechał. Było bardzo wesoło. Mamusi p. Kamiński wybaczał, że mówi po rosyjsku, zrzadka tylko wtrącając parę polskich wyrazów, — innych karciał łagodnie i nawoływał do porządku.

Babunia przyniosła moc przeróżnych ciast, strucli, mazurków, makowców — więcej, niż zwykle, bo to święta. Chłopcu dano słodkiego wina, od którego zakreśliło mu się w głowie, i, zaopatrzwszy go w obfitą prowizję łakoci na osobnym talerzyku, polecono siedzieć grzecznie i nie przeszkadzać starszym. Takie warunki były do przyjęcia. Miał przynajmniej coś przyjemnego do roboty.

Dziadunio z tatusiem po kilku kieliszkach żubrówki rozgawędzili się na dobre. P. Kamiński zaczął: „Kiedy byłem w węgierskiej kampanji 1848 roku...”

Michaś wyteżył słuch. Wiedział, że dziadunio był dawniej wojakiem. Zwykle jednak o tem mówić nie lubił, a teraz sam zaczął ojcu opowiadać, jak to, wzięty do wojska rosyjskiego na prostego żołnierza za udział w po-

wstaniu 1846 roku w Krakowskim, odbył całą kampanję 1848 roku przeciw węgrom.

„Przyszliśmy — niby to wojsko rosyjskie, mówię — do głębokiej doliny koło rzeki, a węgry, jak uderzą na nas zniecka... Dużo wtedy ich, niby to moskali, poległo.”

„A z armat strzelali?” nie wytrzymał Michaś. Od dawna już siedział, jak na szpilkach, dręczony tem pytaniem.

Dziadunio spojrzał poważnie na chłopca: „Strzelali i z armat i z karabinów.”

„Niegrzecznie przerywać starszym,” strofował ojciec.

Malec się nadał. Wiecznie te uwagi. I czemuż to nie wolno zapytać, jak go coś interesuje?

„Niech na niego pan niefuka, mospanie. Mały, zwyczajnie, ciekawy. Nie byliśmy inni w jego wieku... oho!”

„A czy pan należał do ostatniego powstania?” zmienił ojciec temat.

„Hm, jakby to powiedzieć... I tak, i nie,” zawahał się p. Kamiński.

„I były znaczne bitwy?”

„Eh, mospanie, pewno, że się zdarzały, ale najczęściej niefortunne. Uciekaliśmy, zdrady pełno wszędzie, otaczano nas, ścigano, dziesiątkowano. Jakaż to wojna! Z motyką w garści przeciwko armji. Nie mnie, staremu żołnierzowi, gadać.”

„A kogo to bito, dziaduniu?” odezwał się Michaś nieśmiało z płonącymi ciekawością i niepokojem oczyma.

„Jak to kogo?” zdziwił się p. Kamiński. „Naszych, powstańców — moskale, mospanie.”

„Polaków, dziaduniu?”

„Ano, nie murzynów przecie, do pioruna, Jezusie najśłodszy !” zżymnął się stary.

„To polacy byli tchórze, że się dali pobić.” Malec czuł przykry zawód.

„Polacy tchórze ?” głuchy głos p. Kamińskiego nagle rozegrzmiał donośnie. „Tego, mospanie, żaden uczciwy człowiek na świecie nie powie. Bili naszych, bośmy nie mieli broni, pieniędzy, żywności — a po tamtej stronie armaty i wszystko. Ale nieraz daliśmy im mimo to takiego łupnia, że aż miło. Tchórze!!... patrzcie go, jaki moskał się znalazł,” kipiał stary.

– „Ja nie moskał, dziaduniu,” bronił się chłopak zmieszany, „ja tylko tak...”

„A sam, kto jesteś, mospanie?” grzmiał p. Kamiński, srogo ruszając wąsami.

„Ja... polak” — szepnął malec, zбитy z tropu.

„Tchórze!?! mospanie! Do pioruna — słodki Jezusie Nazareński!” żuł irytację dziadunio. „Nie sztuka, jak ich było dziesięciu na jednego... niby nie widziałem?!” I kiwał głową, wzburzony, i mruzczał pod wąsem groźnie zjeżonym, zapatrzony gdzieś w odległą, bolesną krainę wspomnień żałobnych. „Tyle krwi, tyle zgonów, tyle strat... na nic. Przetrwać, przetrwać...”

Wszyscy się przyciszyli. Michaś był przejęty i kogoś mu było żal nieskończenie, choć nie rozumiał tego, co dziadunio o jakichś tam powstańcach opowiadał. Pan Kamiński siedział nieruchomy, z oczami zapadłymi w głąb czaszki, pod strzechą krzaczastych

Chciałby zaraz pobiec zobaczyć, co się tam dzieje z panią Giżenko.

Matka nie potakiwała ani przeczyła, tylko szukała oczyma wzroku ojca z niemą prośbą. Ojciec schmurzył brwi.

„Stachu!”

„Zostaw, zostaw!”

Matka nie dała za wygraną. „Stachu!”... i przygar-
nęła się cała do ramienia ojca.

„Nie chcę, zostaw,” bronił się, słabnąc.

Matka ucałowała go z zwycięskim uśmiechem. „Dziękuję ci, kochany. Wiesz, że inaczej nie miałabym chwili spokojnej.”

„Zawsześ taka uparta,” skarżył się ojciec. „Dobrze już, idź, — tylko uważaj na siebie i pamiętaj o zdrowiu”.

„Zgoda, zgoda!” przyrzekła rozpromieniona.

Pod wpływem podwójnej dawki tabaki p. Kamiński kichnął, jak z mózdzierza. Babunia i rodzice uśmiechali się, a Michaś aż się zanosił, wołając: „na zdrowie, dziaduniu, na zdrowie!”

Wkrótce się pożegnano. Ojciec wybierał się na wizytę, matka wróciła do domu, chłopcu pozwolono pobawić się na dziedzińcu. Miał na sobie strój arnaucki i pragnął pokazać się z odpowiednią do okazji godnością. Szedł tedy wohio, dumnie zadzierając głowę z czapką o kicie amarantowej, zsuniętą na bakier po zawadjacku. Idąc, wybierał ścieżki udeptane, żeby nie zamoczyć czerwonych bucików z cholewkami.

„Hej, chłopcy! patrzcie. Turczynek idzie!” Okrzykom nie było końca. Poznano Michasia i zachwyty ogarnął rzeszę. Podziwiano szarawarki szkarłatne, buciki czerwone z cholewkami — jak u dorosłej panny — ktoś zauważył. Inni głaskali ręką materję, nie mogąc się nacieszyć, że taka jest miękka, połyskująca. Zazdrość powszechną budziły patrony i szlify. Pytano, czy te patrony mogą wystrzelić? Chłopak tłumaczył, że są prawdziwe i możnaby zaraz ich użyć, gdyby się miało strzelbę, że ubranie jest arnauckie, nie tureckie, że przysłał je na święta dziadek, mieszkający za granicą i bardzo bogaty. Fantazjował, puszył się, jak paw, zwracając niby od niechcienia uwagę towarzyszy na różne szczegóły, przez nieb pominięte. I rósł w pychę.

Bardzo się podobała czapka z kitą. „Jak u huzara” — osądził jeden. „Huzar ma brzydszą,” rzekł drugi, plując z rozważą przez zęby. Pierwszy, zadraśnięty do żywego, protestował. Kłócono się, wymyślając sobie nawzajem od bałwanów i osłów — bez urazy i gniewu. Każdy próbował przypomnieć sobie, gdzie i w jakich okolicznościach widział coś podobnego. Dyskusja zaczynała się rozpraszać. Wreszcie ten, który najbardziej był może zazdrosny — Michaś nie cierpiał tego Kuźmy ryżego — sztucznie ziewając, oświadczył, że się nudzi.

„Chodźmy, chłopcy, bawić się. Co mamy się cackać z temi szmatkami, jak baby. I cały wasz Michaś wygląda teraz, jak papuga,” dorzucił zjadliwie.

Zaśmiano się z dowcipu, ponieważ papugi mają różnobarwne piórka' i są bardzo śmieszne. Michaś odczuł wy-

zwanie i z flegmą — wszystko się w nim gotowało — odparł: „Sam jesteś papugą nosatą.” (Kuźnia miał długi nos, zabawnie zakrzywiony.)

„Powtórz, coś powiedział!”

„Pki! myślisz, że się boję” — nastroszył się malec. „Jesteś ryża papuga.”

Tłmn parsknął śmieciem. Sympatje wróciły do Michasia, jako do strony zaczepnej.

„Ta—ak?” syknął Kuźma i ruszył z pięściami za ciśniętymi na Michasia. Malec przybrał pozycję obronną, usiłując nadać swej twarzy wyraz junackiego lekceważenia, z jakim wypada spotykać niebezpieczeństwo, skoro się jest dzielnym chłopcem, a nie babą.

Gromadka ustąpiła na bok. Odzywały się różne głosy: „Ani chybi, Kuźma go zbije — tęgi chłop!” — „Oho! jeszcze niewiadomo — Michaś też jest zuch”...

Zapaśnicy mierzyli się wzrokiem w milczeniu. Przerwał je Kuźma:

„Ano, uderz. Tak cię natłukę, że matka rodzona nie ^{fii}pozna!”

„Zobaczymy, kto kogo. Uderz pierwszy.”

„Zęby ci powybijam, szczurze turecki!” robił aluzje Kuźma.

„Spróbuj tylko, ruda papugo,” odparł Michaś.

„Ja ci pokażę rudą papugę!” wybuchnął Kuźnia i szturchnął przeciwnika ramieniem.

Chłopak zachwiał się, lecz natychmiast się wyprostował: „Ano, rusz jeszcze. Tak ci dam, że się przewrócisz.”

„Wal go —Kuźnia! Nie daruj mu, Michasiu!" rozległy się okrzyki.

„I nie wstyd ci, Kuźnia? Starszy jesteś, a boisz się Michasia," zauważył spory „drab" (przekroczył jedenastkę).

„Jabym się go bał?!" Kuźma splunął z pogardą. „Poprostu szkoda mi ręce walać z tym malcem." Wzruszywszy ramionami, wpakował ręce do kieszeni i odszedł.

Wraz z ulgą na widok schodzącego z placu boju nieprzyjaciela nowe męstwo wstąpiło w serce chłopca. Parsknął szyderczo i, zawracając do domu — nie godzi się, by ostatnie słowo zostało za przeciwnikiem — wycedził: „Malec!... A sam stchórzył przed malcem!"

„Stchórzył?! Ach, ty szczeniaku!" I potok obelg spadł na Michasia, który, pogwizdując wzdorliwie, szedł sobie pomału — żeby nie pomyślano, że ucieka — do domu. Z odwagą bowiem łączył wielką roztropność i wołał uniknąć walki nierównej. Teraz Kuźma postępował za nim, bez wielkiego atoli pośpiechu, gdyż wogóle był małego ducha. Michaś zatrzymał się na sekundę, dla wykazania, że do ostatniej chwili nie odmawia bitwy, chociaż ma bardzo, bardzo pilny interes do domu.

Pękata, cała w piegach twarz Kuźmy mieniła się ze złości. Wyczerpawszy swój zapas wymysłów, raz jeszcze się odwrócił i krzyknął: „Laszok wstrętny!" — Ton słów był nad wyraz obraźliwy.

„A ty kto?" zawołał "Michaś.

W gromadce się zaśmiano. Zachęcony uznaniem, Kuźma wyciągnął język w kierunku Michasia i powtórzył: „Lach! Lach!"

Chłopak spłonął gniewom. „Dobrze” — zakrzyknął — „cóż takiego? Ja — łach, a ty głupi moskalczyk!” — i splunął z impetem.

„Słyszycie, chłopcy? On nam, ruskim ludziom, wymyśla!” wołał Kuźma.

— Bij go! — zabrzmiały wrzaski. Zmienny tłum ruszył ławą na Michasia. Posypały się grudki śniegu i lodu. Przy silach tak nierównych honor rycerski zezwalał na odwrót roztropny. Toteż Michaś pędził co tchu, krzyżąc: „Mamo! mam!” Kawał lodu uderzył go w głowę, garść brudnego śniegu wpadła za kołnierz... najstarsi chłopcy biegli na przełaj dla odciążenia mu drogi.

„Kostek, na pomoc!” obudziła się nadzieja na widok kolegi. Ale Kostek śmiał się głośno dla zaznaczenia, że nie trzyma bynajmniej z Michasiem.

— Taki przyjacieli! — pomyślał. „Mamo! mam!” wrzasnął z rozpaczą, bo już mu tchu brakło i kilka bryłek lodu trafiło w plecy i w głowę, a „drab” zdążył odciąć mu dostęp do drzwi.

W krytycznym wszakże momencie drzwi się otwały. Matka szturchnęła mocno „draba”, co już był schwycił z naigrawaniem chłopca za rękę, i, wyzwoliwszy go z opresji, surowo zgromiła gromadkę, cokolwiek zażenowaną, — że, jak rozbójnicy, tłumem napadają na jednego. Pytała go, co się stało? Michaś, szlochając, opowiadał, że on nic nie rozumie, że to Kuźma wszystko. Nazwał go łachem. Cóż miał robić? Powiedział mu, że jest durnym moskalczykiem. Czyż to nieprawda?

„Kto cię tego nauczył?” zdziwiła się matka.

„To jędza w kościele tak mię nazwała za to, że rozmawiałem po rosyjsku.”

„Jaka jędza?”

Michaś wytłómaczył. Matka przygarnęła do siebie i pocieszała nastraszonego i zdenerwowanego chłopaka.

„Widzisz! Nie mówiłam ci? — Nie baw się z tymi »licznikami. Jeszcze ci kiedy głowę rozwałą. I nie nazywaj nikogo moskalem.”

„A oni dlaczego mnie lachem nazwali!?” obruszył się malec.

„Bo są głupi. Mój Michaś powinien być mędrszym. Obiecujesz, synu?”

„Dobrze, mamusiu,” odrzekł z przymusem, lecz w duszy poprzysiągł zemstę okrutną tym zwłaszcza, co nasypali mu śniegu za kołnierz i poplamili śliczne czerwone szarawarki.

VI.

Tegoż jeszcze wieczoru matka poszła odwiedzić chorą panią Giżenko.

Ojciec się niecierpliwił, że długo nie wraca, chodził po pokoju, wyglądał przez okno. Chłopiec, przyzwyczajony do tego, że matka go zawsze do snu układała, snuł się za ojcem, jak cieii, myśląc z troską: „czemu mama nie przychodzi? co ona tam robi?”

Matka powróciła dopiero koło dziewiątej. Zbywając wymówki ojca, zaczęła przez łzy opowiadać...

Chorą zastała w okropnym stanie: w mieszkaniu — zaduch, brudno, dzieci głodne, krzyczą, chora w gorączce zwlekła się z łóżka dla zagotowania mleka, — mleko wylała. Sama nic nie jadła od rana.

„I chleba z masłem nie jadła?” zapytał Michaś, wznosząc wysoko ciemne brewki na znak zdumienia.

„Nie, nie jadła.”

„Cóżś robiła przez tyle czasu?”

„Jak to? Tyle pracy miałam, że strach. Pomyśl — sprzątnąć pokój, oporządzić i nakarmić dzieci, ugotować kaszki dla chorej!”

„Któż ci pomagał?”

„Nikogo nie było. Wiesz przecie — mąż pani Giżenko wyjechał, a krewnych ona nie ma. Chciałam już zostać przy niej na noc — taka biedna, gorączkuje, bez opieki... pomyśl, Stachu!”

Ojciec ręce załamał: „Czy ty masz sumienie, Basiu! Dla cudzych dzieci zapomniałabyś o własnym?!”

„Toteż jestem. Dla was tylko wróciłam. — Jacy ludzie są niedobrzy, — nie masz pojęcia, Stachu! Szczęściem, że takich jest pewno niewielu. Wyobraź sobie, poszłam do jednej, drugiej sąsiadki. Nie mają dzieci, zdrowe, tęgie... Żadna nie chciała spędzić nocy przy chorej. A kompatryjotki — prawosławne!... Dopiero pani Kamińska zacna przyrzekła. Jutro tam wpadnę, — zainoszę co — pomogę trochę, — prawda, Stachu?”

„Zastanów się, Basiu, bardzo cię proszę, zżymnął się ojciec. Sami ledwo, ledwo możemy żyć. I boję się, żebyś jakiej choroby do domu nie przyniosła. Nie chodź tam więcej. Zrobiłaś dobry uczynek, — teraz na innych kolej.”

„Nie dręcz mnie, Stachu. Wiesz, jak mnie to boli. A gdybyśmy sami kiedyś pomocy potrzebowali? — Ludzie powinni się wszyscy nawzajem popierać!”

„Mamo! To pani Giżenko jest biedniejszą od nas? Mnie jej bardzo żal,” mamrotał Michaś, przecierając klejące się uparcie oczy. „Ja jej dam jutro mój kawałek chleba z masłem”... chłopiec ziewnął gwałtownie, „tylko, mamusiu, mnie się tak spać chce! że już... nie mogę”... szeptał z wysiłkiem, nie mogąc istotnie otworzyć powiek.

„Zaraz, synka, zaraz. Dobrze masz serduszko." Matka pocałowała i przytuliła malca, który się trochę opierał.

„Rozmażesz mi chłopca — ejże, Basiu. Zobacysz, że będzie, jak ty, wynosił wszystko z domu dla innych. Ciekawym, czy na długoby wam starczyło, gdybym nie dopilnował... Szkodniki wy moje nieznośne" — sarknął i skończył pocichu — „najdroższe! — Idź, przygotuj mu pościel."

Uniósł rozspanego zupełnie chłopca. Leciął bezwładnie przez ręce, zmożony nagle zdrowym snem złotego dzieciństwa. Ojciec patrzył z miłością na zarumienioną okrągłą buzię z błękitną pod oczyma obwódka, na brewki, twardo zarysowane na wypukłym czole o guzach wydatnych — uporu czy woli — tuż nad noskiem zadartym leciutko do góry.

„Tęgo, chłopcy!" bełkotał malec. „Zuchy!... Jak kiciunia miauczy, tatusiu!" roześmiał się radośnie, aż się ojciec obejrzał dokoła. Michaś obudził się, na chwilę, zarzucił mu rączki na szyję i mocno zasnął ze szmerem marzeń ulotnych na ustach.

Ojciec rozebrał go z pomocą matki ostrożnie, żeby nie zbudzić, przekonał się, czy nie ma gorączki, czy się nie poci, — poprawił pościel i ułożył bezbronno, pokonanego przez sen Michasia do łóżeczka pod ciepłą kołderkę.

„Czas spać" szepnął ojciec. Światło zgasło. Mrok i cisza senna opanowały wkrótce małe, schludne mieszkanie.

Matka wychodziła codzień na parę godzin do pani Giżenko, która rozchorowała się na dobre. Trzeba było tam sprzątać, gotować, nieraz kupić lekarstwo. Matka wydawała na to z pieniędzy obiadowych, dla ukrycia zaś, że kupuje prowizji mniej, niż zwykle, zaczęła jadać strasznie mało. Tłómaczyła ojcu, że czuła się głodną i przegryzła coś przed obiadem, a teraz nie ma apetytu. Michaś wiedział, że to nieprawda, — byłby zobaczył, siedząc przeważnie w pokoju, — sądził jednak, że mamusia istotnie nie ma apetytu...

Matka zmizerniała, oczy zapadły jej w głąb i podkrążyły się z wyczerpania ciemnymi pręgami. Na szczęście p. Giżenko wyzdrowiała. Pewnego popołudnia przyszła do rodziców. Z płaczem dziękowała swej „dobrodziejce, zbawicielce” za opiekę, wsparcie i lekarstwa... „Nie żyćby mnie bez pani!” Zwracając się do zdziwionego ojca, i jemu gorąco dziękowała...

Matka czegoś mrugała do niej, kiwała przecząco głową, aż Michaś zapytał: „czemu mamusia mruga? czy ją oczy bolą?”, za co został zgromiony spojrzeniem.

Mamusia zbyła czempredzej p. Giżenko, która wyszła, błogosławiąc rodzicom. Ojciec patrzył na matkę z wyrzutem. Trochę zażenowana uparcie poprawiała frendzle u fartuszka.

„Widzisz, Basiu. I niceś mi nie powiedziała!”

„Cóż miałam mówić?”

„Czyś dużo pożyczyła?”

„Wcałem nie pożyczała.”

*

„Czemu ukrywasz, Basiu? Kupowałaś przecie prowizje i lekarstwa dla pani Giżenko. Z jakich pieniędzy?”

„Pomagała też pani Kamińska. Dużo nie wydałam. Skądbym pożyczła, kiedy nie mamy z czego oddać!... No, jeżeli koniecznie już chcesz wiedzieć”... uśmiechnęła się figlarnie na gest niecierpliwego ojca (Michaś pasjami lubił ten uśmiech—weselej wtedy od razu robiło się wcalem mieszkaniu). Matka skończyła w krótkich zdaniach, że chorej dużo niebyło potrzeba, więc albo jej coś przyrządzała z prowizji obiadowych, albo kupowała dla domu mniej i z oszczędzonych w ten sposób pieniędzy płaciła za lekarstwa.

„Nie rozumiem,” rzucił ojciec. „Nie uważałem, żebyśmy mniej mieli na obiad, niż zwykle.”

Matka znów się uśmiechnęła, z lekkim przymusem... „No, bo nie jadłam mojej części mięsa i jarzyn.”

„Cóżżeś jadła?”

„Widziałeś chyba — zupełną, trochę chleba... nie skrzywdziłam was przecie. Gdyby nie ta głupia p. Giżenko, nicbyś nie wiedział, i wszystko byłoby doskonale.”

„Nie masz sumienia, Basiu!” krzyknął ojciec. „Głodzić się przez dwa tygodnie, bylebyśmy mieli wszystkiego wbród! Za kogo ty mnie uważasz?”

Ojciec miał spazmy w głosie, zerwał się od stołu i wyszedł szybkimi krokami do kuchni. Matka poczuwała się widocznie do winy, zakryła bowiem twarz fartuszkami, a z ramion drgających znać było, że płacze/-

„— Jak to? mamusia przez tyle dni nic prawie nie jadła? I zachoruje może?!” Michaś wahał się bardzo krótko i z mocną decyzją (matka i dziś nie jadła pieczeni,

uskarżając się na brak apetytu) postawił przed nią swój talerz.

„Mamo! proszę jeść zaraz. Słyszysz mama?!“

„Daj mi spokój.“

„Mamo! Bo ja nie chcę, żeby marna była głodna. Proszę jeść mięso.“

„Wiesz, że mięsa niema. Zostaw mnie.“

Ale Michaś targał energicznie za fartuszek, wydierając go z rąk matki, aż musiała podnieść kochane, zapłakane oczy na chłopca.

„Sam jedz, nie chcę.“

„Aha!“ krzyknął Michaś, „i ja nie chcę!... Ja nie mam apetytu,“ dokończył z błyskiem przekornym w siwych, bystrych źrenicach.

Matka nie mogła powstrzymać uśmiechu, lecz wciąż odsuwała talerz wzbraniającym się gestem.

„Mamo!“ wzburzył się nagle malec. „Musia także nie chciała nic jeść i umarła. Ja nie chcę, żeby mama umarła!“ krzyczał z płaczem, obejmując kolana matki.

Ze łzami w oczach pieściła chłopca: „No, dobrze już, dobrze. Zaraz będę jadła, tylko tatkę zawołam.“

Wróciła po kilku chwilach z ojcem i pod argusowem okiem Michasia, pilnującego, by nie zostawiła ani jednej kruszyny, protestując i śmiejąc się, zjadła — ku tryumfowi cichemu malca — resztę jego pieczeni.

Dni były szare, smutne. Słońce rzadko się ukazywało z poza chmur. Padał śnieg. Wicher wył w drzewach ogrodu, na górze i na pustym dziedzińcu.

Michaś siedział przeważnie w domu; czasem posłano go do sieni zaczerpnąć wody z kadzi, albo do sklepiku... Zresztą bawił się swemi zabawkami: układał sobie gry przeróżne — kolejno był budowniczym, wodzem, marynarzem, artylerzystą... Nauczył się sam robić łódeczki z papieru, — cóż, kiedy papieru brakło. Nowych zabawek też nie miał, — trudno zaś bawić się wciąż temi samymi. (Łaził tedy krok w krok za mamusią, zasypując ją gradem pytań, prosząc, aby opowiedziała mu bajkę lub pozwoliła pójść pobawić się z dziećmi. Od czasu do czasu urządzał pokryjomu wycieczki na dziedziniec. Matka jednak rychło spostrzegała jego nieobecność i, odnalazszy zbiega, stawiała do kąta... Chłopak się nudził okropnie...

Siadał przy okienku kuchennem i z rozpaczą gryzącą patrzył, jak chłopcy z wrzawą i śmiechem obrzucają się śnieżkami lub lepią babę ze śniegu. A on musi siedzieć w pokoju. Przypomniawszy sobie awanturę z chłopcami, i napadały go wątpliwości, czy go nie wytłuką. I za co? co im zrobił? Oni rosjanie, Oll polak — i dobrze. Mamusia mówiła, że to wszystko jedno i nikogo nic nie obchodzi. Nie chował urazy do chłopców, tylko się dziwił i czuł się względem nich jakoś obco.

Rozrywką nielada były wizyty różnych „bab” do mamusi. Przychodziła p. Rybanowa, p. |jBorucka, (matka Kulusia), p. Giżenko... każda twierdziła, że wpadła na ehwilkę, a rozgadywała się i siedziała godzinami. Radziły się mamusi, trajkotały o swych kłopotach, dolegliwościach. Michasia nie zajmowały roz-

— fil—

mowy, ale lubił obserwować ruchy, zmiany fizjognomji. intonacje głosu. Nieraz, jakiś zabawny szczegół rozśmieszał go do łez. Miał wśród nich swoje sympatje. Najwięcej może lubił p. Kamińską, która codzień zaglądała na kwadrans. Staruszka klepała Michasia po różowym policzku, ofiarowywała mu kawałek serowca lub obwarzanek, a gdy zdążył ją pocichu poprosić, zabierała do siebie. Dziadunio opowiadał mu bajki i chłopak czuł się uszczęśliwionym.

Pewnego razu ojciec był szczególnie jakoś zafrasowany i narzekał, że w biurze niema prawie klientów. Michaś przyponmiał sobie dziadunia, który podarował mu strój arnaucki i podczas obiadu zapytał, czemu tata nie napisze do dziadunia, żeby przysłał pieniędzy.

Ojciec rzucił widelec na stół i, z podejrzliwem na matkę spojrzeniem, sarknął: „Dajcie mi spokój/”

Matka, zmieszana, upomniała chłopca surowo, że dzieci nie powinny wścibiać nosa do spraw starszych. Po wyjściu ojca przyciągnęła malca do siebie i prosząco, łagodnie powiedziała mu, aby nigdy tatusia nie pytał o dziadunia. Widząc zdziwienie na twarzy syna, dokończyła: „Jesteś mały, nie zrozumiesz tego. Dziadunio mieszka zagranicą i chciał, abyśmy przy nim zostali, a tatuś się nie zgodził i wrócił do Rosji. I dlatego tatuś teraz nie chce prosić dziadunia o pomoc, rozumiesz?”

Michaś nie rozumiał.

„Bo widzisz, synu, mężczyźni są ambitni i nie lubią się przyznawać do winy. Otóż tata woli mieć mało pieniędzy, byle o nic nikogo nie prosić. Nie znosi, żeby mu o tera

"Wały* graniczne.

"

wspominano. Nawet na mnie się rozgniewał, myślał, że cię nauczyła. Obiecujesz, Michasiu, że nigdy nie będziesz ojca pytał o to?"

Michaś chętnie przyrzekł, ale daremnie usiłował przeniknąć pobudki postępowania tatusia. — Widocznie prosić jest wstyd. Nawet dziadunia? Mama mówi, że to dlatego, że mężczyźni są ambitni. No, a tatuś jest mężczyzną, oho! — Chłopak spojrzał z wyzwaniem na niewidzialnego przeciwnika.

Następnego dnia ojciec przyniósł grubą plikę papierów i zasiadł po obiedzie do przepisywania. Michasiowi kazano bawić się w swym kąciku i nie hałasować. Tata, jak to przepisze, dostanie dużo pieniędzy, może mu kupi nowy paltocik. Ojciec pisał, pochylony mocno nad stołem. Czasem wołał matkę, naradzali się razem i znowu pisał. Michasiowi oddawna dokuczyły jego zabawki; wślizgnął się na palcach do pokoju i na gest niezadowolenia matki szepnął błagalnie: „Ja będę grzeczny; nie będę hałasował — dopraw^Tdy, mamusiu."

„Niech siedzi," odezwał się ojciec, „ale, jeżeli będzie przeszkadzał — wyrzucę!"

Michaś wdrapał się na łóżko, westchnął z ulgą i usadowił się wygodnie po turecku. Przeglądał po raz tysięczny, pilnie i z namaszczeniem, gruby rocznik jakiejś ilustracji; wreszcie się zmęczył, odsunął z wysiłkiem ciężki wolumin i postanowił — tak sobie posiedzieć. Matka szyła, odrywając się czasem na chwilę od szycia, by spojrzeć na ojca.

Ojciec siedział, zgarbiony zlekka, przytrzymując lewą ręką duży arkusz czystego, żółtawego papieru z podłożoną od spodu kartą, linjowaną na czarno, prawą ręką starannie wyprowadzał każdą kreseczkę. Michaś, oparłszy głowę na łokciu, śledził pióro ojca z głębokim zainteresowaniem; widział, jak z główki litery powstawał tułów, z tułowia wyrastały ramiona i garnęły się do innych liter. Litery się mnożyły, łączyły w słowa krótsze i dłuższe, wyciągały się w szeregi, szeregi tworzyły oddziałki, pułki. Rozlewały się triumfalnie po całym arkuszu, aż go opanowały do końca... Wówczas ojciec oddychał głęboko, trochę się prostował i brał bibułę błękitną, gęsto poplamioną. Wyszuszywszy papier, odkładał arkusz zapisany i przysuwał nowy, czysty,

fo Chłopak siedział cichutko, jak mysz. Zapomniano o nim i nie położono spać, choć godzina sakramentalna wybiła oddawna. Parę razy matka wstawiała, robiła na maszynie herbatę; ojciec nalewał sobie mocnej, czarnej, jak węgiel i popijał zwolna. Michaś zdrzemnął się niepostrzeżenie.

Zbudził go jakiś brzęk i okrzyk gniewu. Nastraszony przecierał oczy piąstką, nie mogąc zrozumieć, co się dzieje i czemu on siedzi skulony na łóżku mamusi, zamiast spać na swoim własnym.

Dokoła stołu panowało zamieszanie. Ojciec z irytacją coś mamusi wyrzucał, a ona się nie broniła i miała twarz bardzo zmartwioną z pełnemi łez, mrugającymi szybko oczami. Po dobrej chwili Michaś dopiero skombinował, co się stało. — Matka przyniosła była ojcu

herbaty i chciała, żeby sobie odpoczął. Ojciec nie chciał, aż skończy. Matka postawiła szklankę koło niego i wyrzuciła ją przypadkiem na grubą plikę dokumentów przepisanych na czysto. Michaś zlaźł z łóżka, żeby się lepiej przypatrzeć. Herbata trafiła na nieszczęście w sam środek rozrzuconych papierów, atrament się rozpuścił, litery się powykrzywiały i zamieniły w cudaczne pokraki. Wszystkie arkusze były mokre lub poplamione.

„Nie prosiłem cię? nie mówiłem, żebyś spać poszła, że mi w niczem pomóc nie możesz? Uparłaś się i teraz cała praca na nic !” skarżył się ojciec z prawdziwym strapieniem w całej postaci, bardziej jeszcze zgarbionej, i o twarzy, nagle porysowanej w głębokie bruzdy. „Cóż teraz pocznę? — przyrzekłem jutro to oddać; rzecz terminowa — zwłóczyć nie można.”

„Cicho, »Stachu, cicho,” szeptała matka zupełnie zgnębiona, i, wysuszając machinalnie papiery suchym gałgankbm, ścierała z nich razem z wodą atrament. „Może ja przepiszę?”

Ojciec parsknął niecierpliwie i, wsparłszy głowę na dłoni, zamyślił się o czemś. Michaś chciał przemknąć się do kuchenki, lecz został spostrzeżony.

„Co za malec nieznośny! Dotychczas nie śpi! Gdzie byłeś?”

„Na łóżku,” usprawiedliwiał się chłopak, „patrzyłem, jak tata pisze.”

„Połóż go spać,” odezwał się ojciec zmęczonym głosem, „i sama się połóż; lepiejbyś dziecka pilnowała.”

Matka, nic nie odpowiadając, wzięła chłopca na

ręce i ułożyła do łóżeczka, gdzie pomimo protestów, że woli posiedzieć koło mamy i pytać, co tata będzie robił, zasnął prędko i twardo.

Obudził się nad ranem zmarznięty. Pokazało się, że kołderka się odwinęła i wiało mu w plecy. Rozważał, czy zawołać na mamę, gdy wtem spostrzegł ze zdziwieniem, że z pokoju przedostaje się smuga światła. Michaś zapomniał o wczorajszej przygodzie. Zczołgał się z łóżka, poszedł na palcach do niedomkniętych drzwi i zajrzał przez szparę.

Na stole paliła się lampa — żółty jęczyczek ognia zlekka się chwiał. Ojciec, pochylony wciąż, pisał i pisał — nieco głośniejszy oddech wskazywał na znużenie, oczy miał podkrążone ciemną obwódką. Jak wczoraj, na stole piętrzyła się plika Zapisanego papieru. Bliżej okna siedziała, ze śladami zmęczenia na twarzy, mamusia. Szyła, — czasem wyprostowywała się, przeprowadzając ręką po twarzy, patrzyła przez chwilę na ojca — i znowu zabierała się do szycia.

Pióro skrzypiało i duży cień ojca chwiał się, odbijając każdy jego ruch na przeciwległej ścianie.

Michasiowi było zimno w nóżki, nie odważył się jednak zawołać na mamusię. Wrócił do łóżka, skręcił się w kłębek, wzdychając niewiadomo dlaczego — i zasnął... Kury piały.

VII.

Po długich namowach i prośbach matka zgodziła pójść z Michasiem do Koluś Boruckiego, jego przyjaciela.

Szczupły i wyższy prawie o głowę od Michasia, Koluś miał twarz podłużną, upstrzoną malowniczo piegami, spiczasty nosek i wąskie wargi. Mówił przez nos, śmiejąc się, przymrużał oczy i obnażał ostre nieregularne zęby i blade dziąsła.

U pp. Boruckich zastano wcale liczne zgromadzenie. Ucieszono się przyjściem matki, i wnet rozpoczęła się ożywiona gawęda. Koluś zaprowadził kolegę do drugiego pokoju, w którym się bawił i sypiał z młodszym braciszkiem, wydobył wielkie pudło i zaczął pokazywać mu swe zabawki.

Czego tutaj nie było!

„Co, podoba ci się?” śmiał się z pychą gospodarz, rozkładając przed oczarowanym gościem kilkanaście barwnych klocków z obrazkami.

„Poczekaj, — ja ci jeszcze coś pokażę,” i Koluś Wydobył pajaca w żółto-czerwonym pasiastym ubranku w kołpaczku z dzwoneczkami na głowie. Pociągnięty

za sznureczek, pajac podskakiwał i kłaniał się, wywracając oczy białkami do góry.

Michaś ze śmiechem pociągnął sznureczek — pajac kiwał się i skakał, jak żywy. Koluś napawał się zachwytem towarzysza.

„To mi babunia podarowała na imieniny, a klocki dostałem od taty. A tobie co twój tatuś podarował?”

Ale Michaś wstydził się przyznać, że nie miał dotąd imienin. Nadał się tedy hardo i zaznaczył, że dostał dużego konia, na którym można galopować przez cały dzień — a on się nie zmęczy. Można mu też dawać wody i trawy. Taki rumak, że ho! Chłopak z zapałem opisywał rzadkie i liczne zalety swego wierzchowca: ma długą grzywę, nikomu nie pozwoli się pogłaskać z wyjątkiem Michasia. Nikt go nie ukradnie. Leci, jak wiatr, i zatrzymuje się, jak wryty, wystarczy Michasiowi gwizdnąć — i już jest przy nim.

Koluś z wrażenia szeroko otworzył buzię. „Co ty mówisz! Naprawdę? A no gwizdnij!”

Michaś ochłonął. „Widzisz, jak gwizdnę stąd — on nie posłyszysz; ale gdyby posłyszał, mógłby zaraz przylecieć i rozbudziłby twego braciszka. Mama by się gniewała...”

Koluś wyraził ubolewanie i nadzieję, że kiedyś zobaczy tego sławnego rumaka. — „I pojeżdżę na nim troszkę?” zapytał z szacunkiem.

„Nie wiem, czy on ciebie nie zrzuci,” odparł z powagą, i „ale ja go potrzymam, żebyś mógł pojeździć.”

W rzeczywistości Michaś oddawna marzył o takim koniu, widział podobnego na wystawie z zabawkami: tata powiedział mu, że kosztuje 15 rubli. Michaś rozumiał, że niepodobna wydawać takiej olbrzymiej sumy na zabawki — i tem się pocieszał.

Koluś wszakże pragnął podnieść nieco chwałę swych skarbów, przygasła wobec poematu o drewnianym koniu, wyjął coś z kieszeni, nakręcił kluczykiem i puścił na stół.

Z okrzykami zachwytu i uciechy obaj obserwowali, jak zielona żabka skacze po stole... Wreszcie się zatrzymała.

„Weź ją, zobacz — ona nie ukąsi,” śmiał się Kołuś.

Nie bez wzdragania się brał chłopak żabę do ręki. Za wskazówką Koluś nakręcił mechanizm i puścił. — Żaba znowu wykonała szereg skoków.

„Prawda, że zgrabna żabka?”

„Bardzo zgrabna.”

„A ty nie masz takiej żabki?”

„Nie.”

„A pajaca? a klocków? Widzisz, że ja mam więcej zabawek od ciebie. Mój tatuś zawsze mi coś daruje na święta i na imieniny... Czeka! o mało nie zapomniałem!”

Kolus wyjmował ołowiane żołnierzyki jednego po drugim i ustawiał w porządku na stole: piechurów zielonych i czarnych, czerwonych huzarów i brunatnych kozaków. Nie brakowało nawet armatki na dwóch kołach i kilku artylerzystów z lontami w dłoni. Michaś, olśniony i zmiażdżony, stał nieruchomo.

Koluś nadymał się i rósł w pychę. — „Co tam twój koń! — Pewno, że przyjemnie pojeździć, ale zawsze to samo prędko dokuczy. A ja mogę codzień inaczej się bawić.”

Triumf Kolutia był zupełny. Michaś zapomniał o słynnym koniu i patrzył, oczu nie mogąc oderwać od tych skarbów. Brał, przestawiał małych żołnierzyków, ubranych w piękne mundurki, z fuzyjkami na ramieniu. Wykonywał zwroty konnicą, układał ruchy wojska — bitwę. Piechota maszeruje, huzarzy pędzą wcał z szablą nagą w garści. Wtem: bum-bum... strzela armata. Walka, rwetes... Wkońcu Michaś wygrywa bitwę i na czele wojska wkracza do stolicy nieprzyjacielskiej.

„Co? prawda, nie widziałeś takich żołnierzy, Michasiu?” pytał Koluś z przechwałką.

„Nie,” przyznał otwarcie. „Bardzo ładne.”

„Koluś, chodź tutaj,” zabrzmiał głos pani Boruckiej.

Chłopak skoczył, zawinął się i wrócił po chwili. „Mama kazała kupić bułek; zaraz pobiegnę i wrócę. Pobaw się tymczasem pajacem, a później będziemy razem układali klocki i urządzimy wojnę, — dobrze?”

Michaś pozostał w zadumie przed bogactwami, rozłożonemi na stole; podobały mu się strasznie, nigdy jeszcze nie widział takich cudnych zabawek. — Tata mu nie kupi, bo nie ma pieniędzy. Conajwyżej nowy paltocek. Michaś wołałby konia albo takie wojsko. Cóż znaczą jego zapałki, „cygarki” i okręt z papieru wobec żołnierzy, uzbrojonych w karabiny z bagnetami.

Zazdrość, gorycz i żal zalewały duszę chłopca. Brał do ręki żołnierzy, pajaca, stawiał z powrotem, myślał,

wahał się, potem podszedł do drzwi — w sąsiednim pokoju panował gwar — przymknął je ostrożnie i wrócił do stołu.

. Pani Borucka, maleńka i mizerna kobieta, bardzo podobna do syna, rozprawiała z wielkiem przejęciem. Pani Daczewiczowa, osoba tęga, o bujnej piersi i szerokich ramionach, siedziała obok męża, chudego blondyna z rzadką, kozią bródką, wtrącając niekiedy do rozmowy uwagi złośliwe. Matka Michasia zapalała się i jednych broniła, drugich potępiała z jednaką gwałtownością...

„Wszystko powinno być wedle sprawiedliwości. Każdemu, kto źle postąpi, powiem to w oczy!”

„Ech, moja pani,” dobrodusznie odezwał się p. Daczewicz, „nie starczyłoby i języka ludzkiego.”

„Pan wszystko w żart obraca, a ja mówię serjo!” gorączkowała się matka.

Dyskusję przerwało wejście p. Rybanowej z Kostkiem. Za buzię rumianą i białą, za dyszkant i zamiłowanie do lalek koledzy przezywali Kostka nieco lekceważąco „Maryską”. Panią Rybanową powszechnie za dobre serce lubiano.

„Niech się pani rozbierze; samowar już szumi, zaraz herbata będzie,” zapraszała wesoło gospodyni. „Kolusia z świeżutkiemi bułeczkami tylko patrzeć. A Kostek niech idzie do drugiego pokoju — tam jest Michaś, pobawią się razem.”

W tej chwili właśnie Michaś ukazał się we drzwiach. Był zupełnie ubrany do wyjścia. Wytarte futerko, szczel-

nie opięte, wydymało się z boku. Czapka, zsunięta naprzód, ledwo trzymała się na głowie. Chłopak brwi miał nasępione, czoło w zmarszczkach, jedną rękę trzymał zaciśniętą w kułak; na policzki wystąpiły mu plamy rumieńców.

„Mamo! ja chcę iść zaraz do domu. Chodźmy!”
Wszyscy byli zdumieni.

„Co ci jest, Michasiu? Ledwoś przyszedł, chcesz wracać? Ciągłe mnie nudzi! chodźmy i chodźmy do Kolusia. Cóż to za pośpiech? Napijemy się herbaty, posiedzimy, pobawisz się z Kolusiem. I Kostek przyszedł, będzie wam weselej.”

Michaś sapnął tylko ze wzruszenia i jednym tchem wygłosił: „Nie chcę się bawić. Chodźmy, mamo.”

„Coś w tem jeżt,” zachodziła w głowę matka.

„Możesz chory, Michasiu?” zagadnęła p. Rybanowa.

„Nie,” zmieszał się chłopiec. „Tak”, dodał po chwili, „brzuszek mnie boli,” i mocniej się zaczerwienił.

„Trzymaj, Michaś, bo ci czapka spadnie!” pisnął cieniutko Kostek.

Chłopak złapał się za głowę kurczowo.

„Rzeczywiście! nawet nie zauważyłam. Czemuś włożył czapkę, Michasiu? Ile ci razy mówiłam, że jest niegrzecznie stać w czapce w pokoju! Zaraz mi zdejmij! I futerko rozepnij, jest ci gorąco i pewno dlategoś taki czerwony, jak pomidor. Wstydz się, Michasiu!”

Ale malec z uporem wołał: „Nie. Chodźmy już, mamo!” i jako argument ostateczny powtórzył: — „brzuszek mnie bardzo boli...”

„Et! żebyś nie mógł chwilki poczekać, aż się ubiorę. Zrzuć tymczasem czapkę i rozepnij paltocik. Coś tam napchał do kieszeni, że się tak rozdyma?”

Mimo rozpaczliwego oporu Michasia matka z nietajoną irytacją zerwała czapkę. — Na czuprynie chłopca pod czapką spoczywał wspaniały pajac żółto-czerwony z rozdziawioną głupim śmiechem, malowaną gębą.

„Jezus Marja !” klasnęła w dłonie p. Borucka, „a toż co? — Przecież to pajac mego syna!”

„I w rączce coś trzyma; niech pani zobaczy,” słodko dorzuciła p. Daczewiczowa.

Palce Michasia się rozemknęły, i żabka zielona wypadła z lekkim brzękiem na podłogę.

Kostek zatoczył się ze śmiechu. „O-o! Michaś do kieszeni także coś schował. Hi-hi-hi!”

Ostupiała, przerażona matka sięgnęła machinalnie do kieszeni chłopca: w jednej obozował tuzin piechurów, w drugiej kilku huzarów i armata z artylerzystami.

Śmiech wybuchnął głośny, powszechny, niepokonany.

Prychała złośliwie p. Daczewiczowa, przymawiając: „ładnie chłopuś poczyrna, ładnie!” Mąż jej śmiał się basem, powtarzając: „Afiglarz z tego Michasia... pod czapkę, panie dobrodzieju... mądry łeb! cha-cha-cha!...” P. Borucka, ubawiona, kiwała głową: „oj, Michasiu, Michasiu!” Kostek trzymał się za boki: „Michaś świsnął Kulusiowi pajaca! Hi-hi-hi!...”

Tylko matka potrząsała chłopcem z pasją i boleścią. „Jak śmiałeś! Kto cię nauczył? Chcesz zostać złodziejem, rozbójnikiem? ! Będziesz mi kradł cudze zabawki? ! Kto

cię nauczył? mów! To wszystko od ułiczników pewno. Mój Boże, co mi z tego chłopaka wyrośnie!..."

Szorstko schwyciwszy Michasia za ramię, targała go coraz mocniej: „No, mów zaraz! Będiesz mi kraść zabawki? Wolę, żebyś umarł raczej, niżbym się miała dochować bandyty... Słyszysz, mów!”

Ale Michaś połykał coraz prędzej ślinę i mrugał oczami, z których żadna łza się stoczyć nie chciała. Policzki paliły mu się ze wstydu i rozpacz.

„Niech pani tak na chłopca nie krzyczy. Cicho bądź, Kostku.” I odebrawszy go z rąk matki, p. Rybnowa zapytała łagodnie: „Czemuś to zrobił, Michasiu? Wiesz przecież, że*nie wolno brać cudzych rzeczy bez pozwolenia.”

„Ja... nie kradłem...” wykrztusił malec z trudem, i łkanie suche wydarło mu się z piersi, „chciałem tylko troszkę się pobawić.”

„Mogłeś Koluśka poprosić,” wtrąciła p. Borucka, „byłby ci pozwolił.”

„Aha! akurat!” łkał Michaś. „Jeszczeby się śmiał, że mi tatuś zabawek nie kupuje... Jabym się pobawił i oddał...”

Matka zaczęła się żegnać. Nie chciano jej wypuścić. Daremnie wypraszała się, że syn jej zepsuł humor, że przyjdzie innym razem. P. Daczewicz pocieszał ją, że dzieci nie rozumieją dobrze, co robią, że chłopak byłby sam zwrócił zabawki...

„A sprytna szelma I" przypomniał sobie nagle ze śmiechem: „pod czapkę schował, do kieszeni i jazda do domu... Brzuszek go boli! Cha-cha-cha!..."

Wkońcu matka musiała ulec, dla niepoznaki, jak dalece dotknęła ją ta przygoda. Nie dała się jednak przebłagać co do chłopca, który stał z tragicznie znie- ruchomiłą twarzyczką i z suchą, błyszczącą ponuro źre- nicą. Wsunęła mu czapkę na głowę i popchnęła do wyjścia.

„Marsz do domu i siedź w pokoju. Pogadamy, gdy wrócę."

Michaś poruszył wargami, jakby coś chciał powie- dzieć i spojrzał na matkę. Odwrócił się i poszedł do drzwi, nie zważając na Kostka, który stroił grymasy i śmiał się do rozpuku.

»

„Nie pożegnał się nawet!" powiedziała matka z go- ryczą.

„Niech już go pani nie dręczy, — malec i tak nie wie, gdzie oczy podziać ze wstydu," broniła p. Daczewi- czowa.

Michaś zadarł głowę wyzywająco i cisnął w matronę nienawistnym spojrzeniem.

P. Daczewiczowa się obruszyła: „Jak wilk patrzy, taki knot!"

" •

„Michaś!" zawołała matka.

Ale malec już był za drzwiami. Kostek wymknął się za nim niepostrzeżenie. Michaś brnął przez śnieg, przez kałuże podmarzniętej wody — rzecz się miała na, po- czątku marca — ochlapał sobie szaiawarki, za cholewki nasypało się śniegu, czapka zjechała na bok i ostry

przenikliwy wiatr za wiewał przez rozpięty paltocik... Chłopiec nie zważał na nic. — Wszystko mu jedno. Niech się dzieje, co chce. Trawiła go bezbrzeżna gorycz, płomienie wstydu biły na twarz.

— Tak go przy wszystkich zbesztać, zhańbić!... Ja bym się pobawił i oddał — nicby się nie zepsuło... Mama nazwała mnie złodziejem, że wziąłem na chwilkę zabawki Kolusia. A jemu wszyscy kupują, a mnie nikt... — Chłopiec głośno chlipnął.

„U-u! beksa, beksa! Ukradł zabawki! Michaś złodziej — ukradł zabawki!” zanucił Kostek.

Michaś obejrzał się. Kostek biegł z boku i, przeдрzeźniając go, pokazywał mu język. Chłopak wsunął czapkę na uszy, żeby nie słyszeć, i przyspieszył kroku. Ale Kostek go nie odstępował. Drwił, rzucał grudki śniegu.

Michaś, zamknawszy wręcz w nim wściekłość w karby rozwagi, szedł nastroszony, nie zważając pozornie na dokuczliwego kompana. Kostek wolałby, żeby Michaś złościł się, krzyczał lub płakał. Widząc, że drwiny nie wytrącają go z pogardliwego milczenia i że za chwilę wyjdzie już na ulicę, wyprzedził Michasia o parę kroków i stanął wpoprzek jedynej furtki w bramie.

„Puść!”

„Nie puszczę! Ukradł zabawki, ha-ha-hą!”

„Mówię ci: zaraz puść!”

„Nie puszczę, poczekaj. Przyjdzie Kolus — On cię dobrze napierze za żabkę i za pajaca, hi-hi-hi!”

Michaś zmierzył przeciwnika spojrzeniem. Kostek był gruby i dużo wyższy od niego. Mimo braku ducha wojowniczego był znacznie silniejszy — i Michaś wiedział, że nie da sobie z nim rady. A tu jeszcze Kołus nadejdzie ze sklepiku...

„Puść, Maryśka!” krzyknął z pasją.

„A figę chcesz?” odparł Kostek zirytowany przewiskiem. I mocniej rozpostarł ramiona, zasłaniając sobą furtkę.

Michaś wbił ostrze wzroku w rumiane oblicze wroga. Błysnął w nim groźny płomień tajemnej decyzji. Rzucił się nagle na ziemię i z całej siły poderwał Kostka za nogę. Kostek, zadufany w swej sile, nie spodziewał się napaści, rymnął też jak długi, otwierając wolną drogę zwycięzcy.

Po chwili przeraźliwy krzyk: „Mamo! Michaś mnie bije!” rozległ się na podwórzu.

„A co? — nie puściłeś?” z triumfem zjadliwym zawołał Michaś... „głupia Maryśka!”

Ale upojenie zwycięstwem trwało krótko. Po kilku mgnieniach pamięć wróciła, a z nią przypomnienie hańby. Pomyślał, że wszyscy chłopcy będą mogli mu teraz dokuczać, jak ten głupi Kostek z jego: „ukradł! ukradł!...” Michaś rzucił się w paltocie na łóżko, zatknął palcami uszy, żeby nie słyszeć natrętnego syku myśli złośliwych... Przyszły jednak. — Hańba! Ukradłeś; wziąć bez pozwolenia — to to samo, co ukraść. Wszyscy się śmiali!... Wstyd przedostał się głęboko, głęboko do samego serca i świdrował tam, kręcił.

„[mama... zamiast mnie bronić — najwięcej wymyślała." — Uczucie goryczy przebrało miarę. Michaś wił się po łóżku, nie mogąc wypłakać ani jednej łzy. Spiekły się w kamień, a wyjść nie chciały. „Wszyscy na mnie napadają, krzyczą, wstydzą; nikt nie broni, nie lubi. Mama powiedziała, — lepiej żebym umarł. Umrę, kiedy tak. Pójdę do nieba, do Musi. Wtedy będą żałowali i płakali. Ale będzie zapóźno... Pewno mama, gdy wróci, opowie tatusiowi. Niech biją... zabawek nie kupili! Wszystko jedno, umrę. Brzuszek mnie boli i główka — i kaszlę (Michaś spróbował zakaszlać,) jak Musia, — prędko im umrę!"

„Wówczas zobaczą!..."

TIII.

Słońko przygrzewało coraz mocniej. Śnieg topniał, niknął wprost w oczach. Wczesnym rankiem przy-
mrozki powlekały cienkim szkliwem kałuże i dachy,
ale w południe — w paltociku zimowym było już za go-
rąco. Ani sposób utrzymać chłopca w pokoju. Mamusia
krzyczała, gniewała się na Michasia, wybiła go czasem...
Nadaremno. Złapany dwadzieścia razy na gorącym uczyn-
ku ucieczki niedozwolonej z pokoju, chłopak znowu i zno-
wu wymykał się, jak woda przez palce — i już był na
podwórzu.

Nie skutkowały ani zakazy, ani prośby, ani kary,
ani pochlebstwa. Chłopak słuchał milczący, bez uśmie-
chu, z błyskiem zaciętości w siwych źrenicach. Jak tylko
matka się odwróciła, zajęta koło gospodarstwa, nucąc
swoim zwyczajem piosenkę w dźwięcznym, obcym języ-
ku:... „Michaś!" —Michasia już nie było. I trudno się dzi-
wić. Tyle miał przecież spraw ważnych i pilnych robót,
że ledwo mógł temu podołać.

Z góry spływały z szumem mętne, spienione potoki,
rozbijając się na tysiąc strumieni, co z szmerem sre-
brzystym i gwarem żłobiły we wszystkich kierunkach po-

wierzchnię dziedzińca. Z rynien z brzękiem spadały, rozpryskując się na drobne kawałeczki, grube sople lodu, madgryzione ząbkami złocistej zgrai promieni. Chłopcy i dziewczynki — od knotów dwuletnich do obywateli poważnych w wieku szkolnym włącznie — wrzawą radosną witali przybycie wiosny czarodziejki. Co żyło, wyległo na dziedzińcu. Wszyscy mieli roboty po uszy.

Szeroko, jak morze, rozlały się kałuże — ogromne, niebezpieczne, kuszące niezbadaną jeszcze głębią. Zwłaszcza na ulicy, gdzie krzyżowały się odpływy i strumienie ze wszystkich dworów. Szczęśliwy, kto miał buty z cholewami! Michaś należał do tych wybrańców losu. Prześlizgnąwszy się z podwórza na ulicę — żeby mamusia nie zobaczyła — chłopiec wyszukał największą kałużę, dokoła której zgromadziło się sporo dziatwy. Naradzano się, twierdzono, że tu musi być głęboko, że można utonąć albo co najmniej wpaść po szyję i zniszczyć ubranie.

Michaś zmierzył kałużę zuchwałym okiem; kombinował, badał wysokość cholewek... wreszcie, choć wyprawa była niepewna, krzyknął chełpliwie: „Ano, chłopcy! Kto za mną? Nie bój się!” wkroczył do wody.

Woda, chlupiąc, rozstępowała się zdradliwie; dno było lejąte, śliskie, o podkładzie lodowym. Coraz to było głębiej. Z miną gracką, lecz bardzo powoli Michaś posuwał się naprzód. Towarzyszyły mu okrzyki zachwytu i podziwu rzeszy widzów. Wkrótce już woda sięgała do czubka cholewek, — gdyby nikogo nie było, możnaby się wrócić, ale tak tryumf dotychczasowy zamieniłby się w klęskę... I wbrew głosowi rozsądku malec ruszył

dalej, wybierając i obmyślając rozważnie każdy krok, każdy rucli.

W pewnej chwili wydęta baniasto toń wody zrównała się z brzeżkiem cholewek. Michaś zawahał się, postąpił wśród ciszy kompletnej ćwierć kroku naprzód.. Z okrzykiem niekłamanej radości — „A co? nie mówiłem!?” — zaczął wychodzić na przeciwległą, szybko wznoszącą się stronę kałuży. Szmer uznania rozległ się w tłumie.

„Aj da lach! niech go djabli!” zawołał jeden ze starszych, uczeń szkoły miejskiej. „Zuch, niema co. My ślałem, że się utopisz”.

„Phi! jeszcze też”, niedbale odparł Michaś, pozornie obojętny na pochwałę: — Nie przystoi bowiem chłopcu cieszyć się dziecinnie ze swych czynów, to dobre dla „małych”.

Od niechcienia wycedził: „Dobra była przeprawa, co?”

„Zuch, zuch!” potwierdził starszy łaskawie.

Teraz i inni nabrali odwagi. Po kilku mgnieniach w kałuży zaroilo się od dziatwy. Jakaż to rokosz wejść z butami do wody i, chlupiąc: buch, buch! jak wielki parowiec, płynąć od brzegu do brzegu.

Michaś—'kapitan dawał komendę: „trzeci dzwonek!” przyjmował ją, jako majtek i dzwonił: dzeń dzeń, dzeń, dzeń, dzeń. Gwiżdżąc przeraźliwie, odbijał od lądu. „Naprzód, całą parą! Czuch, czti-czuch-czuch, czu-czuch — pracowały koła parostatku. Uciekaj! — Hetman płynie! Słyszysz, łysa kukło? bo potopię!” kłócił się

Michaś, rozmijając się z innymi statkami. „Zwolnić chód! Rzucaj kotwicę! Stop!” I Hetman przybijał do brzegu.

Niestety w tak słodkich zabawach czas leci szybko. Zbliżyła się pora obiadowa i, w chwili wyruszenia w podróż odległą—do Warszawy—mocna dłoń ujęła chłopaka za ramię i wielki okręt „Hetman”, tłumacząc się, że on, tato, nic, że on tylko troszeczkę — i majteczki ma suche, do-
prawdy, — skierowany został przez siły wyższe do domu. Starsi nie mają wyrozumienia ni litości, jak wiadomo, i tegoż jeszcze wieczora chłopiec pozbawiony został butów, przemoczonych do nitki... jak gdyby to komu mogło szkodzić. Włożono mu natomiast stare proste trzewiki bez cholewek. W tych ani marzyć o pływaniu „statkiem” po wodzie.

Pewnego popołudnia Michaś wyszedł z domu trawiony nieustanną żądzą tworzenia i czynu. Z rękoma w kieszeniach szedł w zadumie wzdłuż rynsztoka, biegnącego w linii zygzakowatej przez dziedziniec. Rynsztok urywał się przed bramą. Grunt tworzył w tem miejscu wklęsłość. Pod bramą w środku przekopany był rowek do odpływu wody z rynsztoka.

Nawoływania kompanów, puszcających łódeczki z kory po kałużach i jamkach nie wytrąciły go z rozważania wielkich, aczkolwiek mgławicowych jeszcze planów. Zatrzymał się przed bramą. Błysk decyzji strzelił nagle z pod brwi nasepionych. Michaś zaczął energicznie gromadzić kamyczki, ułamki cegły, lodu, nakopał kijem ziemi i znosił to wszystko na brzeg. Poczem, zmierzwszy głąbo-

kość rowku pod bramą, zasypał go gruzem. Woda zatrzymała się w biegu, zakreśliła, aż wreszcie powoli, z wahaniem poczęła się rozlewać wokoło, szukając innego ujścia.

Ale Michaś był na straży. Umacniał i wznosił swą tamę, gdzie trzeba dorzucił kamieni. Wkrótce już tama nie przepuszczała zupełnie wody, która wzbierała i rozplątała się we wgłębieniu przed bramą w prawdziwe jezioro.

Roboty inżynierskie Michasia wzbudziły powszechne zaciekawienie i zachwyty. Chłopcy tłumnie pobiegli po swe stateczki; nawet Kuźma zaproponował mu wspólną zabawę.

Ale Michaś nie zapomniał o zajściu zimowego. Z miną wyższości wzgardliwej sarknął: „Baw się sam! Dlaczego mnie wtedy lachem przezwał?”

„Ha, to nie trzeba. Jaki mi hardy!” obraził się Kuźma. „Ja do niego, jak do chłopca — a on — tss!” gwizdnął złośliwie, „lachem cię nazwałem, boś lach!”

„Kłamiesz!”

„Nie kłamię. Nam w szkole mówiono, że wszyscy lachowie są katolicy i cara zdradzają. Buntownicze plemie — ot co mówił nauczyciel. „Nie bawcie się z nim, chłopcy,” zwrócił się do gromadki.

Ale nikt go nie usłuchał. Chłopcy byli teraz po stronie Michasia. Kuźma to odczuł i na złość mu zaczął dosypywać tamę, psując w ten sposób harmonję budowy i wdzierając się w cudze prawa własności. Michaś ostro zaprotestował i rzecz zagrażała konfliktem, gdy wmieszała się w to dłoń opatrności w postaci Iwan% z miotłą.

Stróż Iwan był to muzyk typowy. Miał zielonkawe dobroduszne oczy i nos jak cebulkę, zadarty do góry; drobne dziecinne usta odbijały od ogorzałych, jak miedź samowara, policzków i brody ryżej, jak ogień. Ubrany był zawsze w czerwoną wypłowiałą koszulę, w spodnie czarne plisowe i wysokie buty z cholewami.

Iwan sprzątał z podwórza resztki brudnego lodu. Nie bez zdziwienia zauważył, że woda przestała odpływać w kierunku ulicy. Pewno się dziura zatkała — pomyślał i udał się do bramy. Przed bramą regularna tama przegradzała rowek i woda rozlała się, jak jezioro. Na domiar złego Kuźma dosypywał ciągle tamę, kłócąc się równocześnie z Michasiem.

„Ja was!” jęknął Iwan groźnym dyszkantem. „Groble mi będziecie grodzić i podwórze zatapiać! Poczekajcie, huncwoty!” ^

Z krzykiem pierzchła hałastrą.

Iwan już trzymał Kuźmę za ucho, przymawiając: „Ja cię nauczę, szewczyku durny, groble sypać! Poczekaj, !”

„To nie ja, to Michaś”, z płaczem wydierał się Kuźma.

„I nie wstyd wam, paniczu, z hołotą się zadawać? To nie dla was towarzystwo.”

Michaś zażenowany szedł ku domowi, nie bez żalu spoglądając na to, jak Iwan, kopnąwszy niezbyt delikatnie Kuźmę poniżej pleców, zabrał się do burzenia jego dzieła. Troszkę to było zabawne, że Kuźma oberwał zamiast niego. Zastanawiał się nad tem, dlaczego Iwan z taką pogardą mówił o „szewczyku”, a jeg®

traktował grzecznie i nazywał paniczem... Ze śmiechem opowiedział matce, jak Iwan zamiast Michasia Kuźmę przepędził.

Ale matka nie podzielała jego wesołości. „Bardzo niesprawiedliwie Iwan postąpił. Nie powinieneś się cieszyć z cudzego nieszczęścia, któregoś sam był sprawcą”.

„Iwan nazwał Kuźmę szewczykiem, mamusiu, — a mnie nie ruszył, bo jestem panicz!”

„Niemądryś, Michałku. Kuźma syn szewca, Waśka syn krawca: rodzice każdego z nich zarabiają na chleb uczciwą pracą. Wszyscy ludzie są równi; trzeba szanować każdego porządnego człowieka. Mówiłam ci nieraz, że Jezus Chrystus kazał kochać wszystkich bliźnich jednako.”

„Jakto mamusiu? Kolusia i Kostka, to dobrze, ale Kuźma nie jest moim bliźnim — ja nie chcę! On mnie chciał obić, tylko sam się bał i chłopców podjudzał. — Aha, lach! — A on moskalczuk głupi!” przypomniał sobie malec z irytacją. „Mamo, czemu rosjanie nie lubią polaków? Czy to prawda, że polacy są buntownicy?”

„Kto ci tak nagadał, Michasiu? Głupstwo. To kiedyś było, bardzo dawno. Teraz wszyscy w zgodzie żyją. Pamiętaj, kto się kim urodził, tym niech zostaje, ale nie ma się czem chwalić przed innymi. Rozumiesz?”

„Rozumiem, mamusiu. — A można pójść na podwórze? Pobawię się troszeczkę i wrócę zaraz, za kwadrans.”

„Posiedź lepiej w pokoju, pobaw się zabawkami.”

„Kiedy ja całą zimę siedziałem w pokoju. Dokuczyły mi zabawki”, błagał ze łzami w głosie.

„Zgoda. Puszczę cię na podwórze, tylko musisz mi przyrzec”...

„Dobrze, mamusiu, będę grzeczny”, przyrzekał pośpiesznie.

„Możesz iść na podwórze”, powtórzyła matka, „pod warunkiem, że nie będziesz się bawił z dziećmi”.

„Dlaczego, mamusiu?” — Zakaz grubo obniżył wartość pozwolenia.

„To są zepsute dzieci; wiesz — palą, wymyślają brzydkimi wyrazami... Wolę cię na krok nie puścić od siebie, choćbyś mię nudził od rana do nocy, niżbyś miał stać się podobnym do nich.”

„Ja z takimi, mamusiu, nie bawię się”. — Michaś czuł wrodzoną odrazę do brzydkich wyrazów, jakkolwiek nie wiedział właściwie, co znaczą. — „No, a z grzecznymi chłopcami można się bawić, prawda, mamusiu?”

Matka była nieubłagana. „Nie. Z żadnymi dziećmi z podwórza. Wszystko to ulicznicy, synowie szewców, robotników, nieokrzesani, bez wychowania. Nie pozwalam.”

„Mamusia mówiła”, nadąsał się chłopak, „że wszyscy ludzie są równi, — to i ja jestem równy i mogę się z nimi bawić.”

„Nie, to nie jest towarzystwo stosowne dla mojego Michasia. Idź, baw się, ale jeśli zobaczę cię z nimi, pamiętaj, przez tydzień nie puszczę cię z pokoju.”

Michaś cichutko wyniósł się z kuchni. — Dlaczego mama mówiła, że wszyscy są bliźni, a bawić się z dziećmi zabrania? Kuźma, Waśka i Piętka palą i łąją się — on.

się z nimi nie bawi. A inni są dobrzy i dzielni chłopcy. Kostek i Kohiś bawią się z nimi. dlaczego jemu nie wolno ?

Gubiąc się w płonnych domysłach, Michaś z ciężkie ta sercem wybrał się na drugi koniec dziedzińca dla kopania jaskini.

IX.

Wiosna stanęła w całej krasie. Popękały baze, listki-żółtodzioby rosły, jak na drożdżach; wśród jasno szmaragdowej młodziuchnej trawy uśmiechały się do słońca radośnie pierwsze kwiatki czerwone, żółte i fioletowe.

Michasiowi nudziło się bez towarzystwa, wszelkie próby zabawy z chłopcami z podwórza matka udaremniała bezlitośnie. Dzieci również stroniły od niego. „Michaś zhardział; nie chce bawić się z nami — i nie trzeba.!”

W tym czasie rodzice zaczęli bywać u właścicieli domu. Wzięli kiedyś chłopca na wizytę. Z początku Michaś czuł się onieśmielony. Przedstawiono go najprzód starszemu już chłopakowi, który nazywał się Bazyli i chodził do I-szej gimnazjalnej. Czarny mundurek ze srebrnymi guzikami, pas wylakierowany i długie spodnie znakomicie dostrajały się do/ jego < miny,^f_d natchnionej Wysokiem poczuciem gcdności własnej. Bazyli starał się pogrubiać dźwięczny swój dyszkant i cedził wyrazy przez zęby, ręce trzymał w kieszeniach, a Michasia traktował z grzeczną obojętnością. <

Na szczęście wkrótce do pokoju wtargnęli z hałasem dwaj młodszy jego bracia — Szura i Grześ. Szczególnie

Szura oczarował Michasia. Był to chłopiec, jak na swój wiek,, wysoki, smukły i szczupły. Żywe czarne oczy patrzyły z pod śniadego, nieco wąskiego czoła, nad którym sterczał czarny, krótko przyszyżony czub. Zaintrygował Michasia dużą włochatą brodawką na lewym policzku. Szura poruszał się ostro i energicznie, mówił głębokim, męskim prawie barytonem. Grześ, okrągły mały blondynek, w wieku Michasia, trochę był zarozumiały, lecz nie kłótniwy. Obaj bardzo weseli i uprzejmi.

Szura wziął rękę Michasia i mocno ją ścisnął. Chłopiec udał, że go to wcale nie boli. Szura się uśmiechnął i rzekł basem: „Zuch. Nie maże się, jak baba. Będziemy znajomymi”.

Michaś się ożywił. Rozgadano się. Pokazało się, że obaj zostają przez lato w mieście, ponieważ Szura będzie w jesieni zdawał egzamin do wstępnej klasy. Zostaje także Grześ z matką, a Bazyli wyjedzie z ojcem na wieś.

„Doskonale! — będziemy urządzali gry. Umiesz czytać, Michasiu?”

„Nie”, wyznał ze wstydem. „Mama mówi, że jestem jeszcze za mały”.

„No to nic. Ja ci opowiem. Będziemy się bawili w indjan — wiesz?”

„U—hu—u”, mruknął chłopak politycznie.

„Doskonale!” zawołał Szura. „Indjanie to są dzicy ludzie — czerwonoskórzy; biali toczą z nimi zacięte wojny. Lubię indjan!”

„I ja też”, potwierdził Michaś, porwany jego zapalem

Bzura wydość z szafy kilka książek z obrazkami. Michaś się pochwalił, że w domu ma gruby rocznik ilustracji.

„Pokażesz mi?”

„Naturalnie!”

„Doskonale!” zagrzmiał Szura, który stanowczo lubował się w tym wyrazie. „Przychodź, będziemy się bawili; a jak podescłmie na górze, urządzimy wojnę indjaa z białymi.”

„Doskonale”, skinął głową Michaś, naśladując mimowoli ostre ruchy Szury.

W maju wszystko podeszło, jak się patrzy.

Grześ codzień się uczył czytać przez pół godziny; Szur» zrana przerabiał lekcje z nauczycielem. Od południa po śniadaniu obaj byli wolni.

W dziedzińcu obwołano pospolite ruszenie. Z wyjątkiem paru chłopców, co jak Kuźnia i Piętka musieli pomagać rodzicom koło rzemiosła, przyjmowano wszystkich, mających najmniej cztery lata, umiejących biegać i nie urządzających beksów o byle co. Dziewczynki, pomimo ich błagań i zaklęć, wykluczono z gry zasadniczo.

„Nam bab nie trzeba. Baby powinny pieluch i garnków pilnować”, lubił powtarzać Szura twardym swym męskim głosem.

Zwołano wiec.

Szura wlaź na ławeczkę i tak przemówił: „Posłuchajcie, chłopcy, co wam powiem. Rzućcie wasze zabawki.

Dobre to dla piecuchów, nie dla zuchów. Ten, kto przyłączy się do mnie, będzie się razem ze mną bawił na górze. (Góra, parkanem odgradzona od dziedzińca, była dla dzieci rzeczą zakazaną, niedoścignionym przedmiotem marzeń.) Słuchajcie, chłopcy. Opowiem wam o turkach. Turcy, mahometanie, naszej wiary chrześcijańskiej nie uznają; jedzą koninę na surowo." — Wielkie zaciekawienie wśród słuchaczy. — „Turcy mają po sto żon w haremie." — Szmer podziwu. — „Napadają na naszych braci, mordują ich i męczą. Kobiety porywają do niewoli, sobie do haremu."

„I dziewczynki też?" odezwał się cieniutki głosik."

Szura strzelił wzgardliwie okiem i odparł. „Dziewczynki turcy zjadają żywcem". — Pisk przerażenia. — „Zato nasi kozacy — zuchy — pałą ich wioski, wojują z nimi. Turcy ich strasznie się boją. Ot co! Ja o tem wszystkim przeczytałem w książce", dodał nie bez chępliwości. „Cóż, chłopcy, będziemy się bawili w turków?"

„A jak?" spytał Michaś.

„Zaraz powiem. Połowa będzie turkami, połowa kozakami, i będziemy wojowali. Dobrze?"

Okrzyki uznania.

„Kto chce być kozakiem, ten będzie ze mną."

„I ja, i ja!" wrzasnął wiec jednogłośnie.

„A kto będzie turkiem?"

Milczenie.

„No, chłopcy — bo tak nic nie można urządzić. To przecież tylko zabawa. W zabawie można być turkiem."

„Dobrze. Ja będę turkiem", po krótkim wahaniu zgodził się Michaś.

„Doskonale! A kto jeszcze? Jednego za mało."

Mimo namów nikt więcej nie chciał się zgłosić. Kozakiem — bić Turków — wszyscy; turkiem. co ma stożon i jada surowe mięso — nikt, prócz Michasia; a i jego trapiły tysiączne wątpliwości. W rezultacie zabawa w Turków odpadła.

Nie bez zawodu zaproponował Szura inną grę. Nadzedł Bazyli, pałac papierosa! Obradom przysłuchiwać się z uśmiechem pobłażania.

„W takim razie", zawołał Szura, „bawmy się w Indjan. Indjanie są to dzicy czerwonoskórzy ludzie. Mieszkają w lasach Ameryki, chodzą prawie nago i żyją z polowania. Oni są bardzo waleczni i okrutni. Wrogom zabierają z głowy skalpy".

„A jak to się robi?" zaryzykował ktoś nieśmiało pytanie.

Szura wbił weń twarde spojrzenie czarnych oczu i basem objaśnił: „Skalpy robi się tak: bierze się za czuprynę, przeprowadza się nożem dookoła włosów"... — Syk zgrozy w tłumie. — „Obcina się skórę z czaszki razem z włosami. Dzielny wojownik nosi czasem dziesięć takich skalpów przy pasie".

Szura tryumfalnie obwiodł wzrokiem słuchaczy. Oszołomieni, podbici krwawym czarem ^opowiadania, roili z rozjarzonymi oczętami i z buzią przybladłą potworną wizję, odrażającą i kuszącą zarazem swą niezwykłością.

„Indjanie”, kontynuował Szura, „żyją w wiecznej wojnie z białymi myśliwcami”.

„Dlaczego Y’

Szura ramionami tylko wzruszył, że go nudzą takimi głupstwami. — „Indjanie sami sobie dają imiona: Chyży Jeleń, Cicha Strzała, Wściekły Niedźwiedź i temu podobne”. — •

Szepty zachwytu; legenda oczarowała wszystkich.

„Będziemy się bawili! Dobrze! Zuch Szura, że to wymyślił!” zabrzmiały wrzaski.

O mało wszakże rzecz nie rozbiła się znowu o jedno-głośne niemal życzenia wstąpienia do obozu indjan. Szura ogłosił, że to wszystko jedno, że biali myśliwcy także są bardzo waleczni — poznają ze śladów zwierzynę i liczbę ludzi, na sto kroków trafiają kulą do drobnego ptaszka. Przytem mają karabiny.

„A indjanie nie?”

„Nie. — Zresztą możemy się zmieniać. Ja sam wyznaczę białych. Kto nie usłucha — pójdzie precz z zabawy. Cackać się też z wami nie będę. Ty, Michaś, będziesz wodzem białych.”

Michaś żywo zaprzeczył. „Ja nie wiem, co mam robić i nie potrafię być białym, Szura. Ja lepiej z tobą.”

„No dobrze,” przystał Szura łaskawie; „kogoś im trzeba dać jednak na wodza. Bazyli, bądź wodzem białych.

„Ani mi się śni. Będę się jeszcze z dzieciarnią zadawał,” niedbale wycedził brat, rzucając papierosa na ziemię i zdeptując go nogą.

„Bazyli, posłuchaj; oni rzeczywiście nie wiedzą, co biali robią, a tyś czytał przecie Majn Ryda i Kupera.”

„Czytałem.”

„No widzisz. I ty doskonale poprowadzisz białych na ścieżkę wojny; W ja będę wodzem indjan. To nic, że oni są młodzi, to przecie zabawa. Będą słuchali twych rozkazów... zobaczysz, jakie to będzie ciekawe.”

„Daj mi spokój; ja mam lekcje do powtórzenia.”

„Pluń na lekcje, to nudziarstwo!” przekonywał gorąco Szura.

„Ty będziesz „Ostatnim Mohikaninem”, namawiał brata, który poczynał się wahać.

„Ostatni Mohikanin był czerwonoskóryro”, poprawił Bazyli.

„Prawda. Więc będziesz Duchem Puszczy. Pamiętasz, Bazyli?”

„A gdzie będziecie wojowali?”

„Na górze. Ty możesz wziąć takich, co gorzej biegają, bo my nie możemy na was otwarcie napadać — wy macie karabiny, a my musimy się skradać, uciekać.”

W rezultacie Szura wybrał najdzielniejszych i szybkich biegaczy, zostawiając mniejszych i słabszych Bazylemu, który zresztą sam nie lubił zanadto się fatygować. Wybrani otoczyli swych wodzów, dopytując się o szczegóły, radząc się, jakie przybrać nazwy. Szura rzucał pomysły, przypominał imiona indjan z Kupera i Majn Ryda, niecierpliwił się, tłumaczył.

Michaś łamał sobie głowę, czem on ma zostać. — Czyżym Tomahawkiem? — Szura mówił, że to taka sie-

kierka, którą się rzuca do celu. Ale „tomahawk” trudno **wymówić...** Skok Pantery? —Pantera, to owszem — to rodzaj tygrysa podobno. A tygrys? no, to tygrys, drapieżne bardzo zwierzę, co się czai i rzuca na ludzi. Ate^Skok Pantery to nic nie mówi, oprócz tego, że się dobrze skacze... Wkońcu zdecydował się Michaś na Czarnego Orła.

Szura pochwalił pomysł i przyznał, że byłby sam wybrał tę nazwę, gdyby już nie nazwał się Lwem Sercem. Michaś spojrzął z uszanowaniem na wodza.

Biali także dostali przezwiska, ale one się ani umywały do ślicznych imion czerwonoskórych.

„A teraz, chłopcy, do robienia broni...”

„Zaczekaj, Szura,” wtrącił z powagą Bazyli; „nim tomahawk wojny będzie wyryty pomiędzy nami, umówmy się, jak to będzie.”

Po długich naradach stanęło, że każdy wojownik, dotknięty pociskiem lub tomahawkiem dwukrotnie, uważany będzie za zabitego i do końca jednej gry musi wystąpić z szeregu.

„A jak mają postępować biali, nie mający strzał?”

Trudność była nielada, lecz i tu znaleziono wyjście. Za strzał śmiertelny z karabina ma się uważać trafienie w przeciwnika kamykiem lub grudką ziemi. Każdy strzał ma być głośny: pum-pum! Jest to bardzo ważne, ponieważ wykrywa miejsce zasadzki strzelających, którzy w innym wypadku mieliby zbyt wielką przewagę nad Indianami, gdyż ugodzić w cel strzałą znacznie jest trudniej.

Pozostawała kwestja uzbrojenia obu obozów. Kłopotów z tem. było bez liku. Każdy musiał wystarać się 0 łuk ze strzałami i siekierkę—tomahawk, względnie o karabin i szablę. Szura udzielił w tej sprawie wszelkich objaśnień, poczem gromada rozbiegła się do domów, szop i poddaszy w poszukiwaniu materjałów wojennych.

Michaś został z Szurą. Wódz wydostał z piwnicy suchą trzaskę i kijek grubości dwóch palców, długi na łokieć; scyzorykiem wystrugał z trzaski siekierkę, wyciął w niej dwa otwory i mocno z całej siły przywiązał do trzonu. Tomahawk był gotowy. Z krzaku leszczyny Szura odłamał pręt, wyciął zazębienia na dwu końcach i posłał Michasia po sznurki. — „Za to i tobie łuk zrobię.”

Wódz dotrzymał obietnicy, poczem objaśniwszy, jak się robi strzały, pożegnał Michasia.

W podwórzu armja dzieci przewróciła wszystko do góry nogami. Nie obeszło się bez konfliktów. Matka Piętki, praczka, spostrzegła ku swemu wielkiemu a bolesnemu zdumieniu, że cała woda z kadzi z bielizną wyciekła. Przy bliższej rewizji przekonała się, że na dziesięć drewnianych obręczy brakowało siedmiu! Klepki były misternie związane przez jedną obręcz u góry i dwie u dołu. Praczka lamentowała i pomstowała na sprawców tej okropnej zbrodni. Później, 7 zupełnie niezwykłą sobie słodyczą, wszczęła indagację paru chłopaków, paradujących dumnie z łukami, zmajstrowanymi z połówek obręczy i ze sznurków. Malcy jednak przysięgali się „cioci”, że o niczem nie wiedzą. Winowajcy nie wykryto.

Nie ustały jeszcze skargi i lamenty praczki, gdy rozległy się na dziedzińcu jędrne przekleństwa, bo oto stróż Iwan znalazł swą miotłę bez kija, który jej służył za trzon.

I w tym wypadku sprawca uszedł kary boskiej i ludzkiej. Wprawdzie przywidziało się Iwanowi, że panicz Bazyli niósł na ramieniu drążek podobny do kija z jego miotły, lecz na dyskretne pytanie: „Co to panicz ma za kij? akuratnie, jakby z mojej miotły,” odparto mu, że jest głupi, jak miotła, jeżeli nie widzi, że to karabin.

Iwan osłupiał i, szybko mrugając krótkimi rzęsami, Idwał ze zdumienia głową. Poczem, zsunąwszy kaszkiet na czoło, splunął z całej siły i odszedł, lżąc jaknajokropniej matkę, babkę i najdalszych przodków tajemniczego zbrodniarza.

Michaś wyszukał trzy suche i cienkie pałeczki, rozszczepił je na końcu i wsadził w nie po piórku. Miał tedy łuk i strzały. Brakowało tomahawka. Samemu zrobić go bez scyzoryka ani rusz.

Przyszła pora obiadowa.

„Tatusiu, proszę mi zrobić tomahawk!” zwrócił się z prośbą do ojca.

„Co takiego? Jaki tomahawk?”

Michaś obszernie i długo, pomimo oznak zniecierpliwienia ze strony ojca, tłumaczył o co chodzi. Ojciec kazał mu iść precz i nie nudzić. Chłopak się nadał.

Wdała się w to matka. „Mógłbyś też, Stachu, zrobić dziecku jaką przyjemność. Zabawek nigdy mu się nie kupuje. Trzeba pomyśleć czasem i o rozrywce dla chłopca.

Tembardziej, że będzie się bawił w stosownem dla niego towarzystwie, z synami gospodarza.

Ojciec się gniewał, że mu chwilki nie dają spokoju, że nigdy zresztą nie słyszał o tomahawkach i że nie ma pojęcia, jak się to robi.

Matka się nadąsała: „Nigdy nie ustąpisz, jak cię o co poproszę, nawet w takim głupstwie.”

Wkońcu tatuś, mrucząc i wzruszając ramionami nad kapryсами kobiet i dzieci, przybił paru świeczkami do dłuższego patyka krótki a szeroki kawał trzaski. Powstał w ten sposób ku wielkiej radości Michasia zna« komity tomahawk.

VII.

Następnego dnia popołudniu oba obozy zgromadziły się koło drewnitni. Biali uzbrojeni byli w karabiny-kije i szable za pasem lub na sznurku; indjanie potrząsali groźnie łukami i strzałami. Powszechną zazdrość budziły tomahawki, będące wyłącznie w posiadaniu Michasia i wodza. Reszta indjan miała krótkie miecze lub korde-lasy, wyciosane z drzewa.

Wodzowie pokrótce omówili plan działania. Rozstano się. Bazyli-Duch Puszczy poprowadził białych na górę, gdzie mieli urządzić zasadzkę na indjan. Zadaniem zaś indjan było oszukanie czujności nieprzyjaciela i nagły nań napad.

Po długim, długim oczekiwaniu — chłopcom się zda-
wało, że to się nigdy nie skończy, — Szura-Lwie Serce
dał pocichu hasło, i czerwonoskórzy ruszyli odważnie
naprzód. Wódz ostrzegł, że pierwszemu, kto wyda
okrzyk przedwcześnie lub okaże nieposłuszeństwo, wła-
snoręcznie skalp zedrze. Tak przytem strasznie błysnął
białkami oczu, że młodszym indjanom dusza w pięty
uciekła. Pięli się jeden za drugim bez szmeru, jak cienie.
Góra była niezwykle urwista. Do połowy prowadziły

schody, w znacznych odstępach wyryte w ziemi, dalej wąziutka ścieżyna wiła się pomiędzy drzewami, aż do łączki; z tyłu łączki góra była mniej stroma. Tarasy i parowy szły coraz wyżej, hen, poza granicę posiadłości państwa Markowskich.

Lwie Serce w środku drogi skręcił nagle w bok, zebrał wojowników w koło i wytłómaczył plan ataku. Po opanowaniu łączki ukryją się w krzakach i będą czekali na hasło. Wówczas wszyscy wypadną z krzykiem i zaskoczą nieprzyjaciela z nienacka. — „Po bitwie jeńców przywiążemy do pala tortur!” zakończył wódz, dziko przewracając oczyma... Leżało to widocznie w zwyczajach indjan.

Miano już wyruszyć, gdy Lwie Serce coś sobie przypomniał. „Żaden wojownik z szlachetnego plemienia Delawarów — my jesteśmy Delawarami, to najwaleczniejsi z indjan, — nie powinien wstępować na ścieżki wojny bez przybrania dwóch barw: czerwonej, jak krew i żółtej, jak łuna pożarów. Czy nie tak, bracie Czarny Orle?”

„Tak jest, Szura,” zaczął Michaś, ale zająknął się na marsowe zmarszczenie brwi wodza i skończył: „Rzekłeś prawdę, Lwie Serce.”

„Przyjdź tedy, bracie.”

Wódz kilku kreskami ozdobił twarz Michasia, a później Lekkiej Strzały, Bystrego Oka, Białego Jelenia i reszty bractwa w żółte i czerwone pręgi, które istotnie dodały obliczom prawdziwie strasznego wyglądu. Spotkało się to z gorącym uznaniem.

„Zatem naprzód!" zakomenderował Szura.

Wódz stąpał ostrożnie, starając się, nie zostawiać głębszych śladów, odgarniając gałęzie i burzany. Inni również stąpali w jego ślady, żeby nie dać poznać wrogom, w jakiej są liczbie. Milcząco posuwali się wojownicy. Lwie Serce spuszczał się na dół, wracał, zbaczał, to znów przypadał nagle uchem do ziemi, czy aby nie idą biali. Wszyscy z gęstą miną i z czołem zmarszczonym, z sercem mocno bijącym naśladowali święcie każdy ruch wodza. Sunęli wśród pokrzyw wysokich i burzanów, w cieniu wiązów, grabów i dębów, przebyli młody, pełen gwaru ptasiego zagajnik, rozdierali szarawarki i bose nogi o gałęzie kolczaste agrestu i głogu, aż po tysiącu przebiegłych manewrów znaleźli się o kilkanaście kroków od łączki. Lwie Serce położył swą drużynę, zaczął się do Michasia i podał mu szeptem rozkaz. Michaś powtórzył go następnemu, ten sąsiadowi i tak, aż do ostatniego w szeregu.

Lwie Serce z kilku towarzyszami wybrał się na zwiady. Michaś z ciężkim sercem objął na jego polecenie dowództwo nad pozostałymi. Zagroził im straszną karą za wszczęcie tumultu lub hałasu i kazał się wspinać pod górę. Nie szczędząc kolan i majteczek czołgali się kolejno po rudym, wilgotnym piasku, po śliskim pokładzie zmurszałych przeszłorocznych liści. Słońce z ciekawością przypatrywało się falandze wojowników, poprzez liście drzew, syjąc pyłem złocistych promieni.

Szyki Delawarów zaległy w krzakach nieco poniżej łączki. Chyży Jeleń syknął, wpadłszy z rozpędu w po-

krzywy, lecz się wnet pohamował na gniewne pokazanie pięści przez Michasia. Chłopiec obserwował łączkę.

Na pierwsze wejrzenie nie było tam nikogo. Dopiero w kilka chwil później odkrył za krzakiem jarzębiny, w cieniu starej rosochatej sosny, samego Ducha Puszczy... Bazyli długo oczekiwał przybycia indjan. Znudzony, rozesłał wszystkich białych na zwiady i kazał im nasłuchiwać i donosić o każdym ciekawszym zdarzeniu. Gdy jednak gońcy wpadali co chwila z wieścią, że armja z kilkuset indjan zbliża się z góry, od dołu, z prawa i z lewa, i gdy wiadomości te okazały się płodem wyłącznie wyobraźni, Bazyli nakazał surowo, by dali mu spokój. Przyjdą mu powiedzieć, gdy naprawdę zobaczą Szurę albo kogoś innego z jego oddziału.

Wysłańcy wrócili tedy na swe posterunki i czekali na tych utrapionych indjan, co ani rusz nie chcieli się pokazać. Obserwowali więc schody i ścieżkę, bojąc się zapuszczać głębiej w zagajnik, gdzie na każdym zdawało się kroku czyhał okrutny wróg z tomahawkiem wymierzonym do ciosu.

Michaś patrzył chciwie na Bazylego, a serce mu biło z niecierplivej obawy i drapieżnej radości tak głośno, że przyciskał pierś dłonią, aby Duch Puszczy nie posłyszał.

Duch Puszczy poruszył się, wstał... Michaś zamarł ze wzruszenia. Ani chybi, Bazyli ich spostrzegł i tylko udaje, że nie widzi... Ale Duch Puszczy ziewnął i usiadł z powrotem, mrużąc: „Gdzież ich djabli zanieśli, że dotychczas nikogo nie widać?”

Raptem Michaś zauważył w górze nad Bazylii» jakiś cień. Cień skinął ręką. Michaś poznał wodza, podał znak swoim. Krakanie rozdarło powietrze i z dzikim wrzaskiem: „Śmierć białym!” — indjanie ruszyli ławą na łączkę.

Bazyli zerwał się na nogi, przestraszony na dobre tą wyjącą zgrają żółto-czerwonych demonów. Obrona była niepodobieństwem. Szura, grożąc tomahawkiem, otoczył go z kilku wojownikami i wołał: „Poddaj się, białoskóry! Jesteś jeńcem!...” A tuż przybył Michaś na czele gromady.

Bazyli odsapnął, cisnął karabin ze złością na ziemię: „Idźcie do djabła! Nie chcę się z wami bawić.”

„Dlaczego, Bazyli?” zapytał Lwie Serce, zmieniając odrazu **toD** groźby na łagodny wyrzut.

„Czemu na mnie napadasz, przed rozpoczęciem gry?”

„Jakto? Jeżeli nie chciałeś walczyć, trzeba było wywiesić biały sztandar lub przynajmniej trzymać w ręku zieloną gałąź, jako godło pokoju! Nie pamiętasz chyba ?”

Bazyli odzyskał już zimną krew całkowicie i z flegmą odparł: „Wybornie, ale czekałem na wypowiedzenie wojny przez ciebie, jak przystało szlachetnemu ludowi Delawarów.”

Szura z pewnym zawstydzeniem przyznał rację Bazylemu: „Nie gniewaj się. Zacznijmy od początku, a to się nie będzie liczyło. Tymczasem wypalimy fajkę pokoju.”

Bazyli gwizdnął — odpowiedziano mu i po chwili nadciągnęli z różnych, stron biali, ze zdumieniem i lękiem spoglądając na swego wodza w otoczeniu wrogów.

Wszyscy usiedli w duże koło po turecku. Przez chwilę panowało milczenie. — Tak zawsze robią indjanie.

„Czy brat mój czerwonoskóry ma fajkę?” zapytał uroczyście Duch Puszczy.

„Mam, ale brat mój biały użył mi ognia,” odparł Lwie Serce.

„Niech się stanie wedle woli mego brata-wodza,” i Bazyli wydostał z kieszeni zapalki.

Szura wyjął prawdziwą dużą fajkę, woreczek z ciemnozielonym prockiem; pociągnąwszy raz z faja, splunął i podał Bazylemu.

Ten pyknął parę razy i z grymasem: „brat mój pali mocny tytoń” — podał Michasiowi. Michaś wciągnął trochę gryzącego dymu, zakrztusił się i coprędzej podał sąsiadowi. Tak fajka obeszła całe koło, wywołując wszędzie po drodze jednakowe objawy kaszlu i mdłości.

„Skąd brat mój dostał ten tytoń?” z namaszczaniem zapytał wódz białoskórych.

„Z suszonych liści wiązu i sosny,” zakomunikował uprzejmie Lwie Serce.

„Nasz brat nam dał do palenia okropne paskudztwo,” rzekł sucho Bazyli.

Lwie Serce porwał za tomahawk. Oczy jego dziko błyszczały, głos brzmiał ponurą groźbą..., „Gdyby nie świętość wigwamu obrad i praw gościnności Delawarów,

Duch Puszczy drogo zapłaciłby za obelgę, a skalp jego upamiętniłby krwawą zemstę indjanina!"

„Dajmy na to! Jeszcze niewiadomo czyj skalp zostanie na głowie," odparł Duch Puszczy.

Szura zamachnął się tomahawkiem. Obecni struchleli, myśląc, że za chwilę krew się poleje. Ale wódz pohamował się i, siadając z powrotem, rzucił pogardliwie: „Sachem (wódz) białoskórych wie doskonale, że nic mu się nie stanie w moim wigwamie. Słowa białych są, jak szczekanie psa, na które nie zwraca uwagi nawet skwau (kobieta) indyjska."

„Ja ci pokażę szczekanie psa, ośle jeden!" oburzył się Duch Puszczy.

„Bazyli, to przecież gra. Czemu się obrażasz? Przecież inaczej nie można się bawić. Ty wiesz, że podczas obrad nie wolno sobie wymyślać!" przekonywał wódz czerwonoskórych.

„No niech tam. Ale ty mi nie urągaj, bo ja tego nie zniosę! rozumiesz?" złościł się Bazyli.

Wszyscy usiedli, wodzowie pykali puste fajeczki.

„Nie długo słońce już zajdzie, wodzu," podjął Biały Myśliwiec.

„Zaiste, Wielki Sachem czerwonoskórych idzie na spoczynek," przystał Lwie Serce.

Milczano. Nieruchomo siedzieli pomieszani ze sobą biali i indyjscy wojownicy; złowróźnie pstrzyły się ich oblicza, pomalowane w żółte i czerwone pręgi; powaga chwili rysowała się w policzkach nadętych i wzroku surowym.

Milczenie trwało. Wodzowie, zamieniwszy kilka zdań, nie wiedzieli, jak dalej prowadzić rozmowę, aby była godną zarówno ich powagi, jak i niezwykłych okoliczności.

„Szura!”

„Jestem Lwie Serce.”

„Wszystko jedno,” skinął niecierpliwie Bazyli, „ja tak sobie, to się nie liczy. Poco my tu siedzimy, jak bałwany? Idź i wydaj mi wojnę.”

„Masz rację, Bazyli, zapomniałem.”

Lwie Serce zakrakał. „Do mnie, wojownicy Delaware!”

Wszyscy się zerwali.

„My, biali, siedzimy!” korygował Bazyli.

Biali usiedli w ściślejszym kółku. Duch Puszczy z powagą pykał z fajeczki. Lwie Serce odprowadził swoich na koniec łączki,

„A nie zapomnij o wojennym ubiorze głowy, Szura!”

„Prawda! — Dobrze, żeś powiedział. Róbcie, jak ja,” rozkazał wódz.

Wyciągnąwszy z kieszeni sznurek, pociął go scyzorykiem na kilka równych kawałków i rozdał je towarzyszom. Poczem wódz zgarnął dłonią niesforną czuprynę, wetknął długie czarne pióro we włosy i związał wszystko sznurkiem. Wyglądało to wspaniale.

„A my piór nie mamy!” odezwały się liczne głosy.

„Możecie tymczasem wetknąć sobie gałązkę z liśćmi; później wyszukacie jakieś pióra.”

Toaletę załatwiono szybko. Nastrój zyskał na **tern** niewątpliwie. Czupryny dziko zjeżone z chwiejącym się

nad nimi pióropuszem gałęzi, srogie miny, łuki, strzały, tomahawki... prawdziwi indjanie! w sercu białych odezwała się zazdrość. Im pozostawiono gorszą dolę: ani stroju, ani malowania, ani broni, jak u indjan... Gdyby chociaż strzelby były rzeczywiste! — a to kije, et!...

Milczenie jednak trwało. Dużymi krokami zbliżył się do ogniska wódz Lwie Serce.

„Pozdrowienie białoskórym” — rzekł z pychą.

„Czego sobie życzy wódz Delawarów? Niech brat mój usiądzie przy ognisku myśliwców, zapali fajkę i podzieli naszą skromną wieczerzę.”

„Lwie Serce nie zasiądzie przy ognisku białych, ponieważ wydaje im wojnę!”

To mówiąc, Szura rzucił dumnie garstkę strzał do stóp Ducha Puszczy.

„Zaczekaj!” — zawołał, na oddalającego się, Bazyli.

„Czego sobie życzy brat mój?” z odcieniem wzgardy zapytał indjanin. „Mąż i wojownik ma jeden język i jedno słowo.”

„Poczekaj, tyś powinien nam wpierw nawymyślać, a strzały też zawsze bywają powalane krwią.”

„Dobrze, ale skąd ja ci krwi dostanę?”

„Pomaluj czemkolwiek albo posyp czerwonym piaskiem... Tak żaden indjanin nie robi, jak ty!” dąsał się Bazyli.

„Zacznę w takim razie od początku.”

Szura podniósł strzały, zanurzył je w piasek i wrócił, jak poprzednio, ogromnymi krokami. Duch Puszczy powtórzył przywitanie.

„Lwie Serce nie usiądzie przy ognisku białych, którzy mają języki kobiet, a serca szakali. Wódz wykopał tomaławk i wstąpił na ścieżkę wojny z Długimi Strzelbami. Nie może być pokoju pomiędzy plemieniem białych a mojem, dopóki wszystkie skalpy myśliwców—nie ozdobią naszych wigwamów. Wtedy dopiero zanucimy pieśń zwycięstwa. Rzekłem!”

Przemowa wywarła piorunujące wrażenie. Drużyna indyjska odpowiedziała dzikim wrzaskiem: hura!!

bazyli niedbale wytrząsnął popiół z fajki i zaśmiał się pogardliwie. „Słowa Lwiego Serca wiatr rozniósł i nic po nich nie pozostało. Delawarowie są tchórze! uciekają przed Długimi Strzelbami, jak antylopy. Ja spalę wasze wioski i wezmę do niewoli wasze żony i dzieci, aby nam służyły! Duch Puszczy skończył, możesz spokojnie oddalić się, wodzu. Z chwilą, gdy ty i twoi dojdziecie do brzegu lasu, zapanuje wojna między nami, wojna bez miłosierdzia!”

„Chuh!” odparł indjanin i złączył się ze swoimi.

Biali otoczyli Ducha Puszczy, opierając się, jak i on na karabinach.

„Słyszeliście, bracia?” przemówił wódz Delawarów. „Pomścimy krwawą zniewagę!”

„Pomścimy!” zakrzyknęli chórem. „Hura! Lwie Serce!”

Wtem gdzieś zdaleka doleciał wibrujący głos: „Michaś! Mi—i—chaś!.. Obiad na sto—o—leL Prędko!., bo tata się gniewa!” Serce aż się rozdzierało w chłopcu na myśl o konieczności opuszczenia towarzyszy, ale...

„Szura," szepnął, „ja muszę iść, bo iriaczej mamusia mi nie pozwoli się bawić."

„Nie zwracaj uwagi, Czarny Orle, na gniewy i utyskiwania kobiet," rzekł basem Lwie Serce. „To słabe i lekkomyślne plemię niegodne jest mężczyzny."

„Dobrze ci mówić! A jak mnie mama nie puści na podwórze?"

Na szczęście jeszcze i inny głos męski rozległ się z dołu. „Bazyli!... Szura!... Grześ!... gdzieście się zaprzepaścili? Marsz do domu!"

„Ojciec woła, chodźmy, Bazyli."

„Zaraz. Do licha! Zapomniałem zupełnie o lekcjach", zmitygował się Duch Puszczy.

„Jutro skończymy; jutro będzie Wojna, prawda, Bazyli?"

„Naturalnie", i skinąwszy swym wojskjp», Duch Puszczy pobiegł naprzód.

Pomieszani razem biali i czerwonoskórzy schodzili ze stromej góry, rozprawiając z zapałem o cudownej zabawie, o stroju indyjskim, o naradach i bitwach. Wszyscy byli oczarowani pomysłem Szury, a ten, niby to obojętny, rósł coraz więcej w dumę.

„Gdzieś się tak nauczył mówić, jak stary indjanin V pytał z szacunkiem Michaś.

„Nigdzie", rzekł od niechcienia, „trochę czytałem."

„A co to jest wigwam?"

„Wigwam to jest namiot."

• „Namiot?...” Chłopak się zadziwił. „Namiot — to dom?”

„Nie.”

„Cóż to jest w takim razie?”

„I tego nie wiesz!” Szura parsknął.

„Nie, naturalnie że wiem!” pośpieszył odpowiedzieć chłopak. „Ja tylko tak, żeby zapytać.”

W rzeczywistości wódz miał równie mgliste pojęcie o namiotach, jak i Michaś; nie wypadało mu jednak z tem się zdradzić.

„A skwau — to kobieta po indyjsku,” dodał samorzutnie.

Na podwórzu ciżba chłopców rozbiła się na grupki, dyskutujące o epizodach zabawy. Za chwilę jaż wszyscy rozproszyli się do domów.

„Michaś!”

„Zaraz, mamusiu!”

Rodzice siedzieli przy stole, gdy chłopiec wpadł zdyszany, rzucając w pośpiechu łuk, strzały i tomahawk na łóżko.

„Gdzie ty przepadasz, że się dowołać nie można? A to co znomi?!” Ojciec ze zdziwienia uniósł wysoko swe gęste jasne brwi. „Cóż to za maskarada? Kto — cię tak ubrał?”

Michaś zobaczył siebie w lustrze i aż się przeraził. Z czuba sterczała przywiedła gałązka lipy, a po spóconej twarzy spływały rozmazane węże żółtej i czerwonej farby.

„To nic, tatusiu. Ja to zaraz wytrę. To my się w in-

djan bawimy. Z Bzurą i Bazylim, synami gospodarza/ dorzucił, widząc niezadowolenie ojcowskie.

„Idź, umyj się, Michasiu; wyglądasz, jak papuga.”

Michaś umył się, Wytarł mocno policzki i czoło i wrócił do stołu. Niestety, farba nie puściła. Ojciec, z początku zagniewany, nie mógł powstrzymać się od śmiechu na widok pstrokatego buziaka chłopca.

Śmiech, to prawie "rozgrzeszenie z winy. Malec mado wany pocałował tatusia w rękę i zaczął zmiatać zupę...

Dopiero benzyną poradzono sobie z utrapioną farbą. Rodzice wszakże jaknajuroczyściej zabronili synowi wszelkich malunków wojennych. Daremnie próbował Michaś przemówić im do przekonania, że każdy szanujący się Delawar musi się tatuować, idąc na ścieżkę wojny. Nie chciano go słuchać.

Martwił się na myśl o tem, jak inni będą wyglądali dziko i groźnie, jak prawdziwi indjanie, a on nie. Tatuowanie jednakże w starszem pokoleniu wywołało stanowczy protest i zakaz. Żadne argumenty nie zdołały trafić do twardej, gruboskórnej inteligencji starszych. Wypadło więc ustąpić.

XI.

A

Upalny lipiec dobiegał do końca. Wojny i polowania na górze ustały. Nieliczna tylko gromadka wytrwała przy wodzu. Zbierano się w Dolinie Wigwamu lub pod sosną na łączce. Wojownicy leżeli na trawie, wódz siedział na kamieniu ofiarnym. Ofiarnym nazywano ten kamień, ponieważ za namową Lwiego Serca palono na nim od czasu do czasu garstkę ziół i liści z orzecha ku czci bóstw indyjskich. Jako że każde plemię ma swego Boga.

„I rosjanie też mają?” zapytał Michaś.

„Naturalnie”, potwierdził wódz z dumą. „Bóg rosyjski jest najpotężniejszy na świecie!”

Trochę to zadrasnęło Michasia. Odparł, że polski Bóg jest tak samo mocny, a kto wie, czy nie mocniejszy”.

„Owszem polski Bóg* też jest niczego sobie, dosyć silny”, łaskawie przyzwolił Lwie Serce.

Na tern dyskusja utknęła.

Wódz opowiadał różne historie z powieści, które przeczytał. Przed oczyma zachwyconych słuchaczy przewijały się pełne uroku krainy. Karawany wielbłądów⁷ o dużych garbach wędrowały po nieskończonych pustyniach i stepach, gdzie się kona z pragnienia, z upału lub z ręki

drapieżnych Tuaregów. Szumiały morza bezdenne. Okręty rozbijały się i dzielny majtek Robinzon wypływał na brzeg wyspy bezludnej. Las dziewiczy odsłaniał swe cudowne tajemnice... Wierny Piątek i śmierć jego bohaterska wzruszały serca najtwardszych wojowników z plemienia Delawarów. W tych, miejscach głos wodza również drżał w sposób cokolwiek podejrzany.

Tego wszakże popołudnia nikomu nie chciało się ani opowiadać, ani słuchać. Po dłuższej medytacji Szur» wstrząsnął zjeżoną czupryną i wezwał zgromadzenie do uwagi. Dowiedział się od Wańki chromego o doskonałym sposobie zastawiania siideł na ptaki i proponował wypróbowanie go dzisiaj. Projekt wszystkim się bardzo podobał.

Wybrano się nad wieczorem. Szura z dwoma chłopcami dźwigał starą dziurawą sieć, naprawioną gdzieś niedługo cieniem szpagatem. Michasiowej opiece polecono kilka małych zaostrzonych kołeczków. Odsunawszy deskę ruchomą w parkanie, wódz przepuścił cały swój oddział i zawiesił deskę z powrotem.

Góra tworzyła tu rodzaj występu o łagodnym spadku. Tu i tam rosły tęgie wiązy i sosny. Sadyba oddawna nie była zamieszkałą. Puste domostwo świeciło czarnymi jamami okien, zamaskowanych niekiedy bielmem okiennicy, skrzypiącej ponuro na zardzewiałych zawiasach; dachy przeciekały; na ścianach wsiód strzępów tapet, kiedyś ozdobnych, występowały tu i ówdzie pleśń liszaj i plamy wilgoci. Pustka i opuszczenie zionęły z kon nat

saduchem lodowym, mogilnym. Chłopcy z nieco zabobnym lękiem omijali zwykle tę sadybę w ruinie. Bali się nawet zaglądać przez okno, istniała bowiem pogłoska, że gospodarz powiesił się w jednym z pokojów i że w domu „straszy”.

Bujny trawnik otaczały lipy i sosny. Miejsce zaciszne znalazło się w pobliżu krzaków jaśminu i dzikiego bzu. Siatkę rozciągnięto na trawie, przymocowano ją w trzech rogach kołeczkami; do wolnej części przywiązano długi sznurek, przeznaczony dla myśliwca. Wszystko zamaskowano odpowiednio: sznurki natarto dla niepoznaki ziemią, całą sieć przykryto trawą. Przynętę i ziarn pszenicy i lnianego nasienia rozsypano na części przymocowanej kołkami.

Chłopcy schowali się w krzakach i czekali. Słońce nachodziło w południe czerwieni, zapowiadającej wiatr na jutro. Z lasu na górze chyżą stopą posuwał się zmrok. Na drzewach świegotały rzesze różnoplemienne ptactwa. Na trawniku kręciło się kilka wróbli, omijając zresztą, czy nie spostrzegając uczyty gościnnie dla nich zastawionej... zasadzka jakoś nie udawała się. Trzeba było plan zmienić. Szura, który sam trzymał koniec sznurka w niecierplivej dłoni, zdecydował się, nie bez żalu.

„Niema rady — trzeba wabić. Nie umiałbyś, Michasiu?”

Michaś nie miał najmniejszego pojęcia. Wódz objaśnił dokładniej. On siadzie w krzakach po drugiej stronie sieci i będzie udawał samiczkę szczygła. Samczyki przylecą, zauważą ziarno, a jak tylko zaczną dziobać,

Michaś szarpnie z całej siły za sznurek i na kryje gości wolnym końcem sieci.

„Rozumiesz, Czarny Orle?”

„Rozumiem.”

Z westchnieniem żalu oddał wódz linkę i oddalił się na palcach, dla zajęcia bardziej wygodnej do wabienia pozycji. Michaś był zdenerwowany i wolałby prawie, żeby kto inny się podjął tej odpowiedzialnej roli; chciał już zawołać... ale z drugiej strony, co to za rozkosz złapać, dajmy na to z pięć, albo z dziesięć szczygłów samodzielnie, jedneni pociągnięciem linki. Nie, nikomu i za nic nie ustąpi tego zaszczytu! — Chełpliwie myślał o zazdrosnych minach kompanów, którzy przez ten chlubny wybór byli pominięci.

Z parku nadciągało tchnienie świeżości wieczornej. Snuły się pod drzewami lekkie opary. Niebo paliło się łuną zachodu. Gwar ptasi wzmógł się jeszcze. Michaś spojrział w czarne czeluście okien; ziąb zimnego dreszczu przebiegł mu po plecach. Umyślnie odwrócił oczy i zaczął kombinować, jak i w której chwili należy pociągnąć za sznurek, aby nie wypuścić zdobyczy.

Z krzaku bzów rozległy się czułe nawoływania samiczki szczygła. Chłopcy zamarli w obawie, by nawet oddechem nie spłoszyć ptactwa. Czekali. Dłuższa chwila minęła. Wreszcie, gdy zwątpiono niemal w powodzenie wyprawy, grupka szczygłów i trznadli zerwała się ze starej lipy i boczkim ostrożnie zaczęła przyskakiwać w kierunku przynęty.

Michasiowi serce przestało bić w piersi. Usta się poruszyły bezdźwięczną modlitwą: Boże daj, żeby one

wpadły do sieci, a ja naprawdę zawsze będę grzeczny z posłuszny mamusi i tatusiowi. Boże daj, żebym je złapał i... Ładne samczyki podskakiwały, przechylając główki z ukosa do przynęty. Znowu czuły pisk z krzaków bzu. Szczygły, jakby się namyślając, jeden za drugim wkroczyły płochliwie na siatkę.

— Ciągnąć czy nie? — rozważał Michaśgorączkowo. Bał się zepsuć rzecz pośpiechem. Szczygły przewędrowały % luźnej części siatki na przymocowaną, lecz jak gdyby poczuły niebezpieczeństwo — nie tknęły przynęty i uniosły dzióbki do góry, gotowe do odlotu.

Czas! — Michaś targnął za linkę. Linka się o coś zaczepiła i nie ustępowała.

„Ciągnij!” syknął wściekle Szura.

Michaś szarpnął z rozpaczą, wywrócił się i wyrwał sieć z kołków. Szczygły z wrzaskiem przerażenia zerwały się i jak niesamowite poleciały stadkiem gdzieś jx>za dom. Michaś wstał oszołomiony. Chłopcy pędzili do siatki ze wszystkich stron. Przetrząsnięto ją skrupulatnie, oczywiście bez skutku.

„>oco ja linkę dałem ci trzymać!” biadał wódz. „Mam teraz naukę, żebym się ze smarkaczami nie zadawał. Tyle szczygłów można było nakryć! Pociągnąć nie umie, niedołęga!”

Michasia głęboko zabolęła ta niesprawiedliwość.

„Nie prosiłem o łaskę. Sameś mi dał. Któż tak mocno przywiązuje linkę, że wyrwać nie można. Sam nic umie siდეł stawiać, a na innych winę zwała. Także mądry się znalazł!” W

„Pro—o—o—szę," podjął Szura z pokorą zjadliwą. „Dziękuję wielmożnemu panu za naukę. I niech sobie szanowny pan zapamięta, że takim żółtodzióbom mógłbym i uszu natrzeć."

„Ano, spróbuj!" zachnął się Michaś, zaciskając pięści.

„Ta—ak?" pochylił się Szura z groźbą do chłopca, dygocącego z obrazy śmiertelnej i gniewu. Wódz pohamował się i z gestem wzgardliwym rzekł: „Wynoś się, malcze, pókiś cały. Nie będziesz się więcej bawił ze mną!"

„Nie trzeba. Patrzcie go, jakie szczęście!" odparł, zadzierając głowę do góry. „Prosić się nie będę."

„He, he! — jaki mi hardy lach. Przyjdzie koza do woza, przyjdzie. Szura drogi, pozwól pobawić się razem... A ja na to: a figi nie chcesz?" I Szura śmiał się przy wtórze usłużnych kompanów.

Michasiowi jakby kto sztylet wbił w serce. Jego wódz ulubiony za jakieś głupstwo tak mu urąga— i przy chłopakach!... Chociaż to wcale nie jego była wina. Linka się zaplątała, pocóż ją tak mocno przywiązali? Jeżeli tak, to dobrze. On sam nie chce z nimi się bawić, choćby nie wiem jak prosili. Zobaczymy, komu będzie więcej żal. — I mruczając pod nosem przysięgi niezłomne, powstrzymując łzy dokuczliwe, co niewiadomo dlaczego same cisnęły się do oczu, chłopiec brnął w kierunku otworu w parkanie. Czasem oglądał się niepostrzeżenie na opuszczonych towarzyszy. Szykowali spokojnie sidła na nowo. , Zauważył go Lońka, Wściekły Niedźwiedź i pokazał mu nosa.

»

Michaś wzruszył pogardliwie ramionami i przyśpieszył kroku. Trochę było straszno na górze, pełnej mroku i cieni ruchomych. Z poza każdego krzaku czyhały ni to zbójniki, ni to tygrysy czy wilki, — czyhało to coś, bez kształtu ni imienia, czego chłopak bał się najwięcej. Ktoś schwycił go nagle za poję kapoty i trzymał.

„Marno!” wrzasnął i szarpnął się gwałtownie... była to kolczasta gałąź agrestu. Serce mu biło krótkimi, moenemi uderzeniami, aż echo boleśnie się rozlegało w głowie. Krew przyplýwała nagle do twarzy i nagle się cofała, że w piersi otwierała się pustka nudna, ckliwa, ssąca. Nareszcie — furtka! Michaś jak strzała pizelatuje przez dziedziniec i już jest w jasnym zacisznym pokoju. Pędzi do matki. Zdumiona tym burzliwym objawem czułości, pyta, czemu ma takie źrenice rozszerzone, czemu tak wzdycha i czemu serduszko mu wali tak mocno?

Michaś czuje ciepło serdeczne, drogie, co to rozlewa się falą dobroczynną po-całem ciele, odbierające gorycz wspomnieniom. „Nic, mamusiu, to ja, tak sobie,” wdrapuje się na kolana matczyne, raz jeszcze wzdycha z głębi duszy — i po chwili już drzemie i zasypia twardym niespokojnym snem.

Przez dwa dni z rzędu wyczekiwał Michaś — w skryfkości ducha, nawet przed sobą — na jakiś znak skruchy ze strony Lwiego Serca. Cniło mu się i nudziło okropnie. Widywał wodza przelotnie, nawijając mu się czasem niby od niechcienia na oczy. Wódz zachowywał się tak, jakby żadnego Michasia nie było na świecie. W istocie żałował

swej porywczosci, trudno wszakże, by starszy, prawie dorosły chłopak, jak on, przeproszał malca. W parę dni później, widząc, że Michaś nie robi jakos pierwszego kroku, postanowil zignorować cale zajście.

Zaczepil go: „Nie bądź głupi, Michaś; chodź bawić się.”ⁱⁱ

Inaczej sobie chłopak wyobrażał scenę pojednania. Lekkość tonu zaczepki bardzo go uraziła. — Wcale on nie jest głupi. Także!

Mruknał: „Nie chcę.”

Tego się wódz nie spodziewał. Malec śmie mu odmawiać! Zawrzał gniewem.

„Patrzcie go! To nie trzeba. Tysiąc takich smarkaczów znajde!”

Michaś odszedł, nic nie odpowiadając. . . . Bez towarzysztwa jednak było nudno. Chłopcy na podwórzu wymyślili nową, pyszną grę. Każdy przynosił, co mógł, prowizji"z domu: chleba, odrobinę sera, garstkę wiśni zeschniętych, gruszek, wreszcie jarzyny, marchwi, pietruszki, ziemniaków, nawet cebuli. Rozkładano w różnych kątach dziedzińca zapasy i handel się zaczynał. Przekupki, zachwalając na wyścigi swe owoce lub jarzyny, zaciągały przechodniów do sklepu. Kupujący krytykował towar, kupcowa przysięgała na wszystko, że jest świeży i w dobrym gatunku, proponowała skosztować. Kupujący niby kosztował, ganił czy chwalił, później kazał sobie odważyć. Zupełnie, jak na prawdziwym targu.

Michaś z zachwytem przypatrywał się tej scenie, podszedł i chciał kupić chleba.

„Ile, paniczu?"

„Pięć funtów."

Mania, kupcowa, ucięła mu kawałeczek kromki i zażądała dziesięć rubli.

„Czemu tak drogo?" zachnął się Michaś.

„Hm! to jeszcze tanio. Tosia po trzy ruble za funt bierze. Ciężkie czasy, wszystko teraz podrożało."

„A czym się płaci?" spytał zakłopotany.

» Mania trzymała się za boki. „Słyszysz, kumo, o co Michaś pyta? Czym się za towar płaci! cha, cha. cha... — Pieniędzmi!"

Wesołość udzieliła się towarzyszkom Mani, które poczęły drwić z chłopca w żywe oczy.

„Jak to, prawdziwymi?!"

„Naturalnie; żeby dobrze dzwoniły," i pokazała mu garść różnokolorowych szkiełek. t

Michaś wyruszył na poszukiwania, przetrząsnął cały dziedziniec, ale inni wszystko już wyzbierali. Spróbował wreszcie kupić wiśni za parę ułamków zwykłej szyby okiennej.

Na widok prostego szarego szkła kupiec prychnął lekceważąco: „Ja miedzi nie biorę, — mnie samego drożej kosztuje. Za to się płaci złotem pięć rubli za funt."

„Gdzież masz złoto?"

Kupiec z dumą dostał z kieszeni złotą monetę z czerwonego szkła, bardzo ładną i przezroczystą. „Albo pięć po rublu" (grubszą srebrną monetę zastępowały błękitne szkiełka).

„Kiedy nie mam tyle pieniędzy."

„Poszukaj.”

„Chytrzyście! wszystko pozbierali... Skąd ja wezmę V

„To nie moja rzecz,” odparł kupiec, „mój towar nie jest dla takich biedaków.”

Chłopiec pokiwał głową i odszedł zasmucony. Bez pieniędzy nawet bawić się nie można. — Od czasu zabaw z Szurą dzieci z podwórza trzymały się odeń na uboczu, bez dawnego zaufania. A teraz na domiar złego z wozem pokłócił się na zawsze i bawić się nie miał z kim.»

Michaś bardzo lubił Koluś, zapraszał go do siebie, proponował wspólne gry, — cóż kiedy Koluś związał się z Kostkiem i lekce sobie ważył jego przyjaźń.” — Trzeba było i z niego zrezygnować. Został zupełnie samotny.

Pewnego razu Michaś, nudząc się na podwórzu, wyszedł na ulicę. Na chodniku siedział malec, może trzyletni, i z pychą ćraił, ciągle plując, „cygarke” ręcznie skręconą.

Złość zakipiała w Michasiu. „Rzuć cygarke! Nie waż się palić!”

Malec splunął dobitnie i wymówił, sepleniąc: „A ty kto taki?”

„Ja ci mówię, — rzuć zaraz, bo cię zbiję!” pienił się chłopak na widok takiego zepsucia. „Tylko źli ulicznicy palą.”

„Idź do cholery, co—lt!” wypaplał malec nie bez trudu.

Nie wchodząc w dalszą dyskusję, Michaś walnął go po karku, wydarł i zdeptał nogą cygarke.

„Ma—a—mo! Michaś mnie bije!”

„I nie tak jeszcze oberwiesz, jak będziesz wymyślał i palił.”

„A sta—a—rsi palą,” — chlipała ofiara.

• „To starsi. Jak dorośniesz, wtedy pal sobie,” pouczał Michaś „a teraz niech tylko zobaczę, że palisz! Marsz do domu.”

Siła była po stronie Michasia. Malec, rozmazując łyzy brudnym rękawem, szedł do bramy. Nagłe się odwrócił i z pasją rzucił: „Choleja! Colt!”

„Ja ci dam!” skoczył Michaś.

„Ma—a—mo!” wrzasnął malec i zniknął za bramą.

Przygoda wprowadziła Michasia w dobry humor, jako że miło jest czuć swoją nad kimś przewagę. Zadowolenie jednak trwało krótko. Tęskno mu było ogromnie za niewdzięcznym wodzem. Starał się go widywać, chociażby ukradkiem. Przy spotkaniu z Lwim Sercem sprzeczne poruszały nim uczucia... uciecha, że widzi go i słyszy, choć zdaleka, ten mężny, butny głos; nadzieja nieokreślona, że oto wódz podejdzie i powie mu: „Nie gniewaj się, Michaś. Zrobiłem głupstwo, bądźmy przyjaciółmi.” Jakby go kochał wtedy! Na śmierć i życie! — Złudzenia! Wiedział, że wódz nigdy nie zniży się do przeprosin. A jednak, gdy Szurę gdzie odwołano i wychodził z dziedzińca, cień zawodu padał na duszę chłopaka i mącił mu, truł całą przyjemność zabawy.

XII.

Ojciec powrócił z biura zirytowany. Prawie nie tknął obiadu. Był czegoś smutny i zły. Ofuknął syna i zabronił mu pójść na dziedziniec.

Matka zdobyła się na odwagę i zapytała ze słodyczą : „No i cóż, Stachu? Widzę, żeś nie bardzo zadowolony.”

Ojciec spojrzał na nią i zaśmiał się tak dziwnie, że ciarki przeszły Michasia. Zaszył się w kącie i siedział cicho, jak mysz, żeby nie zwracać uwagi na siebie. Matka milczała. Ojciec rozpoczął znowu wędrówkę po pokoju.

„Ty wiesz, Basieńko, jak pracowałem. Przez dwa tygodnie pisałem po cztery i pięć godzin z rzędu co wieczora, po biurze. Przecież p. Tolle prosił specjalnie, przyrzekał, że mi podziękuje. — No i podziękował...” Ostre, poprzeczne zmarszczki wyryły się na policzkach ojca, głos zadrżał ironją. „Dzisiaj zaniósłem mu robotę do domu. Trudno, musiałem zapomnieć o dumie. Czekałem. Apartament wspaniały — nie darmo, państwo milionowy. Myślałem że dostanę conajmniej z pięćdziesiąt rubli. Przyjął uprzejmie, dziękował...”

„No i co?” szepnęła matka. „Ileż zapłacił?”

Ojciec się zaśmiał okrutnie. „No —• nic.”

Matce ręce z szyciem opadły.

„Pan Tolle raczył mi rękę uścisnąć — co za honor, prawda?! — i nawet papierosem poczęstował.”

„I tyś przyjął?!”

„Nie; powiedziałem, żeby sobie zachował.”

• „A on co?”

„A on? Uśmiechnął się mile, zrobił uwagę, że widocznie wolę cygara, i odprowadził aż do drzwi.”

„I tyś się nie upomniał, Stachu, o swoją krwawicę¹. Trzeba było mu krzyknąć w twarz, że jest łotrem, żeby ci oddał pięćdziesiąt rubli, które ci się należą!” Krwiste plamy rumieńców wystąpiły na śniadej twarzyczce matki.

„Nie, Basiu. Wiedział on sam, co mi jest winien. Wolę, żeby moja praca przepadła, niż żebym miał poniżyć się, prosić. Niech mu to Bóg popamięta.”

„Jacy ludzie są podli,” szlochała matka.

Michasiowi ścisnęło się serce — nie znosił widoku łez matki: wolał, żeby jego raczej obito. Wylazł ze swego kąta i przyszedł targnąć matkę za rękaw: „Mamusiu, niech mamusia nie płacze, bo ja nie mogę. Mamusiu!”

Matka jedną ręką przygarnęła chłopca, drugą ocierała łzy, toczące się po policzkach, jak perły ciężkie, nizane. Ojciec patrzył w okno i bębnił machinalnie palcami po szybie spotniałej. — Co tam takiego tatuś zobaczył? obudziła się w Michasiu ciekawość, trzeba pójść ełfyba i wyjrzeć przez okno? Bał się jednak opuścić matkę, alby znowu nie płakała.

Po dłuższej chwili matka podjęła: „Koło naszego łóżka na ścianie wystąpiła wilgoć. Co to w zimie będzie? W tem mieszkaniu o reumatyzm łatwo, jak nic.”

Ojciec przysiadł się do mamusi. Na **Wysokiem czole**, w brzdach głębokich, pozostał wyraz troski, ale **oczy** miał dziwnie dobre i miłe, aż się mamusia uśmiechnęła i, czerwieniąc się trochę, odwróciła spojrzenie.

„Nie patrz, Stachu.”

„Widzisz, Basieńko, na razie nie mam skąd; ale coś się obmyśli, pracę we^ęmę do domu. Przy twoim stanie trzeba okropnie uważać. Wilgoć mogłaby się odbić fatalnie nie tylko na twojem zdrowiu...”

„Nie mów, Stachu,” prosiła matka, wskazując oczyma na Michasia, „ja się wstydzę!”

Ojciec urwał i z uśmiechem łagodnym pogłaskał ją po czole i twarzy. Matka przykryła oczy długimi rzesami i cichutko westchnęła. Michaś się wyniósł dyskretnie z pokoju, łamiąc sobie głowę nad tein, o jakim stanie matki ojciec mówił. I dlaczego mama się wstydzi? Czy to co złego? — Pytanie kręciło się na ustach malca, ale jakoś nie zdobył się na odwagę.

W kilka dni później ojciec przyszedł na obiad rozpromieniony. Przyniósł naw^tet, co niestety zdarzało się rzadko, torbę świetnych gruszek. Chłopiec nieraz się dziwił, że ojciec, zarabiając tyle pieniędzy, nie kupuje częściej owoców lub ciastek; — a jeśli nawet kupi, wszystko oddaje mamusi i jemu, a sam nie chce jeść. Matka prosi: „Stachu, skosztuj chociaż”. Na nic. Tatuś zawsze odmawia — nie lubi owoców i nie służą mu; przyjemniej mu patrzeć, jak jego żonusia, niby mama, i synek zajadają ze smakiem. Chłopak tylko ramionami

wzruszał, że można mieć taki zepsuty gust, żeby nie lubić owoców.

Dzisiaj tata wrócił wesoły, dał mu gruszkę i zawołał do mamusi, krzątającej się koło obiadu: „Wiesz, Basiu, znalazłem mieszkanie dla nas. Pokój z kuchenką, suche, wygodne, na parterze i z ganeczkiem. I nie drogo.”

„Gdzież to?”

„O pięć minut drogi stąd. Gospodarzy będziemy mieli sympatycznych. Poznałem ich niedawno. Wstąpiłem po biurze obejrzeć mieszkanie i już się ułożyłem co do ceny. Zobaczysz, że ci się spodoba.”

„Dziękuję, Stachu, jesteś bardzo dobry.”

Przeprowadzono się w końcu tygodnia. Ojciec miał zamiar poczekać do poniedziałku, do terminu, ale matka uparła się, że to ciężki dzień—i bezwzględnie nie chciała się zgodzić. Michaś nie rozumiał, dlaczego poniedziałek jest złym dniem, a sobota czy wtorek—dobrym; w końcu się domyślił: przez dwa ostatnie poniedziałki deszcz padał i jemu kazano siedzieć w pokoju. Widocznie w poniedziałki najczęściej pogoda się psuje.

Na nowym mieszkaniu dziedziniec był malutki i brudny. Ogród z tyłu poza domem składał się z kilku drzew zaledwo, zato dzieciom wolno było tam kopać jaskinie, piec z wilgotnej gliny pierożki i baby. Dzieci z podwórza nie podobały się Michasiowi. Chłopcy albo mazgaje, albo zepsuci, wymyślali brzydko, palili papierosy, dziewczynki wiecznie kłóciły się, skarżyły i beczwały. Ani porównania z dzielnymi Delawarami Lwiego Serca.

Wały grrauiczne."

Bawił się też najczęściej sam: budował z ziemi miasta i fortece, albo wałęsał się po ogródku, rozpamiętywując dawne, świetne czasy polowań i wojen na górze.

Rodzice wkrótce zaprzyjaźnili się z gospodarzami. Pan Goranow, gospodarz, ciągle chorował i do niczego się nie wtrącał. Kierowała interesami pani Goranowa, silna wysoka brunetka o kruczonych włosach, rysach regularnych i słodkich matowo-czarnych oczach. P. Goranowa umiała szybko pozyskać sobie sympatię mamusi; podziwiała jej młodość i wychowanie, jej energję i sztukę kulinarną, unosiła się nad jry modą i pięknym zaiste głosem; przy każdym spotkaniu i pożegnaniu całowała ją, a co gorsza, lubiła ta leże całować Michasia.

Chłopiec unikał tego, jak ognia, nie zawsze jednak z powodzeniem., ponieważ matka strofowała go za dzikość i nieobyczajność. Michaś zasadniczo niecierpiał całowania. Co to za przyjemność właściwie? Chłopcom — zuchom zresztą nie przystoi mazać się i czulić, jak to lubią dziewczynki. Zupełnie co innego, gdy go mama pocałuje. Specjalnie zaś brzydził się dotknięciem warg gospodyni, wilgotnych i miękkich; zwykle potem obcierał sobie ukradkiem usta lub czoło. Według Michasia, pani Goranowa posiadała tę jedyną zaletę, że, zapraszając do siebie, częstowała gości doskonałemi konfiturami.

Mamusia często odwiedzała państwa Goranowych i chętnie siadywała przy gospodarzu, żartując i opowiadając wesołe historyjki. Pani Goranowa nadziwić się nie mogła, że stetryczały jej mąż tak się ożywia w towarzystwie mamusi i nawet czasem powie coś dowcipnego.

„Pani droga oczarowała go chyba; ja bo nic oprócz przycinków i złego słowa nie słyszę.”

Pan Goranow chrząkał z zaniepokojeniem, matka się źmiała, a Michaś czuł się z niej dumny.

W końcu sierpnia mamusia zrobiła trochę konfitur ze śliwek. Michaś asystował z nabożeństwem przy smażeniu, oblizując się na samą myśl o przyszłych rokoszach podniebienia. Dostał na miseczce odrobinę wybornych pianek, lecz konfitury, jak się pokazało, przeznaczone były/ dla gości. Takie doskonałe rzezy przyrządzać dla obcych, dla gości, zamiast dać swoim... Urażało to najprostszej logice, ale skoro mama raz się uprze, niema rady; wypadało tedy, dla skosztowania konfitur, uzbroić się w cierpliwość i czekać gości.

W parę tygodni potem przyszła pani Werlabiczowa. Była to osoba w podeszłym już wieku, ckliwie słodka i zarazem cierpka w obejściu; do wszystkich zwracała »się z przesadną uniżonością i pochlebstwami, aby w końcu w każdym znaleźć i wytknąć jakąś wadę, występki lub śmieszność. W miodzie jej słów zawsze tkwiło na dnie jadowite żądło złośliwości.

Matka nie lubiła pani Werlabiczowej. Określała ją dosyć dosadnie: „Taka zła i głupia baba. W oczy wychwala i ani się człowiek spostrzeże, kiedy ukąsi. Byle tylko dokuczyć każdemu. Niecierpię tej starej plotkarki.”

Rzecz prosta, nie cierpiał jej i Michaś. Ledwo się powstrzymywał od popełnienia jakiejś niegrzeczności względem p. Werlabiczowej. Nadziwić się nie mógł, po co ją

wogóle rodzice przyjmują i zapraszają. A jeszcze są tak specjalnie dla niej uprzejmi.

Wkrótce po przyjsciu p. Werlabiczowej przyniesiono samowar, podano świeże bułeczki, chleb i masło. Chłopak jednak nie pił herbaty i czekał. Pani Werlabiczowa należała bądźco bądź do gości, a mama przecież przyrzekła mu dać konfitur, gdy goście przyjdą. Wobec tego nie warto było pić herbaty z bułeczkami, ponieważ tata nie lubi, żeby on pił dwie szklanki wieczorem, konfitur zaś nie jada się inaczej, jak do herbaty.

„Czemu nie jesz chleba z masłem, Michasiu? Będziesz głodny, więcej nic niema;” i matka przysunęła koszyczek z bułkami.

Stanowczo mamusia zapomniała, trzeba jej przypomnieć. — „A mama obiecała dać konfitur, gdy goście przyjdą.”

Matka zrobiła duże oczy. „Co ty pleciesz, Michasiu? Wiesz, że nie smażyłam konfitur w tym roku. I nie wstyd ci naprzykrzać się? Pij herbatę.”

Zdumienie niesłychane i zgorszenie zarazem przykuły chłopca do miejsca. — Jakto nie smażyła? Sam przecież widział i kosztował słodką masę soku bursztynowego z pływającym w niej złotem renklodów. Czemu mama mruży oczyma? Co on takiego zrobił? To mama zmyśla, a nie on. — P. Werlabiczowa, jak na złość, przysłuchuje się z uśmiechem chytrze niewinnym: „Mali chłopcy nie powinni się mieszać do rozmów starszych.” —

„A jej co do tego?” — obruszył się Michaś. „Czy ona jest mamusią, żeby mi wymyślać.” I z brwią zmarszczoną spjrzał wyzywająco na złośnicę.

A ta kontynuowała dalej swym miodowym, nieco zakatarzonym głosem. „Mamusia gotowała coś innego, nieprawdaż, droga pani? A malcowi przywidziały się konfitury. Tak, jak kotce młodej, wszędzie pachną myszy, choćby ich wcale nie było.”

„Ładnie się przywidziało!” mruknął przez zęby, „kiedym jadł nawet piankę z tych konfitur, bardzo były smaczne.”

I nagle: „Widzisz, jakiś ty głupi, Michałku.”

Nie wierzył własnym uszom. To mu się jeszcze nie zdarzyło, żeby jego, Czarnego Orła, ktoś ze starszych, oprócz rodziców, śmiał tak nazwać. Co innego koleczy, żartem w zabawie, to się nie liczy. Ale ta stara baba, której niecierpiał i nie szanował...

Z oburzenia uszy mu spłonęły, jak piwonje. „Sama pani głupia, nie ja;” głośno odparł, wlepiając siwe rozgorzałe źrenice w niewiastę.

Chwila ciszy. Pani Werlabiczowej wypada z brzękiem łyżeczka z ręki, siedzi znieruchomiła, z uśmiechem przywartym do suchych, zwiędłych warg. Ojciec wysoko wzniosł brwi osłupiały.

„Michaś, czyś ty oszalał?!” wykrzyknęła matka, załamując dłonie.

„A czemu ona mi wymyśla? Jakie ma prawo?” bronił się malec, czując, że jego pozycja jest zagrożona nie na żarty. „Mama sama wczoraj mówiła,” ciągnął,

nie zważając na rospaczliwe gesty i znaki, „poco ona przyłazi, niecierpię tej starej plotkarki. Aha! niby nie słyszałem!”

Burza się rozpętała.

„Jak śmiesz kłamać, nicponiu jeden!” Matka zerwała się z furją z krzesła. „Marsz od stołu do kąta!” — i wypchnęła go do ciemnej kuchenki.

Chłopiec skamieniał ze zdumienia. Dusił go łyzy wściekłości i żalu. Za co go tak shańbiono wobec tej baby? Jak ona się cieszy i śmieje teraz!... Cóż, że jej odpowiedział? Sama pani Werlabiczowa winna. Jak się poważyła go łajać? Jakiem prawem?! Czy to on smarkacz, czy jej syn? Najostrzej go zawsze karano za kłamstwo. Strofowano, bito. A więc on skłamał? — Nie przestyszało mu się przecież, co matka mówiła O p. Werlabiczowej. Przez chwilę zwątpił nawet, czy aby rzeczywiście mu się nie wydało tylko... Ale nie, słyszał. Mama stała w kuchni koło okna i rozmawiała właśnie z tatusiem, który pomagał jej sprzątać po obiedzie, a Michaś przecierał talerze. — A jak go mama uczyła?... Mów zawsze prawdę, tylko prawdę. Nigdy nie kłam. A on powiedział to, co słyszał. Któż skłamał w takim razie?

Poczucie krzywdy spotęgowało się, gorzka uraza utkwiała w piersi strzałą zatrutą. — Na nikim więc polegać, niczyim słowom wierzyć nie można?

Pogrążył się w czarnej medytacji nad znikomością rzeczy ziemskich, nad ulotnością wszelkich twierdzeń i prawd. Doleciał go rumor krzesel z sąsiedniego pokoju.

Przysłuchiwał się z obojętnością posepną. Co tara; niech robią, co im się podoba, jemu jest wszystko jedno. Pewno wychodzi ta Werlabiczowa. Wszystko przez nią, -u-u, jędza!... Rodzice przepraszają, przekonywują, żeby została jeszcze. Pani Werlabiczowa wymawia się, rozplywa w podziękowaniach za poczęstunek wyborny, taki pyszny chleb państwo mają, i bułeczki; szkoda, że masło odrobinę zjełczałe, zresztą doskonałe, smaczne, tłuste... Państwo tak zawsze miłe przyjmą, przygarną człowieka... Trzeba jednak i o uczciwości pamiętać, nie nudzić zbytnio kochanych państwa... Na chłopca się nie gniewa. Któż będzie wierzył takiemu knotowi? Na złość powie coś takiego. Ale co prawda, to prawda, należy go wziąć w kluby, obcio;ać troszkę. Gburowaty jest i kłamie tak czelnie, w żywe oczy... Co takiego?... Zrobi się, zrobi, różeczka dar Ducha Świętego, he, he, he...

Michaś odgraża się pięścią z wściekłości. „Co wygaduje ta jędza, czupiradło obrzydliwe.”

Urwane pożegnania. „Do zobaczyska prędkiego, droga pani; do widzenia panu.” •— Odgłos ucałowań, z matką oczywiście. Poszła.

Ojciec, wracając z przedpokoju, mówi: „Nareszcie się wyniosła.”

Matka: „Wyobrażam sobie, jak będzie nas obmawiała. Skąpcy, żałują konfitur gościom i chłopca wychowywać nie umieją...”

Ojciec: „E, nie troszcz się o to. Kto jej tam uwierzy... Zato wątpię, czy prędko się u nas pokaże.”

Matka: „Struchlałam, jak ten gałąn wypalił jej wszystko, tak, wprost w twarz. A wiesz, Stachu, w gruncie rzeczy to i lepiej, że nie przyjdzie do nas. Taka stara plotkarka...”

Chłopcu łyzy wyschły odrazu, nie posiada się z oburzenia. — I to matka mówi w tej chwili! Więc on prawdę powiedział. Za cóż go zatem tak ukarano? I gdzie tu szukać sprawiedliwości na świecie?!

XIV.

Od jakiegoś czasu matka zmieniała się bardzo. Rzadziej wychodziła na spacer, łatwo się męczyła. Zmizerniała na twarzy, jakkolwiek w postaci nawet się „poprawiła”, jak sądził Michaś. Czasem bez żadnej przyczyny gorzko płakała. Ojciec stał się jeszcze czulszym dla mamusi, znosił w milczeniu jej gniewy i skargi, po których ze łzami w oczach przeproszała, że sobą wszystkich nudzi. Widocznie mamusia chora, myślał z troską malec i od-tąd częściej przesiadywał w domu, żeby być pod ręką, gdyby matce czego było potrzeba. Korzystając z tego, matka zaczęła go uczyć abecadła. Michaś niewiele widział sensu w tych literach, słuchał bez uwagi, powtarzał bez-myślnie. Matkę to mocno drażniło. Pewnego razu nawet rozpłakała się, że ma takiego upartego i niezdolnego syna. Michaś nadąsany oświadczył, że nie chce się uczyć, bo to nudne i na nic się nie zda. Wolałby się pobawić na podwórzu.

„Gdy będziesz umiał czytać, dowiesz się, co jest w książkach i jak się wszystko dzieje na świecie.”

„A ja tatę zapytam i on mi powie.”

„Tata nie zawsze ma czas. W książkach bywa dużo przeróżnych ładnych historii.”

Wko ńcu matka przyrzekła mu opowiedzieć piękną bajeczkę, jeśli będzie posłuszny i nauczy się połowy abecadła. Bajka o Tomciu Paluchu ogromnie zainteresowała chłopca, ale matka nie chciała jej skończyć, dopóki nie będzie umiał całego abecadła. Podżegany ciekawością, chłopak robił szybkie postępy. Uczył się teraz ochoczo, zwłaszcza, gdy kupiono mu Tomcia Palucha i mógł z dumą sam odczytywać po kilka wierszy, sylabizując powoli, z pomocą mamusi w trudniejszych miejscach.

Matka codziennie prawie odwiedzała państwa Goranowych. Pani Goranowa z powodu choroby ciotki często bywała nieobecna i wówczas prosiła mamusię o opiekę nad mężem i domem. I matka mimo, że sama coraz słabsza, nieraz chodziła — ku pewnemu niezadowoleniu Michasia — do państwa Goranowych i doglądała chorego. Kiedyś nawet na obiad się spóźniła. Ojciec posłał Michasia po matkę i wymawiał jej, że nie szanuje swego zdrowia, że nie powinna się przemęczać, choćby ze względu na przyszłość...

Matka przerwała ojcu, wskazując oczami chłopca przysłuchującego się z wielkim zaciekawieniem. Bardzo mu się to nie podobało. Coś przed nim ukrywają. Dlaczego? Czyż on nie jest dużym chłopcem, żeby wszystko wiedzieć?

Czasami u mamusi zbierały się sąsiadki. Gawędzono o różnych głupstwach i szyto jakieś gałganki i przedmioty śmiesznie maluchne. Michaś zapytał, czy mamusia chce łączyć bawić lalkami i czy to dla nich szyje ubranka. Sąsiadki bardzo się śmiały; matka zmieszała się i kazała mu iść bawić się na podwórze.

Chłopak wciągnął kusy paltocik na ramiona i wyszedł. Był zimny, jesienny dzień. Słońce blade, prawie srebrzyste nic nie grzało — zupełnie jak chore — pomyślał malec i mocniej wcisnął czapkę na głowę. Na podwórku nie było nikogo, oprócz Mańki szewcówny, z którą nigdy się nie bawił, ponieważ była okropnie brudna i beksa. Nudno. Chłopak obszedł ogródek, wrócił na dziedziniec, niema nikogo. Wówczas cichaczem wyniósł się na ulicę. Było to zakazane surowo i zwykle mało go pociągało, ulica była szeroka i zabrukowana — nic do roboty. Tym razem znalazł tu parę kompanów i przyłączył się do nich. Trzej chłopcy poszli sobie, ciskając po pustym chodniku kamyczki: czyj będzie dłużej skakał. Jak wiadomo, zależy to nie tyle od siły, ile od sztuki rzucającego.

Michasiowi się niezbyt powodziło. Przeszkadzał mu pewnie zbyt ciasny rękaw paltocika. Podżegany drwinami towarzyszy, szukał w myśli jakiegoś czynu, którym zdołałby ich przekonać o swej wyższości. Natchnęły go trzy dorożki, stojące w szeregu, jedna przy drugiej.

„Przechwalacie się!” zawołał chełpliwie, — „niech który z was naprzód przerzuci przez te dorożki... a ja przerzucę.”

„Figę — przerzucisz!”

„Zobaczymy.”

Michaś podniósł ułamek podłużny cegły i cisnął go z całej siły. Na nieszczęście przykrótki rękaw osłabił rozmach, cegła się zakręciła i, zamiast spaść na bruk, trafiła wprost w czoło trzeciego z rzędu dorożkarza.

Chłopcy pierzchnęli w panice, Michaś pędził prze-
rażony swym uczynkiem. Pewno rozbił mu głowę!
Boże, co teraz będzie?! Może go zabił, dorożkarz leży
na ziemi, a mnie posadzą do więzienia. — Obejrzał się.
Dorożkarz, klnąc, jechał w cwał za nimi, oczy miał stra-
szone, złe, ze skroni płynęła krew cienką, czerwoną strugą.
Michaś gnał zapamiętale do domu. Serce tłukło mu się
w piersi, jak oszalały ptak, przez głowę przelatowały bez-
ładnie najdziksze pomysły...

Ale chłopcy już go wyprzedzili. Wpadli na podwórze,
krzycząc: „Michaś rozbił mu głowę kamieniem! Michaś
zabił dorożkarza !” Otwierały się drzwi i okiennice, starsi
wyglądali przez okna, dzieci wyległy na ganki. Któraś
z kumoszek pobiegła uprzedzić przez współczucie matkę:
„żeby się czasem nie złąła zanadto, bo Michaś zabił
dorożkarza; ale on jeszcze dyszy.”

Matka zerwała się, zbladła, a w tej chwili, jak bomba,
wpadł Michaś z rozwianą czupryną, z nieprzytomnymi
oczami: „Mamo, ja nie będę więcej! Mamo, ja nie chciałem
go uderzyć!”

Tuż za nim wszedł z czapką w ręku gruby i tęgi
dorożkarz. Krew, którą rozmazywał wycierając, po twa-
rzy, sączyła się wciąż nicią rubinową ze skroni; lepiły się
dokoła zczerwieniałe, jak brusznice, zwitki matowo-żółtych
kręcących się włosów.

„Czego chcecie?” spytała matka głosem martwym,
bezdźwięcznym. Sąsiadki, kiwając głowami, stały nieco
opodal, z poza drzwi gapiły się głowy ciekawych.

„Przyszedłem pokazać, jak pani synek mnie uma-

lował. Za takie rzeczy po główce nie głaszczą! Rozboju na ulicy też robić nie jest dozwolone."

„Mamo! proszę mnie nie dawać. Ja nie pójdę do więzienia! Mamo!" krzyczał chłopiec, kryjąc się poza jej plecami.

„Czegóż chcecie?" powtórzyła matka, odsuwając Michasia ruchem szorstkim i mechanicznym.

„A no," dorożkarz otarł czoło rękawem i chrząknął z pewnym wysiłkiem, „co do tego, żeby urwisa skarać różgami, albo inaczej, to już niech tam. Pani to samej rzecz, żeby syn nie rozbijał ludziom głów na ulicy. A mnie"... kaszlnął znowu, „cośby też na poprawkę się przydało."

Matka poszła do komody, wyjęła rubla i dała dorożkarzowi. Ten przestępował z nogi na nogę.

„Czego chcecie? Więcej nie mam. Chłopca sama ukarzę."

Dorożkarz chrząknął. „Hm. Tak, to dziękuję. Moje uszanowanie." I dodał na wychodnym: „A malca przypilnowaćby trzeba, szłaawiła!"

Sąsiadki zaczęły rozwodzić żale nad matką, że jej „takie oto" rośnie. Matka pożegnała je z gestem znużenia: „Przepraszam panie, mam teraz z tym jegomościem do pogadania," i skinęła w kierunku Michasia.

Stał pośrodku pokoju w tej samej pozie skamieniałej, rzucony na pastwę przeczuć najokropniejszych.

„Chodź tutaj," rzekła matka wciąż tym samym głosem, twardym, bezdźwięcznym, co, jak żelazo po szkłe, zazgrzytał w uchu Michasia. „Dziękuję ci. Pocieszyłeś mnie dzisiaj. Myślałam, że będę miała z syna porządnego

człowieka, a widzę, że wychowuje się rozbójnik, hańba mojej starości. Słyszysz?"

„Słyszę," wyszeptał chłopak, jak na torturach.

Głos matki szedł jakby zdaleka i spadał nań ciężkimi głazami — raz, raz... żadnej nadziei, znikąd poratunku. Ani jedna łza nie zwilżyła źrenicy, spalonej rozpaczą.

„Aha, słyszysz!... Ale ja na to nie pozwolę. Raczej ciebie własnymi rękoma zaduszę... albo siebie zabiję," skończyła szeptem donośnym, przeraźliwym.

Oczy jej rozszerzyły się, znieruchomiły, schwyciła się ręką za gardło i z napół otwartymi ustami, blada, osunęła się bezwładnie na podłogę.

„Mamo!" wrzasnął Michaś niesamowicie. „Mamo!"¹

Przybiegły sąsiadki. Cucono, oblewano matkę zimną wodą, dawano jej wachać sole. Omdlenie trwało. Michaś daremnie wołał przez rozdzierające pierś suche łkanie: „Mamusiu, proszę otworzyć oczy! ja więcej nie będę. Mamusiu!..."

„Widzisz, coś ty narobił;" zwróciła się z wyrzutem jedna z kobiet. „O małość człowieka nie zabił, a teraz matka leży, jak nieżywa. I to w takim stanie, jak ona! Jeżeli umrze, twoja będzie wina."

„Ja nie chciałem! Mamo!" jękiem wydarło się z serca Michasia. Roztrącił niewiasty, rzucił się do matki, zasypując pocałunkami zimne usta, czoło i powieki zakryte, szarpał, potrząsał nią, błagał.

Sole zaczęły pomału oddziaływać, a może i modły chłopca rozpaczne. Matka westchnęła, poruszyła się, uniosła zlekka. Odprowadzono ją do łóżka i zostawiono samą z chłopcem.

„Mamo!" przypadł jej do stóp Michaś. „Proszę mnie wybić mocno, bardzo mocno, tylko proszę nie umierać. Ja nie chcę, żeby mama umarła, jak Musia. Bo ja też umrę," oświadczył z wielką stanowczością.

Coś nakształt nikłego uśmiechu przemknęło po obliczu matki. — „Czemuś to zrobił, synu?"

„To było niechcący, naprawdę, mamusiu." Przerwywając sobie, utykając i rozpoczynając nanowo, opowiedział, jak się rzecz miała.

Matka odetchnęła z ulgą. „A ja wyobraziłam sobie, żeś to zrobił umyślnie, przez zły instynkt. Pamiętaj, Michasiu, dziś omdlałam na samo to przypuszczenie. Innym razem nie przeżyję. Wolałabym umrzeć, niż widzieć cię zepsutym chłopcem, oszustem czy zbójcą. Przysięgasz, że będziesz lepszy, posłuszny, Michasiu?"

„Tak, mamusiu, przysięgam," całował ją malec po rękach, wstrząśnięty do głębi tyłu naraz tragicznymi przejściami.

„Tym razem ci daruję... i ojcu nie powiem," dodała na proszący nieśmiało wzrok syna. „Idź teraz, weź książkę i poczytaj."

Pełen bezbrzeżnej wdzięczności i miłości dla swej mamusi najdroższej, chłopiec odszedł z mocnym w duchu postanowieniem zupełnej poprawy.

Z troską spoglądał czasami na matkę, taką bladą, bez kropelki krwi w twarzy. Zimny lęk chwycił go w kleszcze. — Żeby tylko mamusia była zdrowa! Boże, żeby tylko mamusia była żywa i zdrowa!

XII.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia.

Chłopiec cuda roił o choince., jaką inu tatuś urządzi; o tem, czy i jakie dostanie od rodziców upominki świąteczne. Niepokoił go jednak stan matki. Chodziła z trudem, prawie nie mogła pracować. Nawet w gotowaniu wyręczała się często pomocą sąsiadek. Oczy miała zapuchnięte od łez... Jakby się czegoś bała.

Pewnego dnia, gdy czuła się szczególnie niedobrze, ojciec pomimo protestów zabrał go z domu i zaprowadził do Kostka. Pozwolono mu bawić się, ile będzie chciał. Szkoda tylko, że Kostek uważał się za starszego i nie bardzo chętnie pokazywał mu swe ulubione lalki. Miał ich przeszło tuzin rozmaitej wielkości i urody, ale ukrywał się z nimi z obawy przed drwinami chłopców.

Pogoda była bardzo przykra. Padał płatkami mokry śnieg, topniejący natychmiast w błoto, zimny wiatr przynikał na wskroś zębem. Aniby się kto domyślił, że jutro wilja Bożego Narodzenia.

Położono spać chłopca na malutkiej kanapce, obok na podłodze spały dziewczęta z zakładu konfekcyjnego p. llybanowej, żeby się nie bał sam w nocy. Michasiowi

było niewygodnie i ciasno. Zasnął z trudem, rozważając, dlaczego nie pozwolono mu zostać w domu. **Pewno**, żeby nie zawadzał mamusi w przygotowaniach.

śniło się Michasiowi, że ojciec mu podarował na choinkę dużego drewnianego konia. Michaś podskoczył z radości, wdrapał się na siodło i pojechał w cwał. Koń, jakby się wściekł, wierzga tyłem, rzuca się, skacze. Chłopak uchwycił się grzywy, trzyma... Akurat! Jak poleciał!... Aha — a! jednak wlezę z powrotem, myśli z zaciętrzewieniem i uczepiony za grzywę wspina się, wspina... a koń jak wrzaśnie: „Oj, Boże mój! Djabeł!”

Michaś się dziwi, ale siedzi mocno w siodle. Otworzył oczy, obudzony krzykiem i nie mógł zrozumieć, co się stało. Czarno dookoła. Konia nie widać, zato ktoś rzuca się pod nim i krzyczy. Michaś się przestraszył i także zaczął krzyczeć. Przybiegła w koszuli nocnej z świeczką w drżącej ręce p. Bybanowa.

„Co się dzieje?!”

Okazało się, że Michaś spadł we śnie na jedną z dziewcząt, leżących koło kanapy. Marzyło mu się, że dosiadł konia, więc targał ją za włosy, by się utrzymać na niespokojnym wierzchowcu. Gdy się rzecz wyjaśniła, i przerażoną dziewczynę uspokojono, stała się wesołość powszechna. Długo jeszcze chichotały dziewczęta, pokpiwając z koleżanki, którą mały panicz chciał ujeździć.

W Wilję nad wieczorem tatuś zabrał Michasia. Po drodze opowiedział mu, że w domu „znalazł się” nowy braciszek.

Jakto? On nie będzie jedynym synkiem mamusi? Poco mu ten braciszek? I kto go prosił? — Głuche niezadowolenie nurtowało w chłopcu.

„Chodź zobaczyć braciszka, Michasiu”, uśmiechnęła się matka.

„A skąd on się wziął?” burknął nieżyczliwie.

„Tatus wczoraj kupił na targu.”

„Hm. Poco? Ja nie chcę. Proszę go odnieść z powrotem. Mnie tu nikogo więcej nie trzeba.

„Nie wiedziałam, żeś taki niedobry,” zmartwiła się matka.

„Wstydz się martwić mamę,” szepnął ojciec, „widzisz — leży, jest chora. Przepróż zaraz.”

Chłopcu zrobiło się wstyd. Podeszedł do łóżka, pocałował mamusię w rękę.

„Popatrz na braciszka. Prawda, że ładny, synu?” I matka odsłoniła zawiniąteczko, które miała przy sobie.

Chłopak rzucił badawczym spojrzeniem. Mały kłębuszek różowego mięsa, cały w żyłkach błękitnych, ruszał mikroskopijnymi nóżkami i rączynami, kręcił się i kwilił. Małe to i śmieszne. Dotknąć nawet strach, żeby czego nie uszkodzić. Michaś chciał odejść.

Matka całowała maleństwo, przygadywała do niego. „Wiesz, synu, tyle miałam roboty z kupieniem ci braciszka, że już choinki nie dostałam, a i wilja będzie skromna...”

Zawód był dotkliwy. Idąc do kuchni, mruzczał pośpie: „Czemu mama nie zaczekała? Czy nie mogła kupid

braciszka po świętach, jeżeli już jej koniecznie się go zachciało?"

Święta zeszyły marnie. Choinki, z winy nowego braciszka, nie było. Matka poświęcała przeważną część swego czasu małemu Dadźkowi. Myła go, oblekała w czyste pieluszki, karmiła piersią lub smoczkiem. Zabawne to było, swoją drogą. Chłopak z zajęciem obserwował braciszka. Czasem pozwalano mu brać go na ręce. Nieraz jednak poruszało się w nim coś nakształć zazdrości na widok pieśczot i czułej opieki, jaką rodzice otaczali nowego przybysza, zapominając o nim, Michasiu. Wówczas zachodził w głowę, poco właściwie tego Dadźka kupiono? Tak im było dobrze dawniej we troje, i pieniędzy teraz więcej tatusiowi potrzeba. Wzbierała w nim niechęć. Przychodził do Dadźka i pokazywał mu język. Dadźko był głupi i uśmiechał się bezmyślnie, łapiąc rączkami pulchną, komiczną nóżkę i usiłując wpakować ją do różowej, bezzębnej buzi... Włoski miał mięciuchne, jak puch i takie złociste, jakby mu promyczki z głowy pokręcone w kędziorki wyrastały.

Michaś odebrał mu smoczek; Dadziek kręcił głową bezradnie, cmoktał paluszek, wreszcie się rozpłakał. Chłopak oddał smoczek coprędzej, szkoda maleństwa. Poczłł się nagle „starszym” wobec Dadźka. Będzie go bronił, gdy podrośnie, od chłopców, żeby go nie krzywdzili. Oho! niech tylko spróbują.

W wolnych chwilach mamusia słuchała, jak sylabizował, lub sama czytała mu na głos. Zima minęła prędko, przyszyła wiosna. Po Wielkiej Nocy tatuś obiecał, że, jeżeli

mu dobrze interesy pójdą, wyśle mamę z dziećmi na wieś do krewnych Kolusia, którzy bardzo o to prosili.

Gdzieś w początku maja ojciec przyszedł do domu me w humorze.

„Zapomniałaś widać, że już po pierwszym," rzekł •opryskliwie. „Jeżeliś sama nie mogła, trzeba było powiedzieć. Gdzie są pieniądze?"

„Jakie pieniądze, Stachu?"

„Nie wiesz? Pani Goranowa prosiła, żebym zapłacił komorne, bo potrzebuje pieniędzy."

„Ależ zapłaciłam, Stachu, pierwszego, jak zwykle."

„Co ty mówisz? Pokaż kwit."

„Nie brałam kwitu, Stachu. Jesteśmy tak dobrze z gospodarzami, że wyglądałoby to na nieufność. Pani Goranowa ostatnimi czasy była jakaś nadąsana, nerwowa, zapomniała widocznie."

Ojciec, ledwie tknąwszy jedzenia, wyszedł natychmiast po obiedzie. Matka w oczekiwaniu coraz to spoglądała na drzwi. Michasiowi także udzielił się niepokój matki

Po długim, długim kwadransie ojciec wrócił zgnębiony, przybity. Usiadł ciężko przy stole i wsparł głowę na rękę.

„Stachu, i cóż?" odezwała się matka z wahaniem.

„Co? — a to, że są łajdacy i szubrawcy ci twoi mili •gospodarze. Ot co!"

„Stachu!"

„Tak. Krępowwałaś się, bawiłaś się z nimi w delikatność, kwitu nie wypada żądać... Masz teraz naukę!" wybuchnął ojciec. „Przychodzę, powiadam: Droga pani się myli. Żona zapłaciła komorne. A ona — nie, to pańska żona się myli; może pieniądze wydała na co innego i wstydzi się przyznać panu."

„I pan Goranow nic na to? Zdaje się, przy nim płaciłam," wtrąciła matka, „prawda, siedział w sąsiednim pokoju. W każdym razie musiał słyszeć!"

„Właśnie," ciągnął ojciec z goryczą, „kruk krukowi oczu nie wydziobie. Ruszyło go widać sumienie z początku, powiedział: „Może pani Barbara zapłaciła, duszko* Czy nie zapomniałaś czasem?" Ale gospodyni wpadła nań z furją: „Aha, podoba ci się pani Barbara! Dawno to już zauważyłam! Dla jej pięknych oczu radbyś im podarować komorne!"

„Podła!"

„Odparłem, że nie potrzebujemy żadnych podarunków, że pierwszego dostali, co im się należy. Gospodyni nagle zrobiła się słodką, słodką... tfy! wstręt było patrzeć na tę hypokryzję. Mówi: „Żona pańska jest zapewne w posiadaniu kwitu, skoro twierdzi tak stanowczo, że zapłaciła." Odpowiadam: „Żona moja żenowała się żądać od pani kwitu wobec stosunków przyjaznych, jakie dotąd nas łączyły"... Gdybyś widziała ten błysk złośliwy w oczach i uśmiezek cukrowany... — „Przyjaźń przyjaźnią, interes interesem. Będę pana prosiła o zapłacenie komornego w przeciągu trzech dni, inaczej, jakkolwiek z ubolewaniem, udam się na drogę sądową. Czasy są ciężkie, wy-

datków mam dużo i darmo mieszkania nie wynajmuję." Trzasnął drzwiami i wyszedł. Oto i wszystko."

„Jaka podła kłamczyni! Cóż teraz poczniemy?!” załamywała ręce matka. „Pójdę i wydre od niej ten kwit. To moja wina, Stachu. Idjotka! Żeby ufać tak ludziom!”

„Daj spokój, Basiu, zostań; gotowa ci jeszcze wymyślać.”

„W oczy jej przynajmniej cisnę moją wzgardę! Powiem, że jest oszustką, złodziejką!” zerwała się matka w pasji najwyższej.

„Cicho, cicho. To do niczego nie doprowadzi, chyba że o nowych przykrości. Niech dla nas będzie pociechą, że jesteśmy uczciwi. Wolę, że mnie okradziono, niż gdybym sam miał kogoś okraść. Prawda, synu?”

Michasia z gniewu i żalu coś w gardle dusiło. Nie rozumiał dokładnie, o co chodziło, lecz czuł, że rodzicom działa się wielka niesprawiedliwość. Kiwnął głową i, mrugając szybko powiekami, ścisnął dłoń ojca, który go głaskał machinalnie po czuprynie niesfornej.

„Skąd-że pieniędzy dostaniemy? Czy nie lepiej po-
Aać do sądu?”

„Dziecko jesteś. Nie mamy kwitu ani świadków. Przegramy napewno.”

„Pocóż te sądy istnieją w takim razie?” **krzy-**
knęła matka boleśnie.

Michaś podzielał jej oburzenie. Jakże sąd może być za gospodynią, jeżeli mamusia zapłaciła komorne. Cóż to za sąd taki? I poczucie złej, niezrozumiałej krzywdy zaczynało puszczać pędy jadowite w duszy chłopaka.

Następnego dnia ojciec pożyczył gdzieś i zapłacił. Z smutną ironją opowiadał... Michaś słuchał, zaciskając pięści z gniewu bezsilnego. Nie darmo niecierpiał pochlebiania i wiecznych słodczy p. Goranowej. Zrobić coś tej jędzy obrzydliwej! Pomścić rodziców!

— Przeszedłem, położyłem pieniądze na stół. Gospodyni stała się czuła, uprzejma. Ja—nic... „Proszę napisać kwit, żeby pani znowu przypadkiem nie zapomniała.” Uśmiechnęła się, dała kwit i mówi: „No chwała Bogu, że załatwiliśmy to nieporozumienie polubownie. Mam nadzieję, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi. Pan się przekonał, że pańska żona była w błędzie. Nic dziwnego, młoda kobieta, ma dwoje dzieci, pełno kłopotów na głowie”... I rękę do mnie wyciąga... — Nie, pomyśl tylko, Basiu, jaka bezczelność! —kipiał ojciec. —Cofnąłem się, nie przyjmując jej ręki, została z wyciągniętą w powietrzu. „Pani kłamie, pani nadużyła nieuczciwie zaufania mej żony. Nie pójdzie moja krwawica na dobre ani pani, ani jej dzieciom.” — Ona się zaczerwieniła, zmieszana. Wyszedłem, nie słuchając, co jeszcze powie. Czym dobrze uczynił, Basiu?

„Dobrze”, szepnęła matka i, dla ukrycia łez, odwróciła się do Dadźka, który czegoś marudził w kołysce.

Michaś od wczoraj żuł gniew na nikczemność gospodarzy, rojąc tysiąc projektów zemsty najokropniejszej. Pójść powybijać im szyby? Rozmyślił się, — gotowi jeszcze kazać zapłacić tatusiowi. I może ten głupi sąd im przysądzi, a jego do więzienia wsadzą. Ten pian sijnie nadawał. W pokoju było ciasno i duszno. Wybiegi

na podwórze. Na wszelki wypadek schował spory kamień do kieszeni: niewiadomo, co może się człowiekowi przydarzyć.

Nagle serce przestało w nim bić; krew z hukiem dzwonów uderzyła do głowy. Oto bowiem gospodyni zeszała z ganku i przechodzi mimo... Chłopiec się zawahał. Cisnąć w nią? Nie można, bał się więzienia.

Pani Goranowa spostrzegła go i ze zwykłym uśmiechem najśłodszych matowo-czarnych oczu rzekła: „Dzieńdobry, Michałku. Czemu się nie witasz?”

Chłopiec osłupiał wobec tej zuchwałości, w pierwszej chwili, nagle wybuchnął: „A pani nie wstyd kraść tatusiowi pieniądze?”

Gospodyni aż spąsowiała ze złości: „Nicponiu jeden, uszy ci oberwę!”

Uczucie tryumfu zagrało w piersi chłopaka. Sprecyzował dobitnie: „Ja nie nicpoń, ja Michaś, a pani złodziejka!”

Pani Goranowa podniosła rękę do uderzenia, ale Michaś już trzymał kamień w garści i wołał z oczętami roziskrzonymi, z latającymi chrapkami: „Ano rusz!”

Gospodyni cofnęła się o parę kroków. Chłopiec pobiegł do domu, cokolwiek niepewny, czy czegoś nie oberwie za to, lecz z zemsty swej uradowany do głębi duszy. Zaledwo wszedł do pokoju, drzwi się otwarły i wpadła pani Goranowa, formalnie rozwścieczona. Gładziutkie zwykle jej uczesanie zleciało w luźnych pasmach na twarz, ujmując, jak w ramę węzową, czarny błysk oczu i pąsowe, szerokie wargi, wykrzywione gniewem.

„Ładnie się państwa synek chowa, niema co! Żeby ludziom głowy rozbijał!... Wymyślał ostatnimi wyrazami, jak ulicznik.”

Michaś roztropnie wycofał się w stronę rodziców, którzy stali oszołomieni tą niespodzianą wizytą.

„Zmiłowania! Coś ty znowu nabroił, Michasiu?” jęknęła matka przerażona.

„Nic, mamusiu. Ja jej nie uderzyłem, naprawdę.”

„Ale wiesz, że ci zabroniłem surowo powtarzać brzydkie, uliczne wymysły; jak nazwałeś gospodynię?” zwrócił się ojciec tonem nagany.

„A złodziejką!” ogłosił malec z przekonaniem niezbitem; „czemu nasze pieniądze ukradła?”

„Słyszysz pan?” syknęła pani Goranowa, „co mi ten smarkacz śmiać powiedzieć?”

„Słyszę”, odparł ojciec z flegmą.

„I nie wsypie mu pan różeg, żeby długo pamiętał?”

„Nie, moja pani,” akcentował ojciec każdy wyraz. „Malec w formie nieco za ostrej powiedział prawdę. Pani zachowanie względem nas było prostem oszustwem.”

„Co takiego?” krzyknęła pani Goranowa, tupiąc nogą. „To pan z synalkiem trzyma? I śmie pan mnie w moim własnym domu znieważać? Hołota! jutro, żeby śladu waszego tu nie było!”

„Oho!” wtrącił się wojowniczo chłopak, zamierzając się ręką, „bo jak dam kamieniem.”

„Michaś, przestań, to nie twoja rzecz!” sarknął twardo ojciec. „Wyrzucić mnie pani nie może, ponieważ

zapłaciłem komorne, i to nawet dwukrotnie, jak pani szanownej wiadomo. Do końca miesiąca ja tu jestem gospodarzem i nie pozwolę, żeby nachodzono mnie z wrzaskiem i pretensjami niedorzecznymi. Zatem pani będzie łaskawa natychmiast opuścić mój lokal, — tędy," wskazał na drzwi z galanterją ironiczną.

W złości bezsilnej p. Goranowa mięła i targała w dłoni chusteczkę, nie wiedząc, czemuby dokuczyć, dotknąć, jak pomścić zniewagę.

„Znakomicie. Wychowa się wam syn na zbója i łototę, jak rodzice. Żebraki!...”

„Co?" cicho powtórzył ojciec, blady, jak trup i zrobił krok naprzód do struchlałej nagle niewiasty.

„Pohamuj się, Stachu," z rozpaczą zawołała matka. „Stachu!"

Ojciec odetchnął z trudem, powiódł trzęsącą się ręką po czole... „Szczęście pani," wyrzekł półgłosem, ale tak groźnie, że Michaś zdrętwiał, „że żona moja zawołała, bo mogłem zapomnieć, że pani jest kobietą. Wolę istotnie, żeby mój syn został raczej żebrakiem, niż łotrem i oszustem, pani rozumie, mówię o pani i jej podobnych. A teraz dość, ani słowa więcej", podniósł głos na ruch gospodyni, która chciała odpowiedzieć coś obelżywego — „i precz"!

P. Goranowa zawahała się, rzuciła wściekłe spojrzenie i z szumem spódniczek jedwabnych wybiegła, zatraskując drzwi z hałasem. Ojciec musiał uspakajać matkę, drżącą ze zdenerwowania i Dadźka, nastraszonego krzykami. Michaś czuł przypływ zapału wojennego i był

azeżeśliwy z upokorzenia wroga. Matkę jednak trwożyła pewna strona kwestji, dla niej niejasna.

„Mali chłopcy nie powinni się wtrącać do starszych, synu. Dlaczego nazwałeś gospodynię złodziejką?”

„Alboż to nieprawda? Mama sama mówiła, że t* grzech kłamać i że trzeba zawsze mówić prawdę w *oczy*.”

Wypadło zmienić temat, cokolwiek drażliwy.

„Powiedz mi, synu, pociś kamień przygotował? Czy na gospodynię? Wiesz, że to niewolno; tylko rozbójnicy napadają z kamieniami na ludzi.”

Ale chłopak nie dał się zbić z tropu. „Wziąłem kawałek cegły i pogroziłem gospodyni, bo ona chciała mnie uderzyć. Ona starsza, silniejsza ode mnie, jabyza się nie mógł obronić. A ona się nastraszyła i przyszła poskarżyć... A jak gospodyni uciekała, gdy tatuś na nią nakrzyczał! cha, cha, cha...” skończył malec wybuchem tak szczerego, dźwięcznego śmiechu, że ojciec, jakkolwiek nasepiony, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

Mamusia zaś rzekła, kiwając głową żartobliwi<; „I jak tu sobie z tym urwisem poradzić!”

XII.

Cały maj dla Michasia był jedną nieskończoną torturą. Z obawy przed jakimś wybrykiem złośliwym ze strony gospodyni, rodzice trzymali chłopca» w pokoju: parę razy zaledwo udało mu się wymknąć na godzinę. Sam zresztą stracił ochotę do' zabaw na brudnym podwórzu, w ogródku zaś bawiły się dzieci państwa Goranowych, starsze od niego i bardzo zuchwałe. Mógł oberwać jak nic i nawet poskarżyć się nie byłoby komu.

Michaś czytał już dosyć biegle; najwięcej lubił bajki i opowiadania z podróży z przygodami. W entuzjizm prawdziwy wprawiła go książeczka ilustrowana, p. t. „Z wędrówek po Afryce.” Słonie, wielbłądy, lwy, żyrafy, pustynie piaszczyste., topiele pokryte skorupą soli po wierzchu, małpy, murzyni, strusie... orszakiem malowniczym, nieskończonym przeciągały w jego marzeniach. Matka nastarczyć mu nie mogła objaśnień w tej materji, zwłaszcza, że chłopak żadnej menażerji nie widział, a chciał wiedzieć dokładnie, jak to wszystko wygląda.

Datę wyjazdu ustalono na drugą połowę maja. Siatka z dziećmi jechała na wieś, do dziadków Kulusia, razem

Z państwem Boruckimi, ojciec miał zmienić podczas ich nieobecności mieszkanie.

Ostatnie godziny. Pakowanie i układanie tłomoków podróży. Pośpiech i zdenerwowanie matki. Uwagi niecierpliwego ojca, że marudzą, że się spóźnią na pociąg.

W niezwykłym podnieceniu chłopak latał od sprzętu do sprzętu, wyskakiwał na ganek, wracał do pokoju, plątał się pod nogami starszych, dopóki go nie wypędzono... nie mógł ani minuty wysiedzieć na jednym miejscu. Czy to już prędko? Która godzina? Czy długo trzeba jechać? Kiedy pociąg odchodzi? Czy dworzec blisko?... pytania nie miały końca.

Wreszcie wyjechano. Państwo Boruccy czekali już na dworcu. Chłopak gorączkował się, czy wzięto bilety, czy się nie spóźnią, i trzymał mocno za rękę mamusię, żeby nie zgubić się w tłumie. Rodzice poszli szukać Wygodnego miejsca w pociągu; Michaś pozostał na platformie. Olbrzymia, czarna lokomotywa ciężko sapała; do paszczy rozżarzonej pieca dorzucano wciąż węgla, — stamtąd buchały szkarłatne węże płomieni. Z szacunkiem przyglądał się chłopak okopconym, umorusanym palaczom, którzy karmili potwora i żyli z nim w tak poufałej komitywie.

Rozległ się drugi dzwonek, wołania zniecierpliwione; „Michaś! gdzie on się podział?... Michaś!”

Chłopiec drgnął, pomyślał, że pociąg odejdzie bez niego i pobiegł wzdłuż wozów z krzykiem: „Mamo! mamo!” Na szczęście pani Borucka zauważyła go i pomogła

mu wdrapać się po wysokich schodkach do wagonu. Chłopak pośpiesznie wpakował się w kącik koło okna i pochłonięty widokiem, zapomniał o hożym świetle.

Trzeci dzwonek. Gwizdki. Ludzie ściskają się, wykrzykują pożegnania. Ojciec się zerwał, ucałował matkę bardzo zasmuconą, Michasia, Dadźka i wyskoczył na platformę. „Pisz-że, Stachu, i przyjedź!” — Chłopcowi ścisnęło się serce, nigdy jeszcze dotąd nie opuszczał tatusia. Różni ludzie na dworcu powiewali chusteczkami. Mamusia też, uśmiechając się przez łzy, skinęła chusteczką. Ojciec coś krzyknął i zdjął kapelusz. Ale pociąg szarpnął, raz — Michaś o mało nie zleciał z ławki, drugi — zaśkrzypiały łańcuchy, wreszcie ruszył powoli.

„Jedziemy! Mamo, jedziemy!” zawołał chłopak wzburzony.

Kołuś się zaśmiał: „No pewno, że jedziemy, Michasiu; nie bądź-że taki niemądry.”

Chłopak wychylił się z okna — dworzec pozostał już znacznie w tyle, ojciec stał i powiewał kapeluszem.

„Do widzenia, tato!” krzyknął Michaś i raptem zrobiło mu się strasznie smutno, że ojca z nimi niema i nie prędko go zobaczy; w mgnieniu oka chętnie byłby wrócił, byle nie rozłączać się z tatkiem.

Ale pociąg przyśpieszał biegu, minął zwrotnice, semafor. Domki, ogrody warzywne, kominy fabryk — wszystko uciekało wstecz. Wtem wyrósł las. Nie zdążył Michaś krzyknąć: „o las!”, gdy las się już skończył, i zaczęło się pole z wysoką, zieloną ścianą zboża. Kołuś chętnie zapytał Michasia, czy wie, jak się to nazywa — i dodał

szybko, że to jest żyto. Gdy żyto dojrzeje, zbiorą je,, wymłóca, ziarnka ziemią na mąkę, a z mąki upieką chleb... Przemiany były cudowne, jak w bajce.

Jedna myśl natrętna trapiła chłopca, czy dobrze jadą. Wkońcu nie wytrzymał.

„Panie Borucki," zwrócił się do ojca Koluś, „czy ten pociąg dobrze jedzie?"

Pan Borucki rozproszył jego obawy i chłopak uspokojony wrócił do okna, gdzie, na wyścigi z Koluś, podziwiali i pokazywali sobie nawzajem ciągle zmieniające się widoki. Szybkość pociągu, świstki i potężne sapanie lokomotywy, długie miotły czarnego dymu, czepiające się siwymi strzępami o drzewa przydrożne... wszystko zachwycało chłopca swą nowością.

W słońcu, dążącym zwolna do zachodu, rozbłysnęły nagle dwie szyby stalowe o rudych, gdzie nigdzie jak z miedzi, plamach.

„Patrz, Koluś, woda."

„To bagno," pouczał tamten z powagą, „tam można utonąć w błocie."

„No, no," kiwał Michaś głową z poszanowaniem. „A co to jest?!" krzyknął zelektryzowany.

Tuż koło wody ciągnął się łańcuch niewysokich pagórków wprost olśniewająco białych.

Koluś nie wiedział. Myśl chłopca pracowała ze zdwojoną energią. Ogłosił tryumfalnie: „A ja wiem."

„Powiedz," zaciekał się Koluś.

„To są pagórki soli!"

„Soli? Tej, co się nią soli?"

„Tej Ba mej.”

„Pleciesz, Michasiu.”

„Naprawdę!” twierdził z żarem przekonania. „Mnie mama mówiła, że sól zbierają w wielkie kupy na brzegu morza.”

„He-e-e? A gdzie tu morze?”

Michaś zawahał się, ale tylko na mgnienie. „Widzisz,” pouczał kompana z kolei, „sól zbierają też z jezior.”

„Może i masz rację; bo to białe, jak sól,” zgodził się Koluś.

„Gdzieście tam sól wynaleźli?” zapytał zaciekawiony pan Borucki.

Chłopcy odsunęli się nieco, pokazując mu góry soli.

„Rzeczywiście białe,” i roześmiał się głośno. „Tfy! do djabła. To są kopy siana!”

„Ależ siano, proszę pana, jest zielone.”

„To nic nie znaczy. Zmokło od deszczu i rosa w słońcu błyszczą, jakby z soli było.”

Chłopcy milczeli, lecz w głębi duszy uważali swoje wytłumaczenie za znacznie wiarogodniejsze.

Naraz w wagonie pociemniało, — przyszedł las. Tęgie dęby rozpościerały konary barczyste, wiotkie brzozy rozczesywały na wietrze warkocze zielone. Pnie sły za pniami, bez końca, ginąc, hen. w pomroce boru. Tchnienie powagi i dziwu objęło chłopców. Mimowoli przyciszyli głosy. Koła pociągu kłóciły się i stękały, maszyna sapała, i pierwsze złote iskry węgla rozżarzonych wkrapiały się w pióropusz czarny dymu... Poszum chodził po

borze, godny, uroczysty, kornie chyliły się przed nim głowy niebosiężnych olbrzymów.

Las się przerzedził, — jakieś zwierzę mignęło wśród drzew, powąchało ziemię, i znowu skoczyło w gęstwinę.

„Patrz, Koluś, wilk!” zatrwożył się chłopak.

„Pewnie, że wilk,” zgrzdził się Koluś.

Za chwilę ukazał się człowiek z dubeltówką na ramieniu.

„Widzisz, on pewno poluje na tego wilka.”

I obaj wychylili się z okna, pragnąc być świadkami tej wstrząsającej sceny. Wyrzał i pan Borucki, któremu się dosyć nudziło.

„Czego ten malec nie wymyśli!” pan Borucki ze śmiechem poklepał Michasia po ramieniu. „Niech tylko pani posłucha, rzekł do matki, która układała Dadzka do snu. „Z gajowego, co obchodzi z psem swą partję lasu, zrobili odrazu myśliwego i wilka. Oj, ci chłopcy!”

Chłopcy milczeli, ale przeglądało w tem raczej zniecierpliwienie z powodu niedorzeczności, w które kazano im wierzyć. Na własne przecież oczy widzieli góry z soli i wilka. I poco się do nich starsi wtrącają!?!... Odtąd robili swe spostrzeżenia umyślnie szeptem, wskazując sobie palcem rzeczy, godniej sze uwagi.

Matka kołysała Dadika; Pan Borucki wyciągnął się na ławce w sąsiednim przedziale i po chwili już chrapał miarowo. Pani Borucka też kiwała się w kącie. Chłopcy patrzyli na nich z politowaniem. Co za barbarzyństwo! Jak można spać, gdy się jedzie w pociągu i widzi tyle,

tyle ciekawych rzeczy dokoła. Tylko starsi potrafią coś podobnego uczynić.

Przyjechano późno wieczorem. Koło stacji czekał podróżników duży wóz drabiniasty. Koło wozu stał dziadunio Kolutia, wysoki, zgarbiony trochę, z długim siwym wąsem. Jedno oko miał zaciągnięte bielmem, siwe krzaczaste brwi zwisały mu nad powiekami. Ubrany był w białą koszulę haftowaną, w szerokie białe szarawary i w buty palone z cholewami. Dziadunio, z powodu głuchoty, nadstawiał ucha, gdy doń mówiono i sam mówił głośno.

Michaś, którego oddawna to już męczyło, zapytał Kolutia, czy jego dziadunio jest chłopem. Ten się obruszył.

„Wcale nie. Dziadunio jest szlachcic. Na wsi w lecie wszyscy chodzą w takim stroju.”

W mroku, — latarni na ulicach nie było, — jechano naprzód truchtem. Wszędzie chaty przysadziste z przyzbami. Bielone, pochyle ściany majaczeję wśród ciemnych plam ogiódków owocowych. Każdy budynek przykryty strzechą ze słomy. Wóz się trzęsie, podskakuje. Matka Kolutia też podskakuje i kiwa się w okropnie zabawny sposób. Pan Borucki klnie na wyboje, z tyłu wlecze się gęsta smuga kurzawy., Bardzo wesoło.

Wóz skręcił nagłe, przechylił się i zaczął zjeżdżać z góry. Michaś się trochę bał i mocno chwycił za przecznicę wozu. Koluś, bardziej obyty, parsknął.

„Boisz się, aha!”

„Wcale się nie boję;" hardo zaprotestował chłopiec. „Ja tak sobie." I dodał niby obojętnie: „Jak myślisz, nie wywrócimy się?"

—mm
Ti do'u pokazało się długie, ciemne pasmo wody, lekko powiewającej, jakby kto stare srebro przyprószył grubą warstwą pyłu. Wóz wjechał na groblę, koła zaturkotały po belkach pomostu nad spustem zastawu. Słabo bełkotała woda, potracając o śpiące koło młynu.

Znowu chaty, ogrody; tam i ówdzie napotka się młodego parobczaka z czapką na bakier, w butach z cholewami i z papierosem w zębach. Koło przejazdów w płotach stoją dziewczęta bose i żartują z chłopcami. Śmieją się wrzaskliwie, tłuką pięściami parobków, piszcza, — pewno im bardzo wesoło.

Wóz s'ę zatrzymał.

„Przyjechaliśmy, proszę państwa."

Odsunięto bramę. Na podwórzu skakał, **poszczekując** i kręcąc ogonem, duży pies, budzący w Michasiu lekką nieufność.

„Burek nie ugryzie. Burek! To swój!" wołał Koluś.

Pies przybiegł, warcząc, obwąchał struchlałego chłopaka i merdał ogonem, widocznie z oględzin zadowolony. Michaś odważył się nawet go pogłaskać.

Mała, przygarbiona nieco, lecz ruchliwa staruszka przywitała się z matką i uścisnęła chłopców. Skórę na rękach miała twardą, zgrubiałą i moc zmarszczek na twarzy.

„To babunia," szepnął Koluś

Spora, wesoła dziewczucha z błyszczącymi w uśmiechu, jak śnieg (pomyślał Michaś) zębami, pocałowała matkę w rękę. Mamusia cofnęła rękę z zażenowaniem.

„A to ciocia Józia;” podpowiadał Koluś.

Pan Borucki chciał pomóc matce zejść z wozu, ale ona wsunęła mu Dadźka do rąk i, śmiejąc się, zeskoczyła sama. P. Borucki zrobił czegoś kwaśną minę i dostał od żony klapsa „po łapie.” Rzeczy przeniesiono do izby, dużej, niskiej, o szerokich ławach-tapczanach z drzewa, wzdłuż ścian pobielanych. W kącie wisiało kilka obrazków z Matką Boską i świętymi, przed obrazkami migała czerwony płomyk wiecznej lampki. Drugi kąt zajmował ogromny piec z zapiekiem, gdzie sypia się w zimie, jak twierdził Koluś.

Wszystko tu dziwiło i zachwycało Michasia. Chciał od razu zobaczyć, jak wygląda cała zagroda, ale było już późno i dzieciom, mimo ich protestów, kazano iść zaraz spać. Pocieszało tylko chłopców, że spać będą na podłodze pod ścianą, a podłoga jest z gliny mocno jubitej i pomalowanej na żółto — pycha! Michaś nigdy jeszcze nie widział takiej podłogi.

Korzystając z odwrócenia uwagi starszych, chłopcy urządzili w jednej chwili batalję zawziętą poduszkami.

„I ja chcę bawić się z wami!” pisnęła cienkim głosikiem Anka, siostra Kolutia.

„Nam beks nie potrzeba. Wynoś się, Anka, zaraz!”

„U-u-u... Daj mi także poduszkę...”

„Ustąp, Anko, bo tak cię zbiję! Nie przeszkadzaj.”

„A ja mamie powiem. Ma...”

„Chciałaś dostać poduszkę? Ot i masz poduszkę!" zanosił się Koluś od śmiechu.

Jak zwykle dziewczynki, Anka narobiła okropnego lamentu. Starsi rozdzielili pomiędzy chłopców kilka szturchańców i zapędzili ich do łóżka. Koluś zaczął opowiadać, jak oni się jutro będą ślicznie bawili i w trakcie opowiadania zasnął. Niepostrzeżenie usnął i Michaś.

XVII.

Obaj zerwali się wczesnym rankiem. Pani Borucka z babunią krzątały się koło kuchni, matka karmi'a pierśią Dadźka. Chłopcom pozwolono wyjść na podwórze boso. Nie odrazu Michaś posiadał tę sztukę. Po trawie łąb w cieniu chodzić boso jest bardzo przyjemnie, trzeba tylko uważać na pokrzywy i pieńki po ściętych łądogach bodiaków; ale po piasku, rozgrzanym w słońcu, musi się 'ecieć na palcach i dużymi skokami, inaczej można sobie strasznie sparzyć stopy... I wogóle z początku człowiek boso czuje się jakiś niepewny, skrępowany. Wkrótce jednak uczucie to znikło zupełnie i Michaś nie bał się nawet przelecieć boso po świeżo skoszonym trawniku.

Koluś w roli przewodnika zaczął oprowadzać Michasia po całym gospodarstwie. Podwórko było małe. Z dwu stron otaczały je ogrody owocowe, z trzeciej ogród warzywny i spłacheć pola uprawnego, z czwartej była ulica.

Grządki z jarzynami, które Koluś umiał wszystkie nazwać, przylegały waz z parcelką kiściastego owsa do wielkiej stodoły, tymczasem próżnej. Przed stodołą rozsiadła się sterta ściemniała słomy wymóconej. Tuż obok za opłotkiem były stajnie. Koło stajni ciocia Józia doiała krowę. Mleko cienkimi strugami ciurkało do skopca z li-

powego drzewa. Krowa wzdychała hałaśliwie, odpędzając się od much ogonem. Muchy okropnie jej dokuczały. Krowa uderzyła parę razy racicami w ziemię i ruszyła naprzód.

„Stój, Mańka,” zawołała ciocia Józia i plasnęła ją dłonią po grzbiecie.

„Dzień dobry, ciociu Józiu,” pozdrowił ją grzecznie Michaś.

„Dzień dobry. Cóż, jak się spało?”

Ciocia Józia liczyła trzynaście lat, mówiła grubym głosem i całą twarz miała w piegach. Wesołość i zacne serce patrzyły jej z oczu. — Zaczepnęła kubeczek cynowy mleka i podała chłopcu. Mleko było ciepłe, aromatyczne, trochę spienione. Smakowało mu ogromnie. Podziękował. Ciocia Józia nalała drugi kubeczek dla Kulusia, a Michasia poklepała po policzku. Chłopak zdziwił się tej poufałości, przez grzeczność wszakże nic nie powiedział. Dziewczyna skończyła doić, kazała im zaczekać i odniosła mleko do chaty.

Wróciwszy, pokazała chłopcom obory owiec i krów. Ale najwięcej podobały im się trzy tęgie gniadosze, które na widok cioci Józii grzebały kopytami ziemię i wyciągały czarne, wilgotne chrapy, węsząc kromkę chleba w jej dłoni. Ciocia Józia bawiła się ich niecierpliwością, podsuwała, to znów cofała kromkę i śmiała się wraz z chłopcami.

„Trzodę gonią!” klasnęła w ręce i, rzuciwszy chleb koniom, pobiegła otworzyć stajnię z owcami. Chłopcy wyszli pośpiesznie na podwórze.

Pochód otwierała lekka kawalerja wieprzków, z kwikiem galopująca przez ulicę; poważne maciory szły ciężkim truchtem, pochrzäkując i urywając po drodze, co się zdarzy, z pod parkanów i bram niedomkniętych; za nierogacizną biegły rzesze szarych¹ czarnych owiec, pobekując żałośnie i wzbijając chmurę kurzu nieprzebitą; wkońcu z postękiwaniem i rykiem kroczyło stado wołów i krów pod dozorem starszego pastucha. Ryk bydła, bek owiec, nawoływania pasterzy i trzaskanie biczów, tupot licznych racic i kopyt i ujadanie zawzięte psów owczarskich — wszystko to zlewało się w ogromną, różnogłosą wrzawę, napełniającą całą wieś.

Po wypędzeniu swego bydła ciocia Józia wsiadła z płotu na gniadosza po męsku i pojechała galopem poić konie do stawu. Michaś patrzył wślad za nią z zazdrością i podziwem niekłamany.

„Zuch ciocia, co?”

„Zuch,” przyzna; bez namysłu. „I jabym chciał tak jeździć; tylko koń może zrzucić...”

„Oho! jeszcze jak! Chodźmy do ogrodu, Michasiu. Babunia pozwoliła nam rwać wiśnie z drzew, ile nam się będzie podobało. Widzisz, jaka dobra jest moja babunia.”

„Pewno, że dobra.”

I obaj na wyścigi popędzili do ogrodu.

Dnie płynęły jeden po drugim, słoneczne, radosne, podobne do siebie, jak fale tej samej jasnej rzeki o nurcie potężnym.

Od wczesnego ranka chłopcy bawili się na podwórku lub w próżnej stodole lub też wysiadali na drzewach wiśniowych. Wiśni było kilkadziesiąt, różnego gatunku, i jedne zaczynały dopiero dojrzewać, gdy drugie już się kończyły, zajęcia chłopakom nigdy nie brakło.

Pewnego razu Koluś wykopał na podwórzu czaszkę z oczodołami pustymi i z dużymi kłami w szczęce.

„To może ludzka,” wyszeptał z lękiem Michaś.

Obaj, stojąc nad jamą, w której leżała czaszka, przyglądali się jej w trwożnym skupieniu.

„Aba! Już wiem!” wykrzyknął Koluś. „To jest czaszka wilka, którego dziadunio kiedyś zastrzelił. Wilk był duży, jak wół, biegł do dziadunia i chciał go zagryźć. A dziadunio do niego bac! ze strzelby. Ten aż się wyrócił. Twój dziadunio nie ma strzelby, aha!”

„Mój dziadunio,” odparł Michaś z pogardą, „ma dziesięć takich strzelb, jak twój. A dlaczego twój dziadunio zakopał tu wilka?”

Tego Koluś nie umiał wytłómaczyć. Obaj gubili się w domysłach, gdy wtem Anka, zajrzawszy ukradkiem przez ich plecy, krzyknęła: „Poczekajcie, powiem dziaduniowi! Będzie wam za to!”

Koluś skoczył za nią, lecz Anka już z wrzaskiem i śmiechem złośliwym przypadła do dziadunia, który właśnie przechodził: „Dziaduniu, proszę ich ukarać; oni robią jamy na podwórzu i jakąś kość wykopali.”

Anka ukryła się za plecami dziadunia i pokazała język bratu, który pogroził jej pięścią za tyle przewrotności.

„Nikt się ciebie, Anka, nie pyta. Coś taka wścibska? Pokażcie, chłopcy, co tam macie.”

„To, proszę pana, wilcza szczęka,” uprzejmie odpowiedział Michaś, podając mu przedmiot sporu.

Dziadunio wziął „kość” do ręki, przypatrzył się jej z pod brwi krzaczastych i orzekł, że czaszka jest końska, nie wilcza. W ten sposób przypuszczenia Koluś upadły.

„Wiesz, Koluś, to pewnie wilki dogoniły tu konia i rozszarpały. Dlategośmy tylko czaszkę znaleźli.”

Rzecz na tem utknęła.

Po obiedzie matka z Dadźkiem i panią Borucką siadywały w ogrodzie i szyły, gawędząc. Wieczorem starsi pili wraz z dziećmi herbatę na świeżem powietrzu. Pan Borucki lubił sobie żartować z mamusi, to tego, to owego. Mama odcinała się, śmiała, czasem i wachlarzem uderzyła „po łapie”, gły się zanadto rozdokazywał. Skarcenie to wywoływało głośną wesołość wśród dzieci. Tylko pani Borucka wymawiała coś później mężowi, Michaś przypadkiem to posłyszał — że on „kokietuje” mamusię.

Zaintrygowany chłopak zapytał podczas herbaty, co to znaczy „kokietować?” Czy to znaczy uderzyć kogoś po ręce, jak mamusia pana Boruckiego?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, ale Michasia, ku najgłębszemu jego oburzeniu, wyprawiono natychmiast od stołu.

Którejś soboty dziadunio wybierał się do miasteczka. Koluś uprosił, żeby ich też wzięto, przynajmniej do stawu; on drogę zna doskonale i stamtąd wrócą sami piechotą do domu.

„Czy nie mógłbym powozić trochę?" odezwał się Michaś.

„Masz, chłopcze. A dobrze trzymaj!" rzekł dziadunio z uśmiechem.

Michaś odetchnął głęboko ze wzruszenia i ściągnął lejce z całej siły. Konie poszły kłusem, zadzierając łby do góry.

„Więcej w prawo," wołał dziadunio.

Chłopak szarpnął wodze w prawo. Konie skrzyły nabok do płotu.

„W lewo, prędzej!"

Michaś, zupełnie strapiiony, szarpnął jeszcze energiczniej w lewo. Konie znowu skrzyły prawie pod prostym kątem i wóz wjechał dwoma kołami na płot, łamiąc parę wiązadeł.

„Et! nie potrafisz," mruknął dziadunio i odebrał lejce. „Teraz twoja kolej, Koluś. Naucz go, jak trzeba powozić."

Koluś poprawił się dumnie na siedzeniu, krzyknął solidnie — wio! na konie i znakomicie kierował.

„A ty nie umiesz, widzisz," odwrócił się do kompana.

Chłopak, nie bez zmartwienia, musiał przyznać Koluśowi wyższość.

Po odjeździe dziadimioobaj zostali, aby patrzeć zgrobli, jak wiejscy chłopcy pławia konie w jamach, koło młyna. Nadzy zupełnie, rozpędzali konie z brzegu i puszczali je wpław; na głębszych miejscach zsuwali się sami do wody i płynęli obok, przytrzymując się grzywy. Konie dużymi, wystraszonemi oczami boczyły się na ziemię

i chrapały; poczuwszy grunt pod kopytami, wydostawały się szybko na brzeg i, parskając i otrząsając się mokrymi, lśniącymi w słońcu bokami, gnały galopem pod górę. Zwinni chłopcy wskakiwali w jednym mgnieniu na swych wierzchowców i zawracali do stawu, by rozpocząć zabawę na nowo.

Woda pod parciem wpadających ciał końskich i ludzkich burzyła się i tryskała w fontannach brylantowych do góry. Wybuchy śmiechu i okrzyki zuchowate parobków mieszały się z piskiem radosnym dziatwy i rżeniem koni. Grobla wrzała rozgwarem ciżby wesołej i rozba-wionej.

„Niema to, jak na wsi!” myślał Michaś. „Gdybym był duży, codzień jeździłbym wierzchem i pławił konie w stawie; to musi być strasznie przyjemne.”

Wróciwszy, chłopcy zastali w chacie jakąś babę z dzieckiem na ręku. Baba przyszła poprosić o lekarstwo na febrę, ponieważ słyszała, że są panie z miasta, a one zawsze chorują i umieją się leczyć. Matka dała jej chininy, obejrzała dziecko, kazała przewijać je częściej i lepiej karmić, gdyż jest anemiczne. Baba odeszła, błogosławiąc słodką paniusię.

„Ze też pani się chce z brudnymi babami zadawać,” dziwiła się pani Borucka. „Jabym na pani miejscu odprawiła ją z kwitkiem. Mają przecież ziemską aptekę, lekarzy, ale gdzież tam! Oni zawsze, żeby tylko kogoś wyzyskać, żeby bodaj chininy dostać zadarmo.”

„Co tam”, protestowała matka, „mnie nie ubędzie, a to widać bardzo biedna kobieta.”

Michaś był zadowolony. Jego mamusia jest lepsza od pani Boruckiej.

„Eh, moja pani,” wtrąciła nie bez ironji babunia. „Ta biedna kobieta ma trzy krowy i siedem dziesięcin dobrej ziemi, ma męża pracowitego i jedno jedyne dziecko...”

Matka wyraźnie zmartwiła się. „Wszystko jedno. Myślałam, że jest uboga. Nie mówmy o tem.”

Michaś poczuł urazę zarówno do baby, co mamę oszukała, jak i do tej babuni, co z niej -pokpiwała jeszcze.

W niedzielę chłopców ubierano w czyste, odświeżone szatki, wkładano im nie bez oporu buciki, od których zdążyli się już odzwyczaić i wszyscy gromadnie wyruszyli do kościoła.

W wiejskim kościele było. o wiele ciekawiej, niż w miejskim. Naokoło obmurowania rosły stare, wysokie lipy. Na dziedzińcu, pokrytym kwiatami i trawą, wznosiły się tu i ówdzie grobowce, leżały płyty kamienne ze starożytnymi napisami, na pół zatartymi. W kościele i dokoła kościoła aż się* roiło od twarzy opalonych, rumianych, od białych koszul, kraśnych chust i spódnic kolorowych. Modlono się z przejęciem, bijąc się mocno w piersi, wzdychano ze skruchy, jak miechy kowalskie.

Ksiądz, tęgi i czerstwy jeszcze starzec, podobał się Michasiowi. Kazania mówił na pół po polsku, na pół po rusku. Objasniał teksty z ewangelji przykładami, wziętymi

z życia parafjan; czasem z ambony gromił grzeszników, obecnych w kościele. Pewnej niedzieli miał kazanie z powodu nauki katechizmu.

„Zamiast posyłać dzieci do kościoła, rodzice niektórzy posyłają je paść świnie. Niech nozemrą! Przyjdą do św. Piotra: puść święty Piotrze do raj. A św. Piotr kluczymi po karku, po karku: idźcież paść teraz świnie czartowskie do piekła! Tak będzie z rodzicami, co o duszę dziecka nie dbają.”

Michał trochę podzielał trwogę obecnych, lecz i śmiał się równocześnie, widząc, że i mamusia z trudnością tłumi śmiech chusteczką.

„To — to wykręcało się od nauki,” grzmiał ksiądz dalej, „nie chodziło na katechizm. Aż i urosło, jak jałowica, że i nie dźwigniesz, choćbyś był tęgi chłop.”

Teraz parobcy śmiali się w kułak.

„Później przychodzi: księżę dobrodzieju, ja chcę zamaż. Przyszła moja pora... Do katechizmu? Ani mru-mru. To tak? To przyszła ci pora na sakrament? A nawet, co jest sakrament, nie wiesz? — A zasię! Gzić ci się zachciało, właśnie! Powiadam wam, a w szczególności Marji Piętakowskiej, że dopóki mi katechizmu nie zda, nie pożenię! choćby mi po nogach łąziła z ochoty.”

Śmiano się tu i ówdzie, oglądając się na dziewczynę nieszczęsną, której, wraz ze łzami, co ciurkiem płynęły, zdawało się, krew ze wstydu tryśnie z policzków.

„A wy czego gęby rozdziawiacie?” zwracał się ksiądz do gromadki dorosłych chłopaków. „Ciekawym, czy bardzo się będziecie śmiali, jak djabeł was zacznie podpra-

żać w piekle za wasze bezceństwa? ...Tak, dzieci moje kochane, módlcie się i proście Boga, aby poświęcił wasze uparte łby, na które od lat oto trzydziestu proszę zmiłowania pańskiego. Amen."

Zresztą niedziele były okropnie nudne. Starsi siedzieli w domu i, nie mając nic do roboty, ustawicznie molestowali chłopców różnymi morałami.

Chłopcy bawili się z Anką na podwórzu. Słońce paliło i Koluś zaproponował przejść do ogrodu. Wtem — na stodołę...

„Patrzcie, co to za ptak? "zawołał Michaś w nadzwyczajnem zdumieniu.

Na kole od wozu, które niewiadomo w jakim celu umieszczono na dachu stodoły, stał duży, biały ptak o długiej i cienkiej szyi i ostrym dziobie, włożonym pod skrzydło. Ptak widocznie drzemał.

„Co to jest? Jak on się nazywa?" wołał chłopiec zgorączkowany. I nagle, olśniony odkryciem, dodał: „Już wiem!"

„No, mów", naglił Koluś.

Anka z buzią otwartą gapiła się raz na Michasia, raz na tajemniczego ptaka.

Michaś spojrział pobłaźliwie na towarzyszy i wyrecytował jednym tchem, z palcem wskazującym, uroczyście do góry wzniesionym: „To jest struś. ^]truś — to taki ptak, co biega, jak koń i mieszka na pustyni. Jest biały, jak śnieg i znosi jaja takie, jak twoja głowa, Kolesiu".

„Co ty mówisz? Nie może być!" osłupiał chłopak.
„Skąd-że on się wziął tutaj? No i ten ptak jest mniejszy od konia."

„Bo to mały siruś, on jeszcze nie wyrósł," z namaszczaniem objaśniał Michaś.

„A ty skąd wiesz?"

„Czytałem w książce. Aha! Czytałem, że struś ma jedną nogę; widzisz — ten także ma jedną nogę."

Ptak drzemał istotnie na jednej nodze. Trafność spostrzeżenia uderzyła Koluś.

„Struś, rzeczywiście. Z pustyni przyleciał! A wiesz, może on zniesie tu jajko. Trzeba cioci Józi powiedzieć."

Malcy, jak wicher, popędzili do ogrodu, gdzie dziewczyna peła jarzyny. Anka toczyła się za nimi z piskiem: „I ja chcę z wami! i ja chcę jajko zobaczyć."

„Ciociu Józiu, ciociu Józiu!" wrzasnęli chórem.

„Jezus Marja! co się stało?" zerwała się przerażona.

„Proszę patrzeć"... zaczął Michaś.

„Struś siedzi na stodołę," skończył Koluś.

„I zaraz zniesie jajko, jak moja głowa..." pisnęła Anka z przekonaniem.

Dziewczyna patrzyła oszołomiona na chłopców, na stodołę i nic nie mogła zrozumieć.

„Naprawdę. Michaś w książce czytał."

„Naprawdę, Michaś czytał w książce."

„Tak, proszę pani," potwierdził chłopiec z powagą.

„Jakie jajko? jaki struś?... Co wy gadacie?"

„No, nie widzi ciocia?" — pokazywali z niecierpliwością. „O! na jednej nodze stoi. Tam na kole."

Przez kilka chwil dziewczyna się wahała, tyle siły przekonania brzmiało w głosie chłopaków.

„No, widzę. Gdzież jest ten struś?... to bocian.*'

„Ależ nie! tamten! z jedną nogą."

Ciocia Józia się zirytowała. „Tfy! wrzasku narobili, myślałam, że u nas się pali. Bociana nie widziałam! To bocian i ma dwie nogi, nie jedną."

Klasnęła w dłonie, huknęła. „Struś", rozbudzony z drzemki południowej, wyciągnął szyję, opuścił drugą nogę i wyprostował szerokie skrzydła, gotowy do odlotu na pierwszy alarm.

Chłopcy wracali nieco zdetonowani.

„Et, Michaś, — nagadałeś, że to struś, bo ma jedną nogę, a to bocian;" mówił z wyrzutem Koluś.

„Struś prawdziwy ma jedną nogę, ale to inny gatunek strusi. Już wiem: struś, kiedy ma dwie nogi, nazywa się bocian" rozstrzygnął Michaś swe wątpliwości.

„A tak — to co innego!" przystał Koluś z powagą.

Michaś upatrzył sobie w ogrodzie przepyszne drzewko wiśniowe, obsypane rześściami ogromnym, czarnym owocem. Miało tę odrębność, że pień jego rósł w jednym kierunku, gdy konar główny skręcał na pewnej wysokości pod prostym kątem we wręcz przeciwną stronę.

Michaś już był się wdrapał na konar i objął tem samem drzewko w swe posiadanie, gdy wtem zawołano na wieczere. Zazdrosny Koluś oznajmił, że drzewko tylko przez jeden dzień należy do tego, kto wlaźł na nie pierwszy.

Czyli, że jutro ten będzie rwał czarne wiśnie, kto wcześniej wstanie.

Obawa, żeby Koluś go nie wyprzedził, trapiła Michasia przez całą noc; co chwila budził się, zrywał. A jednak, otwierając oczy o świcie, ujrzał właśnie zdrajcę Kolutia, wymykającego się z izby bez ubrania, w samej koszulce. Michaś skoczył za nim bez namysłu.

Koluś biegł, wołając: „A ja pierwszy wleżę, aha! Moje będzie drzewko na dziś!”

Michaś pędził, jak strzała. Niestety, zapóźno! Rozżalony i zły, stał pod wiśnią.

Koluś z naigrawaniem wspinał się wyżej i wyżej, aż sięgnął konaru, gdzie tenże wykręcał się w bok.... Nagle poślizgnął się i z wielkim krzykiem runął w pokrzywy, krzewiace się bujnie pod wiśnią. Pośpiech zdradziecki i brak dolnego ubrania pomściły się srodze. Szedł ku domowi z płaczem, trzymając się za miejsca obrażone, gdy Michaś, jakkolwiek ubolewając nad losem towarzysza, wdrapywał się, nie bez tryumfu, na niebezpieczną wiśnię.

Wieczorem przyjechał ojciec niespodzianie. Oprócz tęsknoty za kochaną swą dziatwą, przyśpieszył, jak się pokazało, swój przyjazd z powodu listu mamusi. W liście była mowa o jakichś interesach pieniężnych, o kłopotach, o tem, że matka nie chce nadużywać gościnności państwa Boruckich. Słowem nic ciekawego. A jednak w dwa dni później ojciec kazał się zbierać i wyjechano z powrotem.

Michasiowi do łez było żal wioski, Kolutia, swobody. Z głuchą rozpaczą myślał o dusznych pokoikach i brud-

nych podwórkach miejskich. Pytał, czemu nie zamieszkać na wsi, gdzie życie tysiąc razy jest przyjemniejsze.

„Bo w mieście więcej zarobić można pieniędzy,” odparł smutnie ojciec.

I tutaj, jak wszędzie, pieniądze były przyczyną złościwą, decydującą.

„Kto te pieniądze wymyślił!” mruzczał z pasją Michaś.

XVII.

Wprost z dworca przyjechano na nowe mieszkanie. Składało się z dwóch pokoiów z kuchenką na pierwszym piętrze. Ojciec z dumą oprowadzał matkę po „naszych apartamentach”, jak się żartem wyraził. Zaletą kuchni było p siadanie płyty przy piecu, kotła do gotowania bielizny, nadewszystko zaś był wodociąg ze zlewem.

Mamusia cieszyła się i dziękowała ojcu, który przytulił ją do piersi... „Tak już za wami tęskniłem...” Podniósł Michasia na ramiona i ucałował w oba policzki. Malec oddał mu pocałowanie i delikatnie wyswobodził się z uścisku. Spieszno mu było zapoznać się bliżej z dziedzincem i z dziećmi, z którymi będzie się bawił.

Dziedziniec był niezbyt szeroki, lecz rozległy, ze sporą ilością różnych kątów i zakamarków dokoła długiej, kapryśnie zbudowanej oficyny, wychodzącej na duży, owocowy ogród. Ogród odnajmowano na lato, bawić się w nim było wolno tylko do połowy czerwca, nim zaczęły dojrzewać gruszki.

Po wolności złotej i rozkosznych wiejskich zabawach nad stawem, w lesie, w ogródkach wiśni-

wych, miejski dziedziniec, zakurzony, z rynsztokiem pośrodku i ze zgrają krzykliwą i natrętną dziatwy na pół ulicznej... Przejście było stanowczo za ostre. Chłopak błąkał się po podwórzu, próbował bawić się z dziećmi i mocno się nudził.

Matka postanowiła zaradzić jego utrapieniom na swój sposób. Zaczęła mianowicie dawać mu codzień lekcje francuskiego. Lekcje miały głównie ten skutek niespodziewany, że Michaś nabrał gustu do dziedzińca. Odbywały się bowiem zwykle, jak następuje.

ty „Język francuski jest bardzo pożyteczny. Rozumiesz, Michasiu?”

„Rozumiem”, wzruszał ramionami; „co tu jest wogóle do rozumienia? Ci starsi lubią wiecznie powtarzać to, o czym wszystkie wróble na dachu ćwierkają oddawna.”

„Słuchaj—że teraz. Będę ci mówiła po francusku słowa i ich znaczenie, a ty uważaj. Le jardin—ogród; la poire — gruszka. Powtórz. Jak po francusku gruszka ?”

„A mama tylko co powiedziała.”

„No, ale jak powiedziałam?”

Milczenie.

„La poire!”

„La poire.”

„A ogród?”

. Myśli chłopaka oddawna już uleciały na wieś.

„Michaś!”

Podskoczył na miejscu. „Co? Aha, ogród... zaraz...”

Matka zdecydowała się na użycie bardziej pedagogicznego sposobu.

„Czy la poire — to ogród?”

Michaś wbił bystre oczy w matkę — jest zła, głos ma ostry. Pewno nie.

„Nie,” wypalił.

„Dobrze... A le jardin?”

Głos jej miał jakiś odcień przytakujący, proszący się o przyznanie.

„Tak.”

„No, nareszcie. Widzisz, odrazu zapamiętałeś, jak troszkę uważasz. Wiśnia — la cerise; wieś — la campagne... No, a teraz powtórzmy dla pewności. — Le jardin?”

„Le jardin” — z powagą rzekł chłopak.

„Ja cię pytam, co to znaczy?”

„A czyż mama nie wie?”

„Niech to cię nie obchodzi”, zniecierpliwiła się matka. Wyobraź sobie, że nie wiem.”

„No to jakże ja mogę wiedzieć, jeśli mama nie wie?”

„Tylko nie gadaj! Co znaczy: le jardin? Mów zaraz!”

„Gruszka,” odpowiedział z wahaniem.

Błysk przeleciał w przymrużonych źrenicach matki.

„A la poire?” pytała z podstępłą słodyczą.

„Ogród”, wygłosił z dobrą wiarą Michaś.

„Tak! Pięknie. Masz za la poire, a to za le jardin!”

I dwa tęgie razy „po łapach” klasnęły w pokój. „Ja cię nauczę drwić z matki.”

„Ja nie drwię!” protestował Michaś ze łzami.

„To nie słuchasz, jak ci mówię”.

I lekcja rozpoczynała się na nowo, z determinacją rozpaczliwą ze strony matki i z ponurą apatią biernego oporu ze strony malca.

— I po co mi ten język przeklęty? Mówimy w domu po rosyjsku, jestem polak, a mama gwałtem mi każe się uczyć po francusku.

Najlepiej Michaś lubił czytać po rosyjsku. Niestety, brakło mu książek. Pożyczali mu je czasem akademicy, mieszkający w oficynie, ale były to przeważnie książki mniej zajmujące: z dziejów ziemi, popularna botanika, fizyka i zrzadka tylko jakieś opowiadanie.

Z nudów Michaś zaczął częściej robić wycieczki na ulicę. Widział tu parę razy ładnego blondynka puciołowego, w czystym ubranku, w pantofelkach i długich pończochach i w bluzce marynarskiej z białym, wykładanym kołnierzem... Chłopak nosił się codzien, jak na święto. Michasiowi dosyć się podobał. Pewnego dnia zaczepił go:

„Jak się nazywasz?”

„Alfred. A ty?”

„Michaś. Chcesz, będziemy się bawić?”

„Dobrze”.

„Chodź do nas”.

Chłopiec poszedł z Micbasiem, przywitał się grzecznie z matką, i jej też widocznie się podobał. Po kwadransie zaczął się żegnać.

„Muszę iść do domu, bo mama nie wie, gdzie jestem. Przyjdź do nas jutro. Mieszkamy o dwa domy wyżej”.

Michaś spojrzał prosząco na matkę. Skinęła na znak zgody.

„Dobrze, przyjdę!” krzyknął uradowany.

Odprowadził gościa do bramy.

„Tu u was brudno”, rzekł Alfred solidnie, „można sobie powalać ubranie. U nas trawa rośnie na podwórzu i jest czysto; stróż Maksym pilnuje, żeby był porządek. Mama mu często daje na piwo, bo my jesteśmy bogaci. Ja mam dużo zabawek, zobaczysz. Do widzenia”, i podał mu rękę, jako starszy.

Następnego dnia Michaś wystrojony oddał wizytę.

Matka Alfreda, otyła różowa dama, z małym pieskiem na grubych kolanach, przyjęła chłopca uprzejmie i kazała podać kawę z ciastkami. Później Alfred pokazał mu, nie bez pychy, moc wspaniałych zabawek, jakich Michaś nigdy nie widział. Pragnąc mu zaimponować, gospodarz zaprowadził go do szafki z książkami w ślicznych oprawach, czerwonych i błękitnych, suto pozłocanych. Michasiowi oczy rozgorzały na widok tylu pięknych książek.

„I tyś wszystkie przeczytał!”

„Nie jeszcze. Tatuś mi je podarował, żebym się nauczył dobrze czytać. Bo wiesz, ja już troszkę czytam; pokazać ci, Michasiu? Ty pewno nie umiesz jeszcze?”

„Owszem, umiem.”

„Ta-ak?” z grzecznym powątpiewaniem przeciągnął blondynek. „To dziwne. Tata nam powiedział, że rosjanie są ciemnym narodem i rzadko kiedy umieją czytać,”

„A twój tata kto?”

„Mój tata jest Niemiec; zajmuje posadę dyrektora fabryki i zarabia bardzo dużo pieniędzy.”

„A mój tata jest Polak. Polacy doskonale umieją czytać, jeszcze jak!”

Alfred sięgnął po grubą książkę z ładnymi obrazkami i, sylabizując z trudem, odczytał tytuł: Przy-gody Ro-bin-so-na Kru-so-e. Wiesz”, dodał chełpliwie, „czytanie to nie łatwa sztuka. Wujaszek mówi, że ja bardzo dobrze czytam, jak na mój wiek. Bo ja dopiero za trzy miesiące będę miał siedem lat”.

„A ja niedawno skończyłem sześć lat. Słuchaj, Alfred. Ty masz masę książek. Pożycz mi Robinsona.”

„A czy ty potrafisz go czytać?”

Michał porwał książkę i wcale gładko odczytał parę wierszy, zatrzymując się zlekka tylko na trudnych wyrazach cudzoziemskich. Alfredowi to zaimponowało; stracił od razu ton protekcyjny, z jakim dotąd przemawiał.

„Ty lepiej odemnie czytasz. Pożyczyłbym ci Robinsona, ale boję się, że mi narobisz plam na stronicach i mama będzie się gniewała.”

„Nie zrobię plam, Alfredzie. Zawsze przedtem stół wytrę i ręce umyję. Zobaczysz, książka będzie czyściuteńka.”

„No dobrze. Tylko pamiętaj; bo to jest nowa książka i kosztowała siedem rubli. Widzisz — ma kolorowe obrazki i oprawę złotą. Najlepiej, jeżeli się ją owinie w gruby, mocny papier. Ojciec kazał mi zawsze tak robić.”

Alfred przyniósł spory arkusz niebieskiej bibułki i zawinął książkę starannie.

„A teraz chodźmy się bawić w kręgle.”

Michaś polubił nowego znajomego. Cokolwiek tylko czuł się skrępowany tym porządkiem nadzwyczajnym, jaki panował w domu Alfreda. Każda rzecz miała swe miejsce uświęcone. Nawet zabawek nie wolno było porzucać na stole, ponieważ mamusia by się gniewała, że nie są poskładane jak należy, a tatuś zawsze mówi, że porządek, to jest grunt we wszystkim. Alfred był wogóle, zdaniem Michasia, za solidny, za powolny i za sztywny. Bał się biegać szybko, żeby się nie zmęczyć bardzo, bo można zachorować; bał się łązić po drzewach, żeby nie podrzeć ubrania, które kosztowało tyle a tyle. Dopiero Michaś rozruszał go i ożywił. Zresztą był to niezły chłopak, lubił Michasia i chętnie pożyczał mu książek ze swej biblioteki.

Lipiec dobiegał końca. Nieraz już Michaś zaglądał łąkowie przez szpary w parkanie ogrodu. Wspaniałe gruszki i jabłka zwisały girlandami z drzew, uginających się pod słodkim ich ciężarem. Pewnego razu spostrzegł Wańkę, syna praczki, w chwili, gdy przelaził przez płot z zapasem gruszek w kieszeniach.

„Jak ci nie wstyd kraść, Wańka!” obruszył się Michaś.

Wańka się nastraszył. „Masz, Michaś, dwie gruszki, tylko nie mów nikomu.”

„Nie chcę gruszek kradzionych,” odparł twardo, choć oczy mu się śmiały do smukłych, rumianych „panien”.

„Nie chcesz, to **Die** trzeba; dla mnie więcej zostanie. **Ja**

wcale nie kradłem. Czyż to gospodarzy? Samo sobie wyrosło. Bóg dla wszystkich posadził jabłonie i grusze, a bogaci dla siebie zabrali. Gruszki są boże, niczyje!.. A jeżeli komu choć słówko piśniesz, zbiję cię na kwaśne jabłko!" odgrażał się Wańka, znany w całym dziedzińcu ze swej odwagi i siły.

Michaś odszedł w zamyślenia. Rzeczywiście. Grusze i jabłonie same rosły z ziemi. Pan Bóg je stworzył dla ludzi. Dlaczego bogaci zabierają sobie wszystko, a biednym nic nie chcą dać? I cóż to byłby za grzech, gdyby wziął sobie parę gruszek? Dla gospodyni i tak zostałyby dużo. Marynka, jej pokojówka, zbiera codziennie cały koszyczek i sama ciągle je przy tym...

Przyszedłszy w parę dni później do Alfreda, zastał go pochłoniętego czynnością, nie byle jaką. Oto zapomocą długiej żerdzi z kółeczkiem na końcu, strącał gruszki z gałęzi, przechylającej się na podwórzu z sąsiedniego ogrodu. Alfred uśmiechnął się na widok zdumienia Michasia.

„Weź tyczkę i narwij sobie gruszek."

„Kiedy to cudze!"

„Co tam cudze! Rwij, nikt nie zobaczy. Mama poszła do znajomych."

Po krótkim oporze uległ pokusie. Jedna i druga gruszka spadła. Topniały, rozpływały się w ustach, jak miód.

„Żebyś widział, ile gruszek jest w waszym ogrodzie! Tam dopiero można się obłowić!" oblizywał się Alfred z lubością.

„E' tam się nie dostaniesz.”

„A właśnie, że się dostanę. Trzeba tylko przez naszą drewnutnię przeleźć na dach szopy, co stoi obok w waszym ogrodzie. Stamtąd — rwij, ile chcesz. Chodź, pokażę ci.”

W istocie plan był zupełnie wykonalny. Chłopcy parzyli łąkowie z drewnutni na gałęzie gruszek, spoczywające na szapie lub zwisające tuż nad nią.

„Co wy tam robicie?” zabrzmiał głos matki Alfreda.

„Nic, mamusiu”, odparł tamten pośpiesznie, podczas gdy Michaś cały się zarumienił. „Szukaliśmy piłki, co upadła na drewnutnię... A co, zgrabnie wymyśliłem?” i mrugnął chytrze do Michasia po oddaleniu się matki.

„No tak, ale kłamać jest bardzo źle.”

„Mądryś! Chciałbyś może, żebym powiedział mamie prawdę? Przez tydzieńby mnie nie wypuściła na podwórze. Przyjdź jutro: narwiemy gruszek. Takie są smaczne!” i cmoknął rozkosznie wargami.

Następnego dnia Michaś przyszedł, zdecydowany nie brać udziału w wyprawie. Alfred jednak tak drwił z jego skrupułów i tak zachęcał, że wszystkie wahania chłopca prysły i objął nawet rolę przodowniczą.

Obaj wdrapali się przez drewnutnię na szopę. Alfred zresztą roztropnie został z tyłu, gestami i szeptem wskazując, w którym miejscu gruszek jest najwięcej. Michaś zrywał je do kieszeni lub dawał towarzyszowi. Połów był obfity. Całe girlandy panien złocistych z skromnym rumieńcem prosiły się same do ust. Chłopcy w zapale zapomnieli o wszelkiej ostrożności.

„Patrz naprawo: ta długa gałąź! nachyl ją. Czyż nie widzisz?”

„O, jakie chytre!... Schowały się pod liśćmi. Jest aż pięć!”

„I jakie śliczne. Czekaj, nie uciekniesz mi kochaneczko I” wykrzykiwali ze śmiechem chłopcy rozochoceni.

„Ładnie! W głowę zachodzę, kto mi tu gruszki wykrada, a to Michaś! Ładnie! Poczekaj-no, powiem mamie,” zaśpiewał falset zjadliwy z dołu.

Michaś puścił gałązkę, którą właśnie przyciągnął do siebie i osłupiał. Obok szopy na dole stała z głową, zardartą do góry, Marynka, zaufana pokojówka gospodyni. W jednym okamgnieniu obaj przesadzili ścianę drewnutni i spoceni, z sercem bijącym, uciekli do pokoju.

„To dlatego, że tyś mnie namówił, Alfredzie. Co będzie, jeżeli ona powie mamie?”

„A pociś sam łaził? Nie trzeba było krzyżeć: patrz, jaka gruszka! Nie byliby nas dostrzegli.”⁴

Siedzieli nadąsani, nie ruszając zabawek. Michaś nie mógł wytrzymać dłużej.

„Pożycz mi bajki braci Grimmów i pójdę sobie.”

Alfred zawiął książkę w czysty papier i wręczył ją Michasiowi. Chłopak pobiegł do domu. Niepokój, co to będzie, trapił go wraz z obawą, na nowo rozbudzoną, czy jednak nie postąpił źle, zrywając cudze gruszki, choć i boże, ale bez zapytania.

Od pierwszego spojrzenia na matkę poznał, że o niczem ni« wie. Pewno Marynka tylko pogroziła, żeby go

nastraszyć... Matka się zdziwiła, wrócił wcześniej, na dwie godziny przed terminem.

„Czemuś tak prędko wrócił, synu?”

„Nie chciało mi się bawić.”

„Dlaczego?”

„Bo się z Alfredem pokłóciłem,” improwizował, unikając wzroku badawczego matki.

„A co to za książkę masz w ręku?”

„To, mamusiu, od niego pożyczyłem.”

„Cóż znowu! Nie wstydzisz się? Pokłócić się z kimś i jeszcze od niego książki pożyczać? Odniesiesz mu jutro.”

„Dobrze, mamusiu.”

„A teraz możesz iść na podwórze.”

„Dziękuję, nie chce mi się, mamusiu.”

Michaś odszedł cichutko i usiadł poczytać sobie przy oknie. Matkę tknęło niejasne podejrzenie. Coś nadto się skromny zrobił synalek, na podwórze nawet iść nie chce. Czy nie nabroił czasem? Coś w tem być musi.”

„Chodźno tutaj!”

Wzięła go między kolana, obróciła twarzą do siebie i patrząc pilnie mu w oczy, zapytała: „Ty coś ukrywasz przedemną. Powiedz prawdę, Michasiu. Wiesz, że ci daruję, ale mów.”

Na sekundę odruch szczerości i skruchy zapanował mu w duszy, lecz po chwili Michaś wyobraził sobie scenę wyrzutów, płaczii matki i, przywoławszy siłę woli, od-

parł, mrugając szybko z wysiłku powiekami: „Doprawdy nic, mamusiu.”

„Serjo? Oj, synu, lepiej nie kłam!”

„Nie, mamusiu.”

Odszedł z uczuciem wstydu i upokorzenia. Próbował czytać; czytanie nie szło. Przy każdym szmerze wydawało mu się, że idą po schodach, że stukają i zaraz mama się dowie. Wyczekiwał w naprężeniu.

Drgnął. Zapukano. Mama wyszła do przedpokoju. Skrzyp drzwi, głosy. Zapaść się pod ziemię, skryć się, zniknąć... Coś mówią.

Głos matki: „Ależ on siedzi i czyta.”

Znowu mówią. Serce boli tęnym przeszywającym bólem, tętnią skronie.

Głos matki: „Nie może być!”

Głos Marynki: „Kiedy sama widziałam, proszę pani, i Marcin widział.”

Niski bas stróża przytakuje. Matka odpowiada. Tamci się żegnają. Stuk drzwi zamykanych. Kroki matki. Michaś odwraca twarz, garbi się, czeka na razy. Razy nie spadają. Silna dłoń go przyciąga, mocą podważa mu twarz opuszczoną, podnosi do góry i zmusza patrzeć wprost w oczy matki, w ciemne oczy, pełne łez i błysków gniewa.

„Hańba! Kradłeś gruszki u gospodarzy?!”

„Gruszki same rosną, są boże,” mruknął rozpaczliwie.

„Co takiego? Tyś ich nie sadił. Są z cudzego ogrodu. Ukradłeś. W oczy teraz nikomu nie będę śmiała spoj-

rzec. Mój syn złodziej! Tegom się doczekała. Jak mogłeś to zrobić? Boże mój, Boże!"

Matka łkała, Michasia dusiły łzy gorzkie, niewypłakane.

„Mnie Alfred powiedział, żebym narwał gruszek... ja tylko jeden raz... i dał żerdź," z wspomnieniem nienawistnym wyszeptał Michaś.

„To on taki? A czemuś kłamał? Pytałam przecie... czuło moje serce. Czemuś się nie przyznał?"

W głosie matki zadzwoniły nuty prawdziwego już gniewu.

„Mama by mnie wybiła. I wstyd mi było..."

„Aha! Wybiłabym i przebaczyła. Zwłaszcza, gdybyś się nie zapierał. A tyś kłamca bezczelny. Zawsze cię błagam: zrobiłeś źle — popraw się, przyznaj, nie kłam. Najgorszą rzeczą jest łdamtwo. Myślałeś, że unikniesz kary? Kłamtwo zawsze się wyda."

Matka wyszła na chwilę, potem wróciła i pociągnęła gwałtownie malca struchlałego za sobą.

„Marsz na kolana. Będiesz mi klęczał cały dzień w kącie, dopóki ojciec nie przyjdzie. Bezwstydny!"

„Mamo, ja więcej nie będę; nigdy już nie wleżę do cudzego ogrodu."

iv Jak to? on duży chłopak będzie klęczał, jak smarkacz? Hańba, rozpacz! A to wszystko gruszki przekłete zawiniły; nigdy ich jeść więcej nie będzie.

„Mamo!"

Matka była nieubłagana. Pchnęła go z pasją do kąta, przemocą ugięła mu kolana, i syknąwszy: „Straciłam dla ciebie wszelki szacunek!" odeszła.

Żal piekący, wstyd, że kazano mu klęczeć, strach, co zrobi z nim ojciec, gdy wróci, gniew na Alfreda, na którego wspomnienie usta same rzucały wyzwiska urągliwe, zaciekle. Bo to Alfreda wina: to on go namówił.

Z drugiego pokoju doleciały go łkania tłumione. Chciał zerwać się, biec do matki, pocieszać... przypominał sobie jej słowa, że nie jest jej synem więcej, że mu nie wierzy. Został bezradny.

„Nigdy już nie będę kłamał, lepiej niech mnie wybiją!” — przysięgał sobie w duchu. Matka łkała cichutko i Michaś nie może jej nawet pocieszyć!

Nigdy jeszcze w życiu nie było mu tak ciężko, tak czarno na duszy...



XVIII.

„Wiesz, Stachu, — czas pomyśleć o nauczycielce dla Michasia.”

„O nauczycielce? Ależ malec nie skończył jeszcze siedmiu lat.”

Chłopak, wyrwany wymówieniem głośniejszym swego imienia z drzemki, w którą pomału był zapadał, zaczął się przysłuchiwać.

„Nic nie szkodzi. Właśnie w tym wieku nauka przychodzi łatwo, prawie od niechcienia. Zresztą nie myślę, matka się uśmiechnęła, „kształcić go teraz poważnie.”

„No więc! Nauczyłeś go czytać po rosyjsku, nauczysz pisać — na razie to zupełnie wystarczy.”

„Nie rozumiesz mnie, Stachu. Na porządne przygotowanie naszego Michasia do gimnazjum mamy czas. Przedtem jednak wartoby go nauczyć trochę po polsku. Pamiętasz, ileś razy sobie wyrzucał, że chłopak rośnie, jał chwast: po polsku nie mówi i pewno rozumie niewiele.”

„Swoją drogą,” wtrącił ojciec, „nieraz mi się serc kraje, gdy nań patrzę. Pytał mnie kiedyś, czyśmy roszanie, że nie rozmawiamy w domu po polsku.”

„A widzisz. Ja tam nie zważam na narodowość: turek czy polak, żyd czy rosjanin — wszystko mi jedno, skoro jest uczciwym człowiekiem. Ale każdy powinien, innych nie krzywdząc, znać i szanować to, czem się urodził.”

„Dobrze, żonusi, tylko co tu począć? Wracam z biura późno, biorę pracę do domu. Uczyć go nie mam ani siły ani możliwości, sama wiesz o tem najlepiej.”

„Posłuchaj, Stachu. Znajdźmy kogoś, coby uczył go czytać i pisać po polsku i po polsku z nim rozmawiał, aby go do języka przyzwycząić. I niech mu także objaśnia zasady religii i moralności po polsku.”

„Święta prawda, ale gdzie szukać tego kogoś?”

„Otóż chciałam cię spytać... Pani Tulczyńska poleciła mi pewną starszą pannę, która codziennie przychodziła przerabiać z Michasiem lekcje polskiego i religii za bardzo skromne wynagrodzenie.”

„Zgoda, oczywiście!”

„Dziękuję ci, Stachu!” i matka ucałowała ojca. „W takim razie lekcje rozpoczną się jutro. Wiesz, Stachu, przypuszczałam, że się zgodzisz i poprosiłam panią Tulczyńską, aby zawiadomiła tę pannę.”

„Czyli, że i bezemnie zarządziłaś wszystko. Oj, te kobiety!” burczał ojciec żartobliwie.

„Naprawdę, Stachu, myślałam, że się zgodzisz, bo jesteś dobry dla mnie. Jeżeli nie chcesz, przeproszę p. Tulczyńską,” zrobiła matka minkę nadąsaną.

„Dobrze, już dobrze,” śmiał się ojciec.

Michaś przyglądał się rodzicom z pod oka i rozmyślał

ślał. Będzie więc miał nauczycielkę. Bardzo to mu po-
chlebiło. Z pewnem zadowoleniem rozważał, że inni jego
znajomi nie mają nauczycielki, a on będzie miał. Szkoda,
że trzeba jeszcze całą noc przeczekać. Zacisnął mocniej
powieki, żeby zasnąć natychmiast. Ach, gdyby to jutro
zaraz już było!

Nauczycielka była niczego. Drobna i chuda, panna
Jadwiga miała bladą twarz z gęsią skórką dokoła
jasno niebieskich oczu; warkoczyk niezbyt obfity wiązała
w kok, starannie przylizany z tyłu głowy. Bystre oczy
chłopca wyszperały, że w tym koku z pod blond włosów
panny Jadwigi przeglądał jakiś węzełek ciemniejszy. Nawet
kiedyś zaczepił ją o to, czem wywołał na zlekka wyżółtkę
policzki nauczycielki ślady krwistego rumieńca.

Panna Jadwiga nosiła jasne bluzki, różowe, niebieskie,
żółte i bardzo się pudrowała, czego Michaś zasadniczo
nie znosił. Zapytał matkę, gdy była w dobrym humorze,
czemu się panna Jadwiga pudruje?

Matka odpowiedziała od niechcienia, z uśmiechem:
„Bo jest starą panną: biedna, nie znalazła nikogo, kto-
by ją pokochał. Teraz się stroi, chciałyby sama siebie
oszukać, że jest młoda jeszcze, że się może podobać.
Starość, Michasiu, to smutna rzecz. Kiedyś i mamie po-
liczki przywiędną, pomarszczą się, będę zgarbiona, bez
zębów, bez włosów i będę mówiła: daj mi kawa-łe-czek
suche-go chleba, Michasiu, bom głodna. Czy nakarmisz
mnie wtedy, synu ? Czy zaopiekujesz się twą starą matką ?”

Mamusia żartowała niby, nawet się uśmiechała, tylko

oczy miała smutne, żałośnie gdzieś zapatrzone. Michaś też posmutniał na chwilę, tak mu się namacalnie zarysował ten obraz. Ale spojrzał na matkę młodą, o ustach, jak wiśnie, o długim do stóp warkoczu i parsknął śmiechem. Nigdy mamusia nie będzie taką staruszką — niemożliwe!

Nauczycielka posiadała niewyczerpane zasoby cierpliwości. Powtarzała, tłumaczyła niezliczoną ilość razy, aż chłopiec, chcąc nie chcąc, musiał zapamiętać. Nauka ta zajmująca nie była; panna Jadwiga bowiem sumiennie pilnowała, żeby przesyłabizował kilkadziesiąt stron, poświęconych na ten cel w elementarzu, jakkolwiek chłopak oddawna się rwał do czytania opowiadań i bajek.

„Proszę pani, ja już umiem sylabizować, ja chcę już czytać!” mówił do niej polszczyzną, łataną gęsto rosyjskimi wyrazami.

„U-u, moskal! jak on gada!” strofowała panna Jadwiga, „posylabizuj jeszcze, to ci pomoże.”

Chłopak czuł się zawstydzonym, że na tę nazwę zasłużył, kręcił się na stołku, sylabizował, nudził się... Nie było rady; mamusia z zasady stawiała po stronie nauczycielki.

Drugą kłeską była nauka pisania. Zadawano mu na jedną lekcję przepisywać kaligraficznie po dwie strony jakichś paru liter. Niecierpliwego chłopaka drażniło lenistwo pióra i jednostajność znaków. Spieszył się, pogrubiał lub pocieniał litery dowolnie, nie dociągał do linijek albo poza nie wykraczał.

Panna Jadwiga z flegmą prostowała, poprawiała każ-

dą literę; najczęściej kazała przepisać wszystko na nowo, czego Michaś nienawidził z głębi duszy.

Mimo to nauczycielkę traktował dosyć pobłaźliwie i wcale ją lubił. Z przyjemnością słyszał już z przedpokoju jej głos nieco nosowy i śmiech urywany.

„Czemu-ż to panna Jadwiga tak się dziś wystroiła?” zartobliwie witała ją matka. „Pewno wybiera się po lekcji na konkię jakiego pięknego młodziana, znamy się na tem, znamy!”

Panna Jadwiga protestowała z kokieteryjnie skromną minką, sownie się rumieniła pod warstwą pudru, w rzeczywistości zaś była bardzo szczęśliwa.

Pewnego razu przyszła zmartwiona. Zaraz po lekcji miała iść do kościoła pomodlić się na intencję brata chorego, do jego patrona. Michaś w głowę zachodził, jaki mógł istnieć związek pomiędzy tym patronem, a patronami w kieszonkach jego stroju albańskiego, ale nie śmiał zapytać.

Nauczycielka była mniej uważną, niż zwykle, parę razy wytarła ukradkiem łzę, kręcącą się pod żółtawą z żyłkami błękitnymi powieką.

„Biedna panna Jadwiga,” myślał chłopiec, „nikt jej nie kocha i brat jej zachorował.”

Szczerze mu było jej żal. Po ukończeniu lekcji p. Jadwiga, żegnając się z matką, próbowała się uśmiechnąć, lecz z uśmiechu powstał smutny grymas. Michaś zdecydował się wyrazić jej swoje współczucie.

„Proszę nie płakać. Pani brat wyzdrowieje. To nic, że pani jest starą panną, ja i tak panią bardzo lubię.”

Panna Jadwiga otworzyła szeroko oczy, zaczerwieniła się i raptem, zamiast podziękowania, rzuciła z irytacją: „To bardzo brzydko. Nie wiedziałam, że z Michasia taki niegrzeczny chłopak.”

I szybko uciekła. Teraz Michaś z kolei zdumiał się i obraził. Na domiar złego i matka się rozgniewała.

„Czemuś to powiedział? Panna Jadwiga będzie myślała, że to ja cię nauczyłam. Jutro masz ją przeprosić* Ona jest starą panną, ale takich rzeczy nie mówi się nikomu. Rozumiesz?”

Chłopak wzruszył ramionami, zły przecież intencji nie miał. Panna Jadwiga nie rozumiała go, trzeba się wytłómaczyć. Natychmiast tedy po przyjściu nauczycielki wyrecytował dobitnie: „Przepraszam, że obraziłem panią, ale ja nie wiedziałem, że niewolno nikomu mówić, że jest starą panną.”

Nareszcie skończono z sylabizowaniem. Kupiono chłopcu czytankę z krótkimi opowiadaniem, wierszami i ćwiczeniami. Książka nie była zajmująca. Czytano zawsze jakiś mały ustęp. Michasiowi brakowało słów i wielu rzeczy nie mógł zrozumieć należycie.

Z chwilą, gdy Michaś potrafił samodzielnie odczytać całkowite wyrazy i zdania, panna Jadwiga zaczęła przerabiać z nim katechizm.

„W tej książeczce zawarte jest wszystko, czego człowiekowi potrzeba do zbawienia.”

„Co to znaczy zbawienie?”

„To znaczy, że po śmierci Michaś pójdzie do nieba, jeżeli będzie grzeczny.”

Odpowiedź zastanowiła chłopca. Każdy przecież umiera, czyli idzie do nieba, jak Musia, a więc każdy jest zbawiony. POCO tedy uczyć się katechizmu?

Panna Jadwiga sprostowała. Tylko dobrzy ludzie idą po śmierci do nieba, źli idą do piekła.

„A czy wolno w niebie bawić się w białych i indjan, proszę pani?”

Panna Jadwiga struchlała. „Co ty gadasz, chłopcze? Herezja! W niebie śpiewają chóry anielskie i dusze czyste oglądają Boga.”

„To dobrze,” zgodził się chłopiec, „ale potem można pobawić się w indjan?”

Nauczycielka odmówiła wszelkich dalszych wyjaśnień w tej materji. Michaś rozważał jeszcze, czem też ludzie zajmują się w piekle, w końcu dał spokój. Również na pytania: co to jest łaska i poco jest łaska? oraz: co to jest zado-syć-uczy-nie-nie za grzechy (strasznie trudne słowo) panna Jadwiga odpowiadała w tych samych prawie wyrazach, jak stało w katechizmie albo jeszcze zawilej, że chłopiec do reszty już nic nie rozumiał i, dla przerwania nieskończonej gadaniny, zbywał rzecz krótkim: „Aha! już wiem.”

Uczenie się katechizmu było prawdziwą męką. Tembardziej, że nie pozwalano mu się bawić, dopóki nie umiał lekcji, a karano go, jeżeli jej nie nauczył się dobrze. W kwestji katechizmu bowiem panna Jadwiga była wyjątkowo kamiennego serca.

Wobec krótkości dnia zimowego i konieczności pomagania matce przy gospodarstwie, chłopiec rzadko wychodził z pokoju. Chyba, że do sklepiku wybiegł na chwilkę, albo do kościoła poszedł z ojcem w niedzielę. Próby buntu i chowania katechizmu, aby się tylko nie uczyć tych kwestji zawiłych i trudnych, spełzły na niczem. Michaś rzucił dwa katechizmy pod szafę a trzeci za komodę, ale panna Jadwiga za każdym razem przynosiła nowy. Matka zaś zapowiedziała, że dostanie w skórę, jeżeli zgubi ten czwarty. Wypadło zrezygnować z dalszego oporu.

Z ulgą tedy prawdziwą dorywał się Michaś do książek rosyjskich, w których wszystko było przystępne i proste. Od chłopców z podwórza pożyczał bajki, opowiadania. I myślał, czemu po polsku niema takich ciekawych książek, tylko zawsze katechizm lub nudne czytanki z ćwiczeniami i powiastkami niedorzecznymi. Nauczycielka mówiła wprawdzie, że bywają i po polsku interesujące książki, np. Robinzon Kruzoe, ale to było nader wątpliwe, Michaś przecież sam czytał Robinzona po rosyjsku. Z Alfredem się pokłócił: poco go namawiał kraść gruszki! jemu nic, a mnie się dostało. Zresztą i mama zabroniła chodzić do niego, bo to widać zepsuty chłopak. Szkoda tylko, że więcej nie można pożyczać książek od niego.

Oprócz pomocy matce w gospodarstwie, Michasiowi przypadło w udziale pilnowanie i, w razie potrzeby, zabawianie małego Dadika, żeby nie krzyczał. Inaczej mama

się gniewała. Swoją drogą, z tego Dadźka był jegomość arcypocieszny. Do buzi pakował wszystko, co złapał: węgle, łyżeczki od herbaty, niedopałki papierosów, nawet śmiecie z podłogi. Zawsze mu coś trzeba było odbierać.

Miewał ataki wesołości i wtedy na pokiwanie palcem zanosił się od śmiechu serdecznego; w chwilach pesymizmu natomiast rzucał precz zabawki i darł się mocno na jedną nutę przez dobrą godzinę. Rozpacz ogarniała Michasia. Z kuchni mama krzyczy: „Zabaw go! Czemu nie weźmiesz go na ręce?” A Dadźko wrzeszczy: u-a-a, u-a-a... I niczem nie można go uspokoić. Ma rękach nosić? — też, dobrze mamie mówić! — taki ciężki, choć mały, że po pięciu minutach ręce opadają z bólu. Wprost zdaje się, biłby i bił smarkacza za ten upór i wrzaski.

Postępy Dadźko czynił szybkie. Nie miał dziewięciu miesięcy, jak zaczął wstawać samodzielnie i posuwać się, chwytając rączkami za brzegi kanapy lub stołka. Czasem rozmyślił się nagle i puścił kanapę. Bęc! klapnął, aż podłoga się zatrzęsała... Michaś leci w przestraszu, że malec wszystko sobie poodbijał w środku, a ten siedzi, jak gdyby nic, z palcem w buzi i bełkoce coś przekonywująco, uśmiecha się. Ruszysz go, wrzeszczy — nie podobało mu się coś. Innym razem rzutami krótkich i tłustych różowych nóżek i rączek przyczołga się na czworakach i prosi: bu-ci, bu-ci, to znaczy: weź na ręce!

Dadźko miał włosy jak len i jasne, ogromne, szafirowe oczy, takie zdziwione, i duże, miękkie usta z kilku ząbkami. Mówić zaczął dość rychło, tylko tak seplenił, że, oprócz swoich, nikt nie mógł go zrozumieć.

Naogół przeważał w nim humor raczej dobroduszny i uczony. Żadnej zabawki nie miał dłużej, nad pół godziny, — zaraz głowę urwie, ręce i nogi odłamie i, marmrocąc do siebie, pilnie bada, co lalka lub terkotka wewnątrz zawiera. Popatrzy, popatrzy, rzuci i znowu woła: ta-ta, ca-ca!.. To znaczy, dawaj mu nową zabawkę.

Kiedyś zostawiono go na chwilę samego w kuchni (nie miał podówozas dwóch lat). Wtem, brzęk stłuczonego szkła. Biegną do drzwi, odmykają. Stamtąd, jak bomba, wylatuje kot Szarek, ulubieniec mamusi i z dzikiem miauczeniem ucieka do sypialni pod łożko. Dadźko siedzi w pośrodku kuchni, nastraszony, z paluszkami w buzi i waha się widocznie, czy ma milczeć, czy też rozbeczeć się na głos.

Do okna! — duża szyba rozprysnięta w drobne kawałeczki. Tuż na podłodze leży szczotka do zamywania. Szczotka zapewne stała koło okna, a Szarek siedział obok na szafce. Dadźko chciał dostać się do kota, nastąpił na szczotkę i uderzył drążkiem w szybę.

„Dadźko, to i ty rozbił szybę?” pyta surowo matka.

Na co malec odpowiada w swoim języku, wytrzeszczając niewinnie ogromne, błękitne oczy: To nie Dadźko, — to kicia. Ja ki-ci, ki-ci, a kicia skok! szybkę rozbiła, uciekła... a ja mamusiu więcej nie będę.”

„Co ty pleciesz!” gniewa się matka, ale Dadźko wciąż swoje: to nie on, to kicia, a on więcej nie będzie.

Wszyscy się uśmieiali, a Michaś najwięcej — taki ucieszny był ten Dadźko z chytrą, wystraszoną minką, z oczyma niewinnie wytrzeszczonemi i z palcem w buzi. Hipokryta!

Jedynem urozmaiceniem były wizyty Koluśia. Koluś uczęszczał do miejskiej szkółki i opowiadał o lekcjach, o figlach i psotach kolegów. Lekcje u nich były o wiele zabawniejsze, niż u Michasia. Chłopcy dokazywali, nauczyciel gniewał się, stawiał ich do kąta, czasem całą klasę zostawiał bez obiadu... Pycha!

Opowiadał Koluś i o tem, czego ich uczono w szkole. Najbardziej pociągały obu chłopców historie o wojnach z turkami, o bitwach okropnych na morzu i lądzie, o nadzwyczajnej dzielności i odwadze wojsk rosyjskich, które zawsze biły pogan niewiernych. Obaj nabrali dla rosjan wielkiego szacunku i nawet sami cokolwiek się chlubili ich zwycięstwami.

„Wiesz, Koluś, ja myślę, że polacy też bili turków nie gorzej. Czy twój nauczyciel nie opowiadał nic o tem?”

Martwiło to chłopca, że wśród sławy oręża rosyjskiego nic nie było słyhać o polakach. Ucieszył się bardzo, gdy Koluś zakomunikował mu wreszcie, że polski król Jan Sobieski też dobrze pogromił turków pod jakimś tam Wiedniem.

„A widzisz! mówiłem ci, że nasi są nie gorsi.”

Ale Koluśowi w gruncie rzeczy było wszystko jedno. Co innego Michaś. Wiedział, że jest polakiem, bo chodzi do kościoła, i tatuś mu mówił. Wolał wprawdzie czytać

i mówić po rosyjsku, bo to łatwiej, ale to nic nie szkodzi. Skoro zaś on, Michaś, jest polakiem, polacy nie mogą być w żadnym razie czemś pośledniejszym od rosjan. Tembardziej, że gdy się kto raz już polakiem urodził, nikim innym być nie może, przepadło! Zresztą ojciec też polak, a miłszy jest, lepszy i na pewno mędrszy od wszystkich rosjan. Trochę mieszało mu szyki, że mamusia nie jest polką; no, ale włosi mogą być równie dzielni i sławni, jak polacy.

Na czem polega różnica między narodowościami poza kościołem, Michaś nie miał właściwie pojęcia. Gdy jednak na ulicy, rzadko co prawda, posłyszał polską mowę, odwracał się pośpiesznie i zaczynał głośniej mówić po polsku, korzystając ze swego szczupłego zapasu słów. Poczował się do wspólnoty specjalnej z każdym przechodniem polakiem. Oni bowiem, jak i on, należeli do zjawisk wyjątkowych w obcej, otaczającej ich masie. I miał ochotę dać im do poznania, że on również stanowi część tej niecodziennej, uprzywilejowanej poniekąd, grupy polskiej.

XIX.

Śliczny majowy poranek. Mama pozwoliła Michasiowi chodzić boso i chłopak uszczęśliwiony wybiegł do ogrodu. Dzieci nie było, widocznie bawiły się na ulicy.

Rozłożyste jabłonie i grusze rzucały cień na ciemną, głęboką zieleń bujnego trawnika. Krzaki agrestu i porzeczki, podszytych kępami młodej pokrzywy, zbiły się w haszcze nieprzebite. Gdzieś pod drzewami stały ławeczki szarobiałe od deszczów. Stare kasztany dumnie rozpościerały dziergane złotem wachlarze swych liści.

Sad już okwitł. Na ziemi pełno malutkich zawiązków gruszek i jabłek z przyschniętą u korony owocu gwiazdką — wspomnieniem po kwieciu. Michaś zbierał je i układał dziesiątkami na stoliku pod dużą gruszką ulęgałką, wedle gatunków... Zabawa nie szła.

Strącił gruszki ze stołu, położył się na plecach i z pod powiek przymrużonych patrzył na ogród. Sączyło się przez nie słońce rozpyłem strzelistym, bursztynowym, lekko drżały listki, przyczepione do przezroczej tafli nieba, takiej pogodnej i błękitnej, jak kwiat lnu. Kiedy

niek' edy słowik, widocznie początkujący, wygwizdywał nieudolną ruladę; swarliwie, z przejęciem, trajkotały wróble.

Miło jest leżeć... Słodkie lenistwo rozlewa się po ciele. Michaś marzy, żałuje, że niema przy nim Koluś. Chociaż nie. Koluś krzyczałby zaraz, biegał. Michaś wolałby w tej chwili kogoś, co by usiadł, czy położył się koło niego i patrzył na ogród, pełen rozgwaru wiosennego, na słońce wspaniałe, co leje piniącą się strugą miód lekkich, przezłotych promieni. Kogoś, co byłby dobry i czuły, wesoły i dzielny ot, taki zuch chłopak, przyjaciel, jak brat.

Michaś ma wielu znajomych, ale przyjaciela prawdziwego nie ma.

Chłopiec usiadł z ieniwem wyciągnięciem ramion, zamkniętych splotem dłoni nad głową. Westchnął, zlął ze stołu i, nie spiesząc się, poco? skierował się do swego „namiotu”. Namiotem nazywało się miejsce w cieniu starego orzecha, który przechylał z sąsiedniego, znacznie niższego parku, gałęzie swe prawie do poziomu michasiowego ogrodu. Chłopak przyciągnął i urwał parę delikatnych listków ó woni subtelnej a przenikliwej, roztarł je w palcach i poił się słodkim ich aromatem. Zajrzał do parku.

Ścieżki, posypane żółtym piaskiem, przecinały się i wiły kapryśnie. Obsadzone były złocistą strączkową akacją w kwieciu. Na starannie utrzymanych klombach wznosiły się w regularnych odstępach smukłe kolumny topoli i zielone piramidy lip. Wszystko tu było przeciwieństwem do zapuszczenia, dzikości i samorzutnego niejako rozrostu ogrodu Michasia. Jedyne ławeczka pod orzechem, bez

oparcia, z na pół spróchniałego drzewa, nosiła ślady miłej starości i zacisza.

Od strony domu, w głębi parku, ukazała się jakaś para. Dziewczyna, wysoka i zgrabna, miała na sobie skromną, brunatną sukienkę uniformową. Ręce trzymała na piersi, schowane pod czarnym fartuszkim, kokieteryjnie oblegającym jej figurę i zamykającym się taśmą na plecach. Michaś podziwiał, gdy się zbliżyła, ogromne szafiry jej źrenic (zupełnie, jak u Dadźka), które podnosiła ukradkiem na swego towarzysza. Cerę miała białutką, jak mleko.

Młodzian, przystojny, barczysty szatyn, z twarzą opaloną i białem, niewysokim czołem, ubrany w tużurek akademicki o niebieskich wyłogach, nie spuszczał z niej oka. Szedł, pomachując szpicrutą i często pokręcał ładnego wąsika. Panna wyprzedzała go o parę kroków, co chwila obciążając z roztargnieniem frendzle fartuszka.

„I cóż dalej, panie Witoldzie?”

„A no, zdałem egzamina; teraz muszę jechać na wieś do ojca.”

Parę tych zdań, powiedzianych po polsku, echem niepokoju i zaciekawienia radosnego odbiły się w sercu chłopaka. Odtąd nie tracił ze swego ukrycia ani jednego wyrazu.

„Tak? I pan naturalnie jest szczęśliwy, że opuszcza miasto z nudnymi jego mieszkańcami. W waszych okolicach pono dziewczęta słyną z urody. Pewno i dla pana tam bije nie jedno serduszko. Ha, trudno, życzę powodzenia.”

Mówiąc to, panna szarpała w dziwnym podrażnieniu taśmy swego fartuszka.

„Czemu ona się złości?” dziwował się Michaś. „Za-
zdrości mu chyba. Szczęśliwy, jedzie na wieś. I jaby-
m pojechał!”

„Panno Wando!” zaczął gorąco młodzieniec. „Je-
chać muszę, ponieważ ojciec jest słaby, samotny... Prze-
cież, gdyby odemnie, od mojej woli zależało...”

„Doprawdy? Więc pan chce zachować trochę przy-
jaźni dla takiej brzydkiej, nieciekawej osoby, jak ja?”

„Oburzające! Słowo honoru. Ależ pani wygląda,
jak... no wprost, jak róża!”

„Dobrze je] powiedział,” pochwalił w duchu Michaś.

Ale panna Wanda rzuciła na młodzieńca zmieszaniem,
i, z powodu zmieszania, bardziej jeszcze zagniewaniem
spojrzeniem błękitnych oczu. Usteczka karminowe za-
cisnęły się w minkę nadąsaną.

„Panie Witoldzie, proszę ze mnie nie kpić, bo się
pokłócimy.” <

Wzruszywszy drobnymi, okrągłymi ramionami,
szybko poszła ku domowi. Szli, milcząc. Pan Witold
zмагаł się z sobą. chciał coś powiedzieć, zagryzał wargi,
i z pasją ścinał szpicrutą główki kwiatów, Bogu ducha
winnych.

Michaś patrzył z zawodem wślad oddalającej się pary.
Panna jednakże widocznie się rozmyśliła i powoli
zawróciła znowu w kierunku orzecha.

„To są polacy!” Znikło gdzieś uczucie tęsknoty
i osamotnienia, co trapi^To Michasia jeszcze przed chwilą.

Z sympatją pobłażliwą spoglądał na parę. Oni nawet ni* wiedzą, że tuż obok nich znajduje się Polak. Miał przeświadczenie, że byliby się bardzo tą wiadomością ucieszyli.

„Czemu pan zamilkł, panie Witoldzie?” odezwała się panienka. „Panu się może nudzi w mojem towarzystwie?”

„Panno Wando!” wybuchnął młodzieniec. „Czyi pani nie grzech coś podobnego nawet pomyśleć?”

Uśmiech lekko zdradziecki musnął kąciki usteczek panny Wandy i chyżym lotem schronił się do dwóch wesołych dołeczków na policzkach.

„Nie wiem, czemu dziś właśnie”... podjął pan Witold z zapałem. „Ten poranek cudowny, świergot ptasi i aromat kwiatów, i wiosna... wszystko się sldada na hymn młodości, nadziei i...”

„I?”... powtórzyła cicho panienka.

„I ku czci pani!”

„Pan znowu... drwi ze skromnej wieśniaczki,” rzekła niby gniewnie, a ręce jej drżały, skubiąc nerwowo fartuszek.

„Panno Wando! Więc pani nie rozumie mnie, nie chce rozumieć!...”

Pan Witold urwał. Twarz mu ściemniała, siwe, zacne oczy otwarcie wyrażały boleść. Michaś stanowczo potępiał pannę Wandę: dlaczego go dręczy? czyż nie widzi, że on mówi prawdę i wcale nie kpi? I poco ona drze fartuszek na sobie? Waha się, oo ma uczynić. Sympatja niepokonana przyciągała go do tych dwojga Polaków. Z przyjściem ich czuł, jakby się zbliżyło coś rodzimego ,

swojskiego. Wdrapał się ostrożnie na gałąź orzecha i postanowił czekać na rozwój wypadków. Może go zobaczą, zapytają, kim jest. Opowie im i będą uradowani, że obok siebie mają jeszcze jednego Polaka.

„Spocznijmy chwilkę," zaproponowała panienska.

Usiedli na ławeczce. Pan Witold porywał się, aby coś powiedzieć, oddychał ciężko, i nic. Pierś panny Wandy falowała.

„Biedni! Musieli się dobrze zmęczyć, że im tak tchu brak," ubolewał Michaś.

„Panie Witoldzie! Proszę wreszcie coś mówić... bawić mnie. I proszę zostawić w spokoju szpicrutę," skończyła z uśmiechem figlarnym, „bo pan wszystkie kwiaty wujowi poniszczy."

Pan Witold miesza się, posłusznie oddaje szpicrutę i szepce z męką: „Gdybym potrafił..." Michaś kręci się na gałęzi, złości i prawie, że pragnąłby, aby go zauważono.

Czego on chce od niej właściwie? Nie może jej wprost powiedzieć: bądźmy przyjaciółmi i basta? Michaś byłby odrazu powiedział. A ten głądzi i głądzi. Rzecz dziwna, mimo niezdarności młodzieńca, sympatje chłopca były całkowicie po jego stronie.

„Nie, nie mam odwagi." Pan Witold istotnie jej nie miał.

Głos panny Wandy przeciwnie, nabierał coraz słodczy, coraz więcej brzmiał tonem zachęty.

„Czyż nie wstyd, żeby mężczyzna był takim tchórzem i"

„Zuch panna Wanda," przytakuje Michaś w duchu.

„Więc pani życzy sobie... żebym mówił?"

„Tak, rozkazuje... prosi...” szepnęła z szkarlatnemi już, zamiast bladych, różami na policzkach, przykrywając oczy firanką rzęs jedwabistych.

Michaś ogromnie zaciekawiony tem, co powie pan Witold, mocno wychylił się naprzód.

„A więc,” młodzian wstał uroczyście, „panno Wando... ja...” i wznosił oczy na orzech. '

„Teraz mnie zobaczy,” myślał Michaś. Schować się, czynie? Czuł w tej chwili tyle przyjaźni dla młodzieńca, dla panny, dla całego świata.

Pan Witold cały drżał.

„Co mu jest?” —niepokoił się chłopak, — „czy jest chory?”

„Panno Wando,” podjął pan Witold. „Czy pani nie widzi...”

Michaś poczuł się wykrytym. Doznawał z tego powodu skomplikowanego uczucia: wstydu i zadowolenia.

„Ja panią... panno Wando... kocham!” krzyknął prawie z rozpaczą.

„Cóż wielkiego znowu?” zirytował się malec, który na okrzyk niespodziany pana Witolda o mały włos nie spadł z drzewa. ' „Ja także kocham mamusię i tatka, pocóż wrzeszczeć?”

Wtem panna Wanda wstaje, rumieńce jej gdzieś wsiąkły, zatarły się bez śladu, mówi: „Wiciu!” i wyciąga ręce. Pan Witold chwyta je, przyciska do serca. Oboje stoją naprzeciwko Michasia. Napewno go widzieli.

Chłopak się niecierpliwi, jest wzruszony i czegoś rad i wreszcie, w chwili, gdy młodzi, trzymając się za ręce,

chyla się do siebie, z uśmiechem niewypowiedzianym, mówi do nich dobitnie, a z przekonaniem serdecznym: „I ja też jestem polak.”

Odskakują z okrzykiem. Błysk zdumienia i lęku w oczach. Michaś czuje nagle, że krew uderza mu falą do głowy, że mu czegoś wstyd okropnie i nie można wcale spojrzeć w twarz tym młodym. Krzyczy: „do widzenia!” Skacze z gałęzi na ziemię. Serce mu bije tętnem przyspieszonym. Śmieje się cichym śmiechem zakłopotania radosnego i pędzi do domu, jak strzała, cały w ogniach nieproszonych rumieńców.

XX.

Po lekcji nauczycielka zwykle zostawała na herbatę. Czasem wpadała także pani Kociemska, żona urzędnika z banku. Niewielkiego wzrostu i okrągłej dość tuszy, cała była jakaś przymilna, gładziutka; mama przyzywała ją żartem ciocią Koteczka.

Pani Kociemska była równie pobożną, jak i panna Jadwiga, ale należała do innego obozu. Nauczycielka była zwolenniczką surowego proboszcza, księdza Grodzkiego, pani Kociemska wołała księdza Puczyńskiego za jego serce zacne i pobłażliwość.

Do Michasia ciocia Koteczka miała specjalną sympatię.

„Tak lubię dzieci. Jaka pani jest szczęśliwa!" mawiała do matki, która się uśmiechała z dumą, bawiąc się czupryną syna.

Wydzierał się ostrożnie, protestując: „no-o, ma-a-mo! proszę puścić!" Jako, że nie wypada, aby z dużym chłopakiem pieszczono się, jak z dziewczynką. Wszystkim bowiem wiadomo, że dziewczynki zawsze rade się całują, ściskają i — mażą bez najmniejszego powodu i sensu.

Żale pani Kociemskiej zdziwiły Michasia. Zapytał, czemu nie kupi sobie syna, jeżeli tak lubi dzieci.

Ciocia Koteczka zaczerwieniła się do łez. Po dobrej chwili odpowiedziała, że pragnęłaby bardzo mieć dzieci, ale Pan Bóg nie udzielił jej dotąd tej łaski.

U pani Kociemskiej w domu było bardzo przyjemnie: dostawało się zwykle herbaty z konfiturami i ciastkami. Czasem zapraszała Michasia samego. Pewnego razu, widząc, że chłopcu się nudzi, kazała mu odczytać na głos parę ustępów z jednej książki bardzo, bardzo pożytecznej dla duszy. Książka była ogromnie trudna. Na wszelkie jednak prośby o objaśnienie Michaś stale dostawał odpowiedź: „Czytaj dalej, sam zrozumiesz.”

Michaś czytał i nic nie rozumiał. Wyrazy piętrzyły się dziwaczne i długie, jeden od drugiego bardziej zawile i tajemnicze. Chłopak znajdował pewną przyjemność w recytowaniu litanii słów zagadkowych, a pozbawionych zgoła sensu. Szczególnie imponowały mu zwroty, jak: „proces metafizyczno-apologetyczny” lub „transsubstancjacja istności idealnej” spotykane prawie co drugi wiersz. Powtórzył je głośno kilka razy z rzędu i, ubawiony dźwiękami tej abrakadabry, serdecznie się roześmiał... Obejrzał się na ciocię Koteczkę. Błogo zasłuchana, drzemała z szyciem w ręku.

Chłopiec wstał od stołu, spojrzął raz jeszcze na tytuł: „Traktat o istocie metafizycznej transsubstancjacji” i położył potężny wolumin wśród tomów, podobnie oprawnych, o tytułach równie niewysławialnych i dziwnych. Zawalał rękę kurzem, spoczywającym grubą warstwą na półce. Dawno już widać ciocia Koteczka nie ruszała tych książek. Musiała je chyba wszystkie przeczytać.

W wolnych chwilach wieczorem, po ułożeniu dzieci do snu, rodzice lubili czytać na głos. Matka czytała, ojciec słuchał, popijając mocną, czarną prawie herbatę. Czasem Michaś nie mógł zasnąć odrazu i także się przysłuchiwał przez drzemkę.

W pierwszej z tych powieści była mowa o bogatej panie sierocie, którą krewniacy chcieli koniecznie zamknąć w klasztorze na całe życie. Panna opierała się, nie chciała, w końcu musiała ulec, aby wkrótce potem uciec z klasztoru.

I Historia ta nie bardzo zajmowała Michasia i tylko przeszkadzała mu spać. Żeby zasnąć prędzej, starał się nie uważać; Uczył do stu i znowu od początku (podobno to pomaga). Albo zaciskał mocno powieki i przed źrenicą zbolałą zjawiały się jakieś kolorowe desenie z wyrastającymi z nich kwiatami fioletowymi, żółtymi i czerwonymi. Przy pilniejszej uwadze dostrzegało się wśród tych deseni szereg dziwacznych widm i potworów o groźnych, budzących lęk, twarzach.

Po powieści o panie-mniszce rodzice zaczęli inną, o wiele ciekawszą, z czasów niewolnictwa, kiedy chłopci musieli odrabiać pańszczyznę. W powieści występował bogaty pan, bardzo okrutny. Zameczał chłopów robotnikami, prześladował kobiety... i czego on chciał od nich właściwie? Dręczył, katował swe sługi, kazał ich ćwiczyć różgami, no, wprost coś okropnego!

Michaś słuchał z zamkniętymi oczyma i trząsał się z oburzenia. Czemu żaden z nich nie dał mu kijem po głowie? Niechby ze mną spróbował! Kładł się teraz

co wieczora wcześniej, niż zwykle i niby to od razu zasypiał, umyślnie, żeby rodzice prędzej zaczęli czytać.

Stary pan Wypatrzył sobie najpiękniejszą z dziewcząt wiejskich, Hanke, córkę młynarza, i posłał po nią lokai. Na wsi zaś uważano każdą dziewczynę, wziętą do dworu, za „zgubioną”. Pewno dlatego, że ją stary pan bił i szczypał do krwi, jak się bardzo rozgniewał. Dość, że narzeczony Hanki, dzielny Wasyl, wyrwał kij z płotu i bronił dziewczyny do upadłego. Lokaje poturbowali go, związali i wrzucili do więzienia. Hanke zabrano jednak do dworu, a stary pan postawił na swoim. Jeszcze do Wasyla przychodził, kopał go nogą i opowiadał, że z Hanną dobrze się zabawia.

Rodzice urwali na najciekawszym miejscu. Chłopiec ogromnie był poruszony. Zrana po herbacie zapytał z oburzeniem, jak to mogło być, żeby temu panu pozwolono znęcać się nad ludźmi. Jakiem prawem?

Matka się zdziwiła. „Toś ty słyszał? nie spałeś? A myśmy myśleli...”

Okazało się, że istotnie tak dawniej bywało, dziś jednak pańszczyzny niema. Panowie zdarzali się rozmaici, lecz niewolnictwo w każdym razie było grzechem. Nie wolno nikogo ciemnić. Bóg kazał kochać bliźnich jednakowo, tak, jak i on kocha wszystkich ludzi.

„A Pan Bóg tak samo kocha rosjan, jak polaków?”

„Naturalnie.”

„I żydów też?”

„Pewnie. Pamiętaj synu. Nie wolno wyzyskiwać i krzywdzić słabych, trzeba ich bronić, pomagać im.”

Pan Bóg, wcześniej czy później, zawsze ukarze złych ludzi."

„Dobrze, mamusiu," potwierdził chłopak w zamyśleniu, „zawsze będę bronił słabych."

Matka się uśmiechnęła nie bez rozczulenia.

Przez parę wieczorów powieści nie czytano. Ojciec wracał z biura późno i bardzo zmęczony. Zresztą rodzice widocznie nie chcieli, żeby on słuchał. Michaś był strasznie ciekawy dalszego ciągu. Szukał książki, żeby poczytać sobie, ale matka tak ją schowała, że ani sposób znaleźć. Postanowił wziąć się na sposób. Podczas herbaty wieczornej oświadczył, że mu się okropnie chce spać i żeby prędkiej pościelono na kanapie (zwykłym jego łożu), bo już nie może wytrzymać.

Matka przygotowała pościel, Dadzko dawno już spał, w parę minut później Michaś też znieruchomiał — śpi już. Matka wzięła książkę.

„Poczekaj, Basieńko, czy aby nie udaje szelma? Coś za prędko położył się dzisiaj; zwykle różgą trudno go zapędzić."

Zamilkli. Michaś głęboko, miarowo oddychał.

„Wiesz, Stachu, nabiegał się malec przez cały dzień, mnie pomagał, zmachał się biedaczek. Na pewno śpi."

Michaś chrapnął zlekka i zabełkotał niewyraźnie.

„Słyszysz?"

Ojciec skinął, że chce się przekonać i dobrodusznie powiedział półgłosem: „Michasiu, coś ci ciekawego powiem."

Milczenie.

„Nie udawaj, synu, wstań. Mama ci konfitur przyniosła.”

Chwilowe, ciężkie zwątpienie w duszy chłopaka, a nuż naprawdę są konfitury! Triumf, byłby posłyszał skrzyp drzwiczek od kredensu. Akurat! Nie oszukacie. I spał uparcie.

Ojciec przeczekał chwilę.

„Zasnął rzeczywiście. Czytaj, Basiu.”

Chłopak pilnie słuchał.

Miara cierpliwości u chłopów się przebrała. Uknuli .spisek. Stróż należał do zmowy i wypuścił Wasyla z więzienia. Hanna, którą tak nielitościwie wydarto rodzinie i narzeczonemu, od paru tygodni zaufana powiernica pana, wyczekiwała tylko chwili stosownej. Pewnej nocy pozamykała wszystko na klucz i podpaliła firanki i dywan na ścianie pańskiej sypialni. Sama wyskoczyła przez okno i zawołała na cały głos: „Oto ci, panie, za krzywdy ludzkie, za mego Wasyla, za moją cześć dziewiczą!”

Pan się zerwał na równe nogi. A tu w sypialni się jjali. Uderzył w drzwi, raz, drugi, wyłamał drzwi. Biegnie przez pokoje: dym, płomienie. Leci do okien... pozamykane i podparte od zewnątrz. Widzi pan, że to zmowa; chwytą strzelbę ze ściany — naboje Hanna pochowała. Ogień syczy, pali się dach, mury gorące, parzą. Pan miota się, jak mysz w klatce, zaklina, błaga, obiecuje nagrody sute. Zapóino!

Głos matki drży, wzruszona przerwała czytanie... Cóż dalej będzie? Czyż nikt już mu nie pomoże?! Mi-daaś zapomina o okrucieństwach pana, pamięta tylko, *żti*

©to człowiek wije się w rozpaczę wśród płomieni, bez nadziei na ratunek. Chłopak przewraca się z boku na bok, dygoce. Jakie to straszne! Boże, co to będzie!

Rodzice, sami przejęci, nie zwracają nań uwagi.

Pan wybija szybę, wyskakuje przez obłok dymu. Michaś czeka z zapartym tchem.

Niestety, pan wpadł wprost w ręce Wasyla i chłopów, czatujących pod domem. Nikt nie ma litości dla niego. Związali go i z krzykiem: „Pobybaj, lutyj pane!”— wrzucili z powrotem do płonącego dworu. Pan zaczołgał się na czworakach do kąta, dławi się dymem; języki czerwone ognia skaczą i tańczą dokoła. Belka, spadając, złamała mu rękę. A chłopci, uzbrojeni w siekiery i drągi, radują się, wrzeszczą, pijani zemstą i krwią.

Szlochcy, przemocą tłumione, wybuchły gwałtownie. Matka, której łzy płynęły po twarzy i ojciec, który słuchał z czołem nasepionem, zerwali się przerażeni. Chłopiec wił się w spazmie bóleści i grozy.

„Ja nie chcę, żeby on się spalił! Nie chcę! Mamo, mamo!” łkał nieutulenie.

Dadźko szybko rósł. W tym roku po raz pierwszy zaczął wychodzić na podwórze samodzielnie. Michaśiowi poruczono nie tracić go z oka.. Początkowo zdawało się to rzeczą łatwą. Dadźko bowiem odznaczał się równowagą humoru i taktem przyrodzonym. Posłusznie ulegał nakazom władzy prawowitej w postaci starszego brata. Bawił się cichutko kilka patykami i kamyczkami, z którymi się nigdy nie rozstawał. Czasem gromadził dokoła

siebie małe dziewczynki w swym wieku, z którymi doskonale sobie radził. W szerokich majteczkach, zapinanych na guziki z boku, z kręcącymi się w jasne pukielki włosami, z palcem do góry uroczyście wzniesionym, wyglądał na prawdziwego apostoła.

Pewnego popołudnia Dadźko nie stawiał się na apel obiadowy. Nie było go ani w ogrodzie, ani na podwórzu. Jedna z dziewczynek umiała tylko objaśnić, że Dadźko poszedł na ulicę daleko, daleko. Na ulicy tramwaje, powozy, cyganki. Ojciec i Michaś byli bardzo zaniepokojeni, matka wpadła w rozpacz. Wszyscy się rozbiegli na poszukiwania.

W godzinę później Dadźka, najzupełniej spokojnego, z cukierkiem w łapie, przyprowadził pan Kociemski.

Jegomość zaszedł na dosyć oddaloną, ruchliwą ulicę. Zaczepił go policjant: dokąd kawaler idzie? „Kawaler” odparł, że idzie — „na pacyl” (na spacer).

„Gdzie są rodzice? Jak się nazywasz?”

Malec chętnie zakomunikował, że on jest Dadźko, a tato jest tam — i wskazał przed siebie. Policjant zapytał dla pewności, czy tato nie mieszka właśnie w przeciwnym kierunku. Dadźko, ze zwykłą mu dobroduszością, przystał i na to. Wobec tego zaprowadzono go, jako wólczęgę bez paszportu, do cyrkułu. Przypadkiem spotkał ich pan Kociemski i przywrócił uciekiniera na łono rodzinne.

W rezultacie za wycieczkę Dadźka dostało się Michasiowi.

Mniej odtąd miał zaufania do brata i częściej sprawdzał, czy jest obecny. Dadźko to zauważył i, nie bez złości

wej chyba intencji zaczął się chować po różnych zakamarkach, nie odzywając się na wołania Michasia. Za krnąbrność tę, nieraz i słusznie — oberwał od brata po łapach. Harmonja pierwotna stosunków została znacznie zakłócona.

Dadźko posiadał wyjątkowo rozwinięty zmysł wólcęgostwa. Był to materiał niepośledni na wielkiego podróznika w przyszłości. Nie było z nim ani chwili spokoju: ciągle trzeba było zaglądać, czy aby nie drapnął gdzie znowu, na poszukiwanie przygód. Szczególniej dawało się to Michasiowi we znaki, gdy skaleczył sobie szkłem bosą stopę i musiał chodzić, podpierając się kijkiem, wystruganym przez tatkę umyślnie w tym celu.

„Michaś! Piętka mnie bi-i-je!”

Kusztując, chłopiec popędził na ratunek. Nieraz się wyzłościł i wyszturciał Daiżka, ale, co wolno rodzicom i bratu, to obcym wara! Jak śmie ktoś obcy Dadźka uderzyć!

Krew w nim zawrzała i, pełny animuszu, przybył na plac boju. Dadźko ryczał, ocierając łzy brudnym rękawem. Piętka rozrzucił mu kamyczki i patyki, odebrał drewnianego konika i jeszcze go wybił. Ufny w swą siłę, winowajca stał obok i drwił z Dadźka, pokazując mu język i drewnianego konika na przemian.

W innym wypadku Michaś wolałby uniknąć potyczki z niebezpiecznym przeciwnikiem. Teraz wszakże oburzenie i krzywda bratnia przemówiła głośniejsz, niż rozsądek. Zbliżył się o kijku do napastnika, wykrzywiającego mu się w twarz z wyzwaniem. Kilku chłopców zebrało się dokoła. Dadźko przestał ryczeć i czekał na wynik pomocy starszego brata.

„Ty, czemu biłeś mojego brata?!”

„A tak sobie. Chcesz, to i tobie wsypię,” naigrawał się Piętka.

„Wsypiesz?” wrzał Michaś.

„A wsypię. No nie, chłopcy?” zwrócił się zuchwało do otoczenia.

„Wal go, Piętka!” wrzasnęli chórem. Piętka miał wielu popleczników z powodu swej siły i odwagi.

Nie bawiąc się w dłuższe rozprawy, Michaś uderzył z rozmachu Piętkę w kark, szarpnął ostro oszołomionym przeciwnikiem i, nagle pchnąwszy go w bok, obalił na ziemię.

Batalja trwała krótko. Kilka głuchych razów z przy-
mawianiem: „a co? wsypiesz? Będziesz ruszał Dadźka? Ja cię nauczę odbierać malcom^{abawid}!”... Michaś wstał i, opierając się na swym kijku, zajął pozycję obronną. Ale wróg uznał się za pokonanego. Wrzask donośny rozległ się na podwórzu: „Ma-a-mo! Michaś mnie wybił! Ma-mo!”

Na alarm zbiegł się cały rój bab, zamieszkujących sutereny. Przyleciała matka Piętki, gruba przekupka, kipiąca gniewem.

„Ja ci dam, kusy czarcie! Podbiję ci i drugą nogę i Panok obdarty! Będzie mi syna bił. Poczekaj, łaszku pohany!”

„A poco syn pani brata mego uderzył? Dadźko mały, nie umie się bronić. Niech go nie rusza, bo jeszcze lepiej dostanie!”

Uważając rozprawę za ukończoną honorowo, Michaś rozpoczął odwrót z Dadźkiem, który mocno trzymał od-

zyskanego konika i dawno już szeptała: „Chodź, Michasiu, chodź. Ja się boję; chodźmy!”

Matka Piętki dalej wyzywała i klęła na całe gardło: „Mało was widać tłukli, lachów przeklętych. Wszystkich by was, razem z żydami, powiesić na jednej gałęzi!”

Chłopcy milcząco się wycofali. Michasia bardzo zastanowiło to, że baba z taką nienawiścią wymyślała im od lachów. Co jej polacy zrobili? Mama przecież mówiła, że wszyscy ludzie powinni żyć w zgodzie.

Opowiedział o tem ojcu po obiedzie.

„Nie słuchaj, co wygadują na dziedzińcu; to są złe albo głupie baby, bez żadnego wychowania.”

Michaś wszakże chciał raz przecie dowiedzieć się czegoś dokładnie.

„Tato, czy to prawda, że było Królestwo Polskie? I było sławne? Polacy dzielnie wojowali?”

„Oczywiście!”

„A teraz niema Polski?”

„Jakto niema? Większa część znajduje się w Rosji, resztę zabrały Austria i Prusy... Tylko króla polskiego już niema;” dodał po chwili posępnie.

„Dlaczego, tato?” zdziwił się chłopak.

„Dowiesz się, jak dorośniesz. Długo by gadać i jesteś za mały. Idź, baw się.”

Michaś nie nastawał. Zdobył i tak dużo cennych wiadomości. Więc najprzód było i jest Królestwo Polskie. Napawało go to dumą. Gdyż Królestwo Polskie musiało być zawsze wielkiem i sławnem. Przecie to polski król Sobieski pogromił Turków pod Wiedniem!

W kilka dni później chłopiec pożyczył od sąsiadów gruby tom jakiegoś starego czasopisma. Było tam trochę wspomnień z ostatniej wojny tureckiej z pochwałami entuzjastycznymi dla czynów generała Bkobielewa. Poza-tem szereg opowiadań i artykułów. Wśród tego dramat o jakiejś polce, Marynie Mniszek, która była carową Rosji. W rozwlekłym i napuszczonym utworze wyraz „lachy” spotykało się na każdym kroku, i to skłoniło chłopca do przerzucenia całego dramatu. Wywnioskował z tego z zadowoleniem, że polacy musieli chyba być bardzo waleczni, skoro zawojowali byli Moskwę.

W ten sposób uzupełnił sobie chłopiec luki w obrazie sprawy polskiej, która go zawsze drażniła i niepokoiła swą zagadkowością... Gdzieś daleko zatem istnieje pełne chwały Królestwo Polskie. Polacy kiedyś bili rosjan, a teraz żyją z nimi w spokoju i zgodzie. Przyjacielem Polski i osobą, godną wszelkiego uznania, jest Biały Car w Moskwie, do którego niepodobna nie czuć sympatji. Wrogiem zaś wspólnym wszystkich chrześcijan jest turek poganin.

Osobiście Michaś pragnąłby zostać Janem Sobieskim albo generałem Skobielewem, aby, jak oni, gromić Turków pod Wiedniem czy na Bałkanach.

XXI.

Rodzice postanowili oddać Michasia do gimnazjum. Znalazło się dlań korepetytora, akademika z pierwszego roku, który podjął się, za skromne wynagrodzenie, przygotowania go do klasy wstępnej. Korepetytor traktował rzecz serjo i umiał wywołać w Michasiu zainteresowanie do nauki. Mimo swego roztrzepania, chłopiec uczył się dobrze. Ojciec mu przyrzekł, że w razie pomyślnych egzaminów, pojedzie latem na wieś, do znajomych.

Na propozycję panny Luby, siostry korepetytora, Michaś zaczął także brać lekcje muzyki, nie pozwolono mu jednak grywać żadnych „kawałków” i zapał pierwotny chłopca szybko ostygł wobec nieskończonych palcówek i ćwiczeń. Wynagradzał to sobie w chwilach nieobecności panny Luby. Zeszyt z ćwiczeniami leciał w kąt i zaczynała się improwizacja. Burzyły się, gniewały basy, z pedałów buchał grzmot potępieńczy, zanosił się od śmiechu, lub zawodziły przeciągle dyszkanty. Myśli chłopca ulatywały w powodzi dźwięków do jakichś zamków zaczarowanych. Z tłuszczy niesfornej nut fortepjanowych wyłaniały się szyki zbrojne i, z hukiem litaurów i bębnow, maszerowały na pola zwycięstw

z Michasiem-Sobieskim na czele. [Chłopak się zapalał i zwykle dopiero okrzyk karcący nauczycielki przerywał przemarsze armji po znękanych klawiszach.

Chłopcy rzadko wychodzili w zimie na podwórze. Dadźka nie puszczano samego, Michaś był przeważnie zajęty. Nie dziw też, że chłopcy czasem dokazywali dla rozrywki, zwłaszcza, gdy rodzice wychodzili, zostawiając ich w domu.

Urządzali ciuciu-babkę, bitwy poduszkami, zapasy ręczne. Michaś padał, niby pokonany, a Dadźko włożył nań, zanosząc się śmiechem radosnym: „aha! powali-i-łem ciebie, aha!” Po chwili sytuacja się zmieniała: Michaś wywracał brata na dywan i Dadźko stawiał opór jak najenergiczniejszy, wierzgając nogami.

Innym razem Michaś pokazywał „cyrk”. Stanął na rękach, zrobił koziołka, poczem zaproponował zachwyconemu Dadźkowi powtórzenie tej sztuki. Malec podrzucał, fikał nóżkami w powietrzu ku wielkiej ucieście brata, męczył się, sapał... Wkońcu się uwziął i wpadł na świetny pomysł. Wsparłszy się o podłogę, starał się zarzucić nogi na ścianę, żeby bodaj w ten sposób stanąć na rękach. Wreszcie udało mu się wznieść obie nogi do pewnej wysokości.

Wykrzyknął zadyszany: „A widzisz, Michaś! Ja chodzę na głowie!”

Na tę scenę właśnie nadeszli rodzice. Spoglądali ze zdumieniem na harce ekwilibrystyczne Dadźka. Malec, nic nie przeczuwając w zapale, chciał unieść nogi jeszcze wyżej, przesunął rękę i trafił przypadkiem na

poprzecznik szczotki do zamiatania. Szczotka uderzyła trzonem po kapeluszu ojca, przypatrującego się z tyłu. Kapelusz zjechał mu na czoło, i ojciec, w odruchu gniewu, wlepił Dadzkowi głośnego klapsa w miejsce, potem od natury przeznaczone. Malec tryumfujący, że tak dobrze stanął „na głowie”, ryknął z przestachu, a Michaś nie mógł powstrzymać szalonego wybuchu śmiechu, za co również oberwał klapsa.

Na znak zadowolenia z postępów Michasia korepetytor ofiarował mu abonament do czytelnicy. Dołączył do tego długi spis dzieł użytecznych. Były tam wykłady popularne, broszury o budowie ziemi, o niebie, o gwiazdach, o roślinach, zwierzętach i t. d.

Michaś przeczytał parę książek z tej listy, były suche i nie zawsze zrozumiałe. Korepetytor rzadko go kontrolował, w katalogu zaś widywał tytuły nęcące powieści Majn Rida, J. Vej.ne'go, G. Aimara... Przypomniało mu to gry w czerwonoskórych na „górze”... Uległ pokusie. Rzucił się zapamiętane w otchłan romansów awanturnicznych. Pochłaniał książki, marząc o strasznych przygodach, celnych strzałach, podstępach wyszukanych. Zdecydował, że pojedzie, jak dorośnie, do Kanady i zostanie słynnym traperem. Byle tylko podrosnąć! Z lekceważeniem spoglądał na towarzyszków zabawy, których zadawał mierny ich byt. Oni nie wyobrażali sobie nawet istnienia cudów, jakie się roiły w głowie Michasia.

Zima przeleciała błyskawicznie. Egzaminy ogłoszono na koniec kwietnia.

Michaś wszedł do dużego gmachu, pełnego krzyków i wrzawy, onieśmielony, z lękiem co będzie, jeżeli nie zda. Ojciec się rozgniewa i zmartwi, mama będzie płakała, korepetytor nie zechce nań patrzeć więcej. Podziwiał wesołość hałaśliwą kolegów. Widać dobrze wszystko umieją, jeżeli nic się nie boją. Zazdrościł im w duchu.

Około siedmdziesięciu chłopców przeróżnego kalibru zgromadziło się dla ubiegania się o godność zaszczytną ucznia wstępnej klasy gimnazjalnej. Gwar się uciszył z wejściem nauczyciela, ale po dyktandzie chłopcy znowu wszczęli rozmowy, szturchali się, dokazywali. Paru nauczyciel wyrzucił za drzwi, innym tylko pogroził. Roztasował duchy niespokojne po różnych końcach sali.

Zaczął się egzamin ustny.

Z sercem, kołatającem trwożnie w piersi, jak ptak w klatce, zbliżył się Michaś do katedry. Dano mu książkę. Z początku głos mu drżał, ale bajka była zajmująca, — czytał więc dobitniej, cieniując po swojemu wyrazy.

„Dosyć," przerwał nauczyciel.

Michaś podniósł głowę z zawodem. „A czy można skończyć, proszę pana? To jest bardzo ciekawa bajka."

„Nie. Innym razem," zaśmiał się nauczyciel.

Kazał opowiedzieć treść przeczytanego ustępu, wyrecytować wiersz; po paru zwrotkach też urwał... troszkę gramatyki...

„Doskonale, możesz iść do domu."

„I to już wszystko?" zdumiał się chłopiec.

Następnego dnia był śmielszy. Zdał arytmetykę. Później książkę, po kilku pytaniach z początków katechizmu,

wysłuchał „Zdrowaś Marja” i poklepał go dobrotliwie po ramieniu. „Poco ja się uczyłem tyle! do samego końca!” pomyślał malec nie bez złości.

W rezultacie trzy celujące, przyjęty do wstępnej klasy. Matka się rozpłakała przy wszystkich, z uciechy.

„Czemu mamusia płacze?!” irytował się Michaś.

Wracało się okropnie wesoło. Chłopiec opowiadał, jak kogo pytano, jak śmiesznie odpowiadali niektórzy, jak mu było łatwo, bo to wszystko świetnie umiał...

Złożono wizytę dziękczynną korepetytorowi, który podarował chłopcu od siebie bajki braci Grimmów. Michaś czytał je dawniej, ale to nic nie szkodzi, bajki zawsze można jeszcze raz przeczytać. Od matki dostał pudełko cukierków. Przyszli znajomi, głaskali go, pieścili. Stał się bohaterem dnia i czuł, że dokonał bardzo ważnego czynu.

W porze obiadowej czekał w bramie na ojca. Ojciec szedł blady, zdenerwowany. Michaś opanował wybuch radości i pewny siebie, podszedł do niego.

„No i cóż?” zapytał pośpiesznie.

„Zdaje się — nieźle.”

„Nieźle? Mógłbyś postarać się lepiej,” pokiwał głową ojciec z westchnieniem ulgi. „Pewnie trzy dostateczne?” rzekł, kierując się na schody.

„Nie,” rzucił chłopak niedbale, „trzy celujące.”

„Pleciesz!” krzyknął ojciec, odwracając się nagle.

„Nie plotę, tatusiu. Doprawdy mam trzy celujące.”

„A toś zuch!” rozjaśniło się ojcu oblicze. „Tak, to

rozumiem." I otarłszy wąsy, porwał syna w ramiona. I nie chciałgo puścić.

„Tatusiowi będzie ciężko, proszę puścić.”

Ojciec się śmiał i niósł go po schodach na rękę. W drzwiach czekała na obu matka roześmiana. Tutaj dopiero ojciec spuścił syna na ziemię, schwycił matkę w objęcia i unióś ją trzykrotnie wysoko do góry... Matka broniła się, krzyczała, że się boi. Nic nie pomogło. Przy-
leciał na hałas Dadźko. Dostał także całusa. I z wrzawą wesołą tysiąckrotnie powtarzanych epizodów egzami-
nowych, śmiechu i wyrazów podziwu, spożyto obiad.

W niedzielę z kościoła wyszli wcześniej, niż zwykle. Zatrzymali się u dołu schodów. Ojciec witał znajomych i po paru pierwszych zdaniach przedstawiał Michasia: uczeń wstępnej klasy, nie byle co. Mam z niego pociechę. Nie głupi chłopak — i greczny.

Michaś się stawiał opornie. Cóż to go tatuś, jak towar, wychwała. W domu zawsze mu wyrzucano, że jest uparty, że inni chłopcy są lepsi dla rodziców. A teraz wychwalają go, że taki niby posłuszny. Irytowała go ta dwoistość sądu u starszych. Bo powinno być albo tak, albo tak.

Sam jednak czuł w sobie wielką, spokojną dumę. Tak mu to przyszło łatwo, a wielu starszych od niego nie zdało. Żaden chłopiec z podwórza nie zdał. To też w rozmowie z nimi podkreślał powagą swego zachowania, że on już jest (prawie) uczniem gimnazjum, — a oni co? ! Z godnością zaznaczał różnicę, jaka pomiędzy nimi za-
chodzi.

Chłopcy traktowali go z szacunkiem wyraźnym

rozpytywali, czy egzaminy są trudne, czy Michaś się bardzo bał.

Odpowiadał, że są chyba dosyć trudne, jeżeli połowa kandydatów się ścięła. Ale dla niego — wzruszył ramionami — egzaminy były, jak nic, głupstwo. I wcale się nie bał, ani odrobiny.

Dobrego tygodnia trzeba było, żeby się Michaś trochę przyzwyczał do zaszczytów swego nowego tytułu.

XXIII.

Rodzice dotrzykali przyrzeczenia. xPani Kórnicka,, krewna państwa Markowskich, gospodarzy z pod „góry”_r zaprosiła Michasia do siebie na całe lato. Za towarzysza podróży miał Antka Dymenko, wysokiego, czarnookiego chłopaka, starszego odeń o dwa lata. Leniwy w ruchach i zachowaniu”, mówił powoli i rzadko ulegał za pałom? które Michasia, na przykład, opanowywały z ogromną siłą. Czytać nie lubił, uczył się dotąd jedynie do wiejskiej szkółki. Co zaś było najciekawsze, urodził się w prawdziwej wsi i zaledwo dwa razy w życiu widział większe miasto.. Mieszkał podobno nad szeroką, spławną rzeką, Udajem, Udaj płynął wśród trzciny i komyszów i zawierał ogromne szczupaki i moc dzikiego ptactwa.

Ale z Antka wszystko trzeba było wyciągać przymocą, tak dalece nie lubił opowiadać. Przewodnictwa w zabawach chętnie odstępował Michasiowi. Czasem wszakże potrafił, zwłaszcza, gdy Michaś w czym się zagalopował, zrobić uwagę, świadczącą, że bynajmniej mu dowcipu nie brakowało.

Mąż pani Kórnickiej, szlachcic zubożały, uprawiał kilkanaście włók roli własnej i wydzierżawionej. Mówił

wyłącznie po ukraińsku, ubierał się, jak chłop, ałe pamiętał wybornie o swem szlactwie i przy sposobności chętnie o tern wspominał. Rządy sprawowała pani Kórnicka. Tęga, dorodna brunetka, o męskich prawie wyrazistych rysach, twarzy ogorzałej, wszystkim imponowała swą energią i siłą. Lubiano ją i trochę się jej bano, za szczerłość i prawdomówność, dające się nieraz ludziom we znaki.

Na stacji czekał na nich sam pan Kórnicki. Milcząco poldepał obu chłopców po ramieniu, zamienił parę słów z żoną. Rzeczy roztasowano na wozie, przywiązano je mocno sznurami i wyruszono.

Z szosy skręcono wkrótce na wiejską drogę, pełną wybojów. Obłoki kurzawy ciągnęły się za wozem. Słońce paliło, jak w lipcu. Konie wlekły się stępa. Wóz trząsał się, skrzypiał, przechylał. Michaś po odbijał sobie boki o meble, maszyna do szycia, wahająca się zdradziecko z tyłu, zrobiła mu sporego guza na głowie... Prawdziwa męczarnia!

Wreszcie słońce zaszło, dopaliły się szczątki zarzewia, zmrok zbawienny osłonił ziemię. Na niebie zatliła się pierwsza nieśmiała gwiazdka.

Dokoła pola nieskończone... Daleko gdzieś, na samym widnokręgu, unosił się nieruchomy płomień czerwony. Może ognisko. Jechano długo, długo, płomień trwał wciąż tak samo odległy, spokojny, niedościgniony. Michasiowi się marzyło przez drzemkę, że oni przez całe życie tak jadą, a ogień zawsze ten sam daleki, dziwnie nieruchomy, czerwony, bez łuny. Udało mu się wreszcie wynaleźć

sobie wygodny kącik pomiędzy meblami i maszyną. Było późno. Niepostrzeżenie zasnął.

Wóz zaczął zjeżdżać z góry, chwiał się i podskakiwał. Michaś przez sen uchwycił się za poręcz. Wóz raz jeszcze się wstrząsnął, o mało nie wyrzucił chłopca i wreszcie się wyprostował. Michaś chciał się posunąć, aby się lepiej urządzić, poczuł zimno w nogach; otworzył trochę oczy, przymknął je, znowu otworzył... Czy śni?

Przed nim, przerośnięta lekko sitowiem, mży się błękitnawo-śtałowa tafla stawu. Nogi jego spoczywają w wodzie, a sam Michaś siedzi oparty plecyma o spód brzegu. Cofnął z lękiem nogi i spojrzał do góry.

Przez czarną płachtę nocy bezksiężycowej dojrzał nagle nad sobą zarys wozu z majaczącymi groźnie sylwetami mebli.

Zerwał się z krzykiem: „Ciociu!”

„Czego chcesz?” odburknęła gniewnie pani Kórnicka. „Czy nie widzisz, że ten głupi Szczepan (tak było na imię mężowi) nas wywrócił?”

Dźwignęła się z trudem, oszołomiona upadkiem i nagłym wytrąceniem ze snu.

„Szczepanie! Gotów jeszcze potrzaskać sobie gnaty;” dodała z niepokojem. „Szczepanie!”

„No i czego krzyczysz?” zabrzmiał tuż obok głos przytłumiony pana Kórnickiego. „Siedzę koło ciebie.”

„Cóżżeś narobił?”

„Ano, zjeżdżaliśmy z tej górki, bodaj ją licha! i meble przeważały.”

Istotnie, przy zjeździe z tarasu wóz się położył na

bok, przewracając konie wraz z panem Szczepanem i wysypując delikatnie resztę zawartości w ludziach na trawnik. Ciężar mebli powstrzymał wóz od stoczenia się na dół.

„Gdzie Antek? Antosiu!”

„Jestem, ciociu,” odparł głos gdzieś zblizka.

Trochę uspokojony Michaś podszedł do kompana. Antek siedział skulony, po turecku, przy wozie.

„Co ty robisz?”

„Wynoś się!” rzekł Antek zgoła bez uprzejmości.

„Czemu nie wstajesz?” badał Michaś.

„Idź do djabła!” powtórzył towarzysz z większą, niż zwykle, energią.

Chłopak stał zdziwiony. Po chwili Antek z trudem się uniósł i zaczął mu wymyślać.

„Przyszedł kpić ze mnie, mądrala! Mnie maszyna przygniotła, nie mogę się ruszyć, a on: czemu nie wstajesz? co robisz?... zamiast dopomóc.”

Rozpalono łuczywo. Flegmatyczny pan Szczepan zirytował się dopiero, ujrawszy namacalnie, że cała maźnica dziegciu wylała mu się na szarawary. Pani Kórnicka podparła wóz na wspólkę z mężem i chłopcami. Krzyknięto na konie. Wóz drgnął, poruszył się, zsunął niżej i powoli, skrzypiąc i trzeszcząc, stanął na kołach. Pozbierano graty porozsypywane i ostrożnie, ze strachem bożym, pojechano dalej.

„Ciociu, skąd tu góra się wzięła? Cały czas przedtem jechaliśmy równiną.”

„A to wały polskie były.”

„Jakie wały?”

„Ano graniczne. Granica tu była kiedyś Królestwa Polskiego.”

Z dziwnym wzruszeniem obejrzał się Michaś na ciemną masę wałów, które mijali, w tej chwili.

Wały polskie... Czuł, jakby do niego również należały, jakby miał jeszcze coś z nimi wspólnego. Więc aż dotąd sięgało Królestwo Polskie? A obecnie nie sięga? Dlaczego?

„Ciociu, a teraz to czyja granica?”

„Niczyja; teraz to przeszło do Rosji.”

Wały polskie przeszły... do Rosji... mimo że jest gdzieś Królestwo Polskie... Jak się to stało? Co to wszystko znaczy?

Zagroda państwa Kórnickich od wsi znajdowała się nieco na uboczu. Ogród owocowy, przedzielony od warzywnego niskim płotem, otaczał dużą ładną chatę o dwóch izbach, z kuchnią i spiżarnią. Do grządek z jarzynami przylegał łan pszenicy. Koło stodoły stał bróg starej, wymłóconej słomy. Na podwórzu mieściły się stajnie dla bydła i nierogacizny. Do okien chaty zaglądały krzaki bzu tureckiego i czeremcha w rozkwicie.

Za zgodą ciotki chłopcy wybrali się przed śniadaniem do kąpieli. Wieś rozłożyła się na wzgórkach nad stawem. Liljowo-różane kępy tymianku porastały stoki. Woń tymianku silna i słodka przypomniała Michasiowi miesiąc, spędzony na wsi przed laty, kiedy był jeszcze malcem. Urwał trochę kwiecica i, roztarłszy w dłoni, wachał z lu-

bością, jak wówczas. Staw złocił się i marszczył pod tchnieniem wietrzyka w łuskę zielonkawą i płową.

Chłopcy wygrzewali się, leżąc nago na piasku. Na pagórku opodal dziewczynka pasła kozy i nuciła jakąś piosenkę, urywając ją od czasu do czasu przeciągłym jękiem—wykrzykiem.

Wchodzili do stawu z tchem zapartym, z brzuszkiem nerwowo kurczącym się pod łachotliwą pieszczotą fali. Wszedłszy po pas, zanurzyli się z głową. Teraz już nie bal i się zimna ani troszeczkę. Naśladowali parowce, tłukąc rękoma i nogami po wodzie, oblewali się zniecka wodą, wydając dzikie wrzaski rozkoszy. Wracali do domu, zziązani i rozleniwieni, jakby nigdy w kąpieli nie byli.

Na propozycj^o Michasia chłopcy "s czterech młodych lipiek rosnących parami, ębudowali „szałas". Posplatali bujne, nisko schylające się gałęzie, przymocowując je do pni, otwory pozostałe opatrzyli suszakiem i burzanem.

„Co to będzie, chłopcy?"

„Szałas."

Pani Kórnicka pogroziła palcem: „Tylko nie łamcie mi gałęzi. A kto będzie w nim mieszkał?"

„A my."

Uśmiechnęła się. „Dwum chłopcom będzie za ciasno. Poczekajcie, przyjedzie Olesia. Którego z was wybierze za męża, ten będzie z nią mieszkał w waszym szałasie. Dobrze budujcie, bez dziur, żeby wam w niepogodę nie zaciekało. Ucieszne chłopaki," mruknęła, odchodząc.

„Jaka Olesia?”

Antek objaśnił, że to jest młodsza siostra Bazylego i Szury Markowskich.

„Aha! wiem. Wojowałem z nimi na „górze”. Et, baba! Wolałbym trzeciego kompana.”

„To nic. Olesia jest zuch i ładna dziewczynka.”

Michaś zrobił grymas pogardliwy, — co go to obchodzi. Antoś był za leniwy i rozmowa na tem się skończyła.

Pani Kórnicka nie lubiła się zajmować kuchnią i na obiad dawano ustawicznie te same potrawy. Szczególniej chłopcy znienawidzili kaszę gryczaną z mlekiem. Protesty ni prośby nie pomagały. Czara cierpliwości się przepełniła, gdy i w niedzielę znowu wjechała na stół uroczyście duża misa kaszy z mlekiem. Podbechtany przez Michasia, Antek w imieniu obu oświadczył, że jeść kaszy nie będą, bo ich po niej nudzi. Poczem opuścili stół obiadowy, uzbrojeni każdy w kawał słoniny i w sporą kromkę czarnego chleba.

Chłopcy bawili się w ogrodzie do samego wieczora, nasłuchując, kiedy ciocia skruszona nie zawoła ich na lepszą przekąskę. Słońce zachodziło, dawno był czas na wieczerzę. A tu nic.

Po skromnym posiłku porannym głód doskwierał siarczyście.

Po naradzie zdecydowali się pójść poprosić o kawał chleba ze słoniną.

„Ale kaszy nie będziemy jedli, niech ich! prawda, Antosiu?”

„Prawda," potwierdził bez przekonania.

Poszli do chaty. Na drzwiach wisiała kłódka. Struchleli. Obiegli zagrodę, żeby poprosić Oksanę o mleko. Nigdzie żywej duszy. Niedziela. Wszyscy wyruszyli na wieś, nawet służba. Zostawiono ich samych, głodnych. Oburzenie ustąpiło miejsca boleści ponurej. Żołądek natarczywie domagał się swych praw. Żołądek nawet w święto nie chciał próżnować. Powrócili do ogrodu.

„Widzisz, co narobiłeś;" zaczął płaczkliwie Antek, odznaczający się wogóle dużym apetytem przy słabej odporności moralnej. „Trzeba było lepiej jeść kaszę. Ciocia umyślnie za karę zostawiła nas bez kolacji i wyszła na wieś. Poco ja cię słuchałem, głupi. Tak mi się jeść chce, że wytrzymać nie mogę."

Michaś nie narzekał, lecz i on byłby jadł teraz z pasją, z rozkoszą tę podłą kaszę. Zbliżyli się do okna. Próżna nadzieja. Zamknięte. I, jak na pośmiewisko, na stole wprost okna stoi misa z mlekiem i garnuszek z kaszą. Michaś tupnął nogą ze złości, Antek zaczął zawodzić.

„Przestań! Starszy ode mnie i beczy. Wstyd. Zaczekaj, może coś wymyślę."

„Co tam wymyślisz! Jestem taki głodny!..."

„Mówię ci, milcz. Nie przeszkadzaj."

Za wszelką cenę należało dostać się do tej utrapionej kaszy. Ale jak? Chłopak obejrzał okno. Szybki były przymocowane warstewką gliny u spodu i drucikami po bokach... Genjalna w prostocie swej myśl strzeliła Michasiowi do głowy.

Scyzorykiem Antka zaczął odłupywać glinę. Antek

przestał się skarżyć i z niejasną nadzieją przyglądał się, co z tego wyniknie. Michaś zeszkrobał glinę, odgiął druciki i wyjął ostrożnie szybkę. Włożyć rękę przez otwór, odsunąć obie zasuwki i wpaść do pokoju było rzeczą jednej sekundy.

Ze śmiechem i gestykulacją wesołą obaj zmiatali na wyścigi kaszę z mlekiem. Po sumiennem wypróżnieniu garnków wyskoczyli z powrotem do ogrodu.

Co jednak począć z szybką, która ledwie się trzymała na drucikach i mogła się stłuc przy najlżejszem dotknięciu?

„Zobaczysz, ciocia się dowie i wybije nas za to, żeśmy wleźli do pokoju przez okno.”

„Daj mi spokój,” ofuknął go Michaś. „Czego się mażesz, jak baba? Także mężczyzna. Przynieś lepiej wody.”

„I cóż z tego będzie?”

„Zobaczysz.”

Michaś wykopał jamkę w przyźbie, nalał wody, dosypał suchej gliny i zamieszał na gęsto. Masa była gotowa. W jednej chwili szybkę oblepiono mokrą gliną, druciki wkręcono, przyprószono to kurzem i ani śladu nie zostało po świeżem włamaniu.

Chłopcy usiedli na płocie koło stodoły i czekali niecierpliwie na powrót gospodarzy. Państwo Kórnicy wrócili dopiero po dziewiątej.

„No i cóż, chłopcy? Głodniście troszkę? Zobaczcie, jak będzie wam smakowała kasza gryczana. Paluszki sobie obliziecie! Może nie?”

Chłopcy mrugnęli złośliwie do siebie.

„Dziękujemy cioci, nie mamy apetytu. A kaszy jeść nie będziemy, bo nam dokuczyła,” wyrecytował Michaś.

„No no,” mruknęła pani Kórnicka, „uparte nasienie, czysty lach.”

„Dawaj no wieczerzę, żono,” odezwał się, zapalając światło pan Szczepan; głodnym jak wilk.”

„Zaraz. Masz na ftole kaszę z mlekiem; więcej nic niema. Ja też sobie kaszy podjem.”

Antek skinął znacząco Michasiowi. Obaj weszli do pokoju.

Pan Szczepan szukał, szukał, wreszcie się rozgniewał. „Gdzieżeś tę kaszę schowała? Nic niema na stole.”

Sarkając na niedołęstwo męskie, przyszła z kuchni pani Kórnicka. Osłupiała. Garnuszek i misa były puste zupełnie.

„Co za lichy! Chłopcy, to wyście zjedli,” zwróciła się surowo do dwóch bohaterów.

Michasiowi język przylgnął do krtani; uratował sytuację Antek.

„Dobrze cioci mówić. Pozamykała wszystko, i okna i drzwi. Jakżebyśmy weszli? Pewno to kot zjadł.”

Ciocia spojrzała na okno. Zamknięte. Istotnie w żaden żywy sposób chłopcy nie mogli dostać się do pokoju. Na wieczerzę jednak nic nie przygotowano. Wypadło iść do snu na czczo.

Podejrzanie spadło na czarnego kota, faworyta,

który ocierał się właśnie z mruzeniem łubieżnem koło nóg swej pani. Biedak dostał nagle takiego klapsa, że iukając, sycząc i plując umknął pod łóżko, gdzie zaczął miauczeć żałośnie z przestrawu.

Po tej przygodzie kasza gryczana rzadko się pojawia w liczbie potraw obiadowych.

Michaś przyrzekł mamusi solennie prowadzić dla niej dzienniczek. Zapisywał tedy:

11. maja. Padał deszcz do samego południa. Widziałem piękną tęczę.

12. maja. Troszkę czytałem. Bardzo gorąco tutaj. Kąpałem się w stawie.

13. maja. Bawiliśmy się z Antkiem w „Bohaterów”. Ja zwyciężyłem.

16. maja. Nic nie robiłem.

17. maja. Zrobiliśmy śliczny szałas, cienisty i nie zacieka. Oczywiście, jeśli niema ulewy.

19. maja. Ma przyjechać Olesia Markowska. Antek mówi, że jest ładna, ale mnie to wszystko jedno.

22. maja. Bardzo mi tęskno za mamusią. Przepisałem z książki 1 % stronicy.

23. maja. Znowu mieliśmy tę obrzydliwą gryczaną kaszę na obiad.

25. maja. Przyjechała Olesia z braćmi, Szurą i Grzesiem, z którymi kiedyś bawiliśmy się na górze.

30. maja. Olesia jest bardzo ładna dziewczynka.

XXIII.

Olesia rzeczywiście była ładną dziewczynką. I, co więcej, wiedziała o tem. Śmigła, wysoka, jak na swój wiek (miała siedem lat), trzymała się z dystynkcją i dumą. Długie kasztanowate loki, przewiązane czerwoną wstążeczką, spadały na ramiona. Mądre, zielonkawe oczy ożywiały pociągłą bladą twarzyczkę z ciekim prawidłowym nosem. Olesia zawsze była ubrana starannie, często zmieniała fartuszki, na białej szyjce nosiła z kokieteryją czarną wążiuchną aksamitkę.

Bracia jej odnowili znajomość z Micbasiem, zaprosili go do siebie i tegoż dnia wieczorem odjechali.

Z początku Michaś nie bardzo wiedział, jak się ma wobec Olesi zachowywać. Nigdy bliżej z dziewczynkami nie miał do czynienia. Uważał je za głupie bekisy lub ciamajdy do niczego, co ani biegać, ani bawić się nie potrafią.

Tu było inaczej.

Olesia odmówiła wprawdzie brania udziału w hałaśliwych grach z bieżaniną i łażeniem po drzewach, męczyła się szybko i dbała zbytnio o to, by nie zawałać sukienki. Ale ani wstępna klasa Michasia, ani starszość Antka bynaj-

mniej jej nie imponowały. Traktowała chłopców tak, jak gdyby ona była właściwie starszą. Bawiła się lalkami, jak wszystkie inne dziewczynki, ubierała je i rozbierała, karmiła, kładła spać do łóżeczka, nawet szyła dla nich spódniczki. Na kpiny Michasia odparła, wydymając wzgardliwie dolną wargę, że tylko chłopcy nie mają nic lepszego do roboty, jak latać i wrzeszczeć po warjacku albo zbijać kijem stare pokrzywy i łaźić po brudnych drzewach. Zachowywała się wogóle z nadzwyczajną swobodą i pewnością siebie.

Chłopcy zaczęli wkrótce ulegać jej wpływowi; później obudziła się w nich ochota przypodobania się ładnej Olesi. Na wyścigi znosili jej różne ciekawe rzeczy: liście rzadkie i kwiaty, żuczki rogate, motyle z trupią głową na skrzydłach...

Olesia przyjmowała dary, jako hołd jej należny, z godnością królowej. Michaś się dziwił, jak mogła mu się podobać jakaś dziewczynka. Pocieszał się, że Olesia nie jest podobna do innych, jest przystojna, mądra i nigdy nie beczy. Złościł go tyłko Antek. POCO on się do niej umizga?

Ulubioną zabawą Olesi była gra w męża i żonę. Nigdy jej to się nie sprzykrzyło. Wybierano przysty kącik na przyźbie koło płotu. Olesia rozstawiała mebelki dla lalki: stołeczki, łóżko, kanapkę i szafkę, brała lalkę na kolana i siadała razem z Michasiem na ławeczce składanej. Michaś był mąż, Olesia żona, a lalka ich dziecko. Antek przychodził do nich z wizytą.

Zaczynała się rozmowa. Olesia opowiadała gościowi,

że dziecko im zachorowało, że się strasznie o nie boi; pytała, jak zdrowie żony Antosia.

Antoś się dziwił. „A kto jest moją żoną?”

„Głupiś,” irytowała się Olesia. Nie możesz sobie wyobrazić? Powiedz, że jest chora albo zdrowa. No tak, jakbyś rzeczywiście miał żonę.”

Z powagą powtarzała pytanie.

„To już chyba... zdrowa.”

„Bardzo się cieszę. A jak zdrowie pańskich dzieci?”

„Ja nie mam żadnych dzieci!” złościł się Antoś.

„Ale mógłbyś mieć, Antosiu. Miej dzieci, naprawdę,” przekonywała Olesia. „Tak ciekawiej się bawić.”

„I cóż z nimi będę robił?” posepniał gość.

„To nic. Powiedz, że ci się urodził syn.”

„No dobrze, urodził mi się syn. I co dalej?”

„Opowiedz, jaki syn: duży czy mały...”

„No duży.”

„Jakiś ty głupi, Antosiu,” niecierpliwiła się Olesia. „Czy to dzieci się rodzą duże? Ja widziałam syna pani Barczenko, zaraz jak się urodził. Taki był malutki.”

„Et, duży czy mały! Czy ja wiem? Zawracasz mi głowę. Wszystko to są babskie brednie; nie chcę się w to bawić!” rozgniewał się Antoś, przypomniawszy sobie, że ma dziesięć lat i jest prawie dorosły.

Bez trzeciego jednak gra nie była zajmująca. Olesia zaczynała prosić, przymilać się, uśmiechać. Umiała to, oho!

W Antosiu kruszyła się zawziętość, w końcu mruczając, ustępował. Dobrze Michasiowi; siedzi i nic nie mówi,

a on musi ciągle opowiadać, wymyślać. Teraz on będzie mężem Olesi, niech Michaś będzie gościem.

Michaś protestował, ale Olesia zapowiedziała, że się nie będzie z nimi bawiła, jeżeli się nie zgodzą spełniać te dwie role po kolei.

Michasiowi szło znacznie łatwiej, niż kompanowi. Opowiadał, że dzieci jego mają się lepiej, ale żona zachorowała, że kupił majątek i dom za stawem. Zapraszał do siebie i prowadził towarzystwo do maleńkiej kałuży w ogrodzie, co pozostała po deszczu środowym. Szałas „pod lipami” był pałacem, kałuża stawem.

Antek wybuchał śmiechem. Michasiowi było trochę wstyd, że dziecinne bajdy wymyśla. No ale cóż on miał robić, gdy się to podobało Olesi, a Olesia jemu się podobała coraz bardziej, chociaż nikomu byłby się do tego nie przyznał. Zresztą Olesia w takich razach była zawsze po jego stronie. Chwaliła nabytek Michasia, podziwiała rozległość jeziora w jamce.

„A czy dużo tam ryb?”

„Z pięćset pudów.”

Antek znowu parsknął.

„To przecież gra;” złościł się chłopak. Powiedz mu, Olesiu.

Olesia karciła surowo zuchwalca. „Bo inaczej nie będziesz moim mężem.”

Antek milkł, kryjąc uśmiech drwiący w głębi leniwych, czarnych oczu.

Długo trwały te czasy szczęśliwe. Aż się skończyły.

Pewnego piątku kolej być mężem przypadła na Michasia. Antek jednak nie chciał ustąpić mu miejsca.

„Co ja mam jakieś głupstwa wymyślać! dokuczyło mi i nie umiem. Niech Michaś będzie gościem; on doskonale opowiada.”

„No to niech Michaś będzie gościem znowu.”

Uragąło to poczuciu najprostszej sprawiedliwości. Chłopak się obruszył. Nie. On będzie mężem, to jego kolej.

„Michasiu, ja proszę,” namawiała Olesia. „Z Antka bardzo dobry mąż, siedzi i milczy, przytakuje; a ty rozmawiasz, układasz różne historje.”

„Nie.”

Olesia przyzwyczała się do tego, że chłopcy spełniali wszystkie jej życzenia. Uparła się, aby postawić na swoim.

„Michasiu! masz zaraz być gościem; inaczej nie będę się z tobą wcale bawiła. Antoś zostanie moim mężem.”

„To nie trzeba. Niech sobie Antek będzie czem chce, a ja gościem nie będę.”

Odszedł rozgoryczony. Kiedyś taka, dobrze. Zobaczymy, jak gra pójdzie bezemnie. Wszystko mi jedno.

Zaczął budować twierdzę w odległym kącie ogrodu. Niestety, nie mógł spokojnie przeboleć obrazy. Oglądał się mimowoli, nasłuchiwał. Posłyszał głosy Olesi i Antka. Pewno idą go przeprosić, żeby się nie gniewał. Z mściwą uciechą roił, jak obojętnie ich przyjmie i powie, że teraz już nie chce być mężem, bo mu dokuczyła ta głupia zabawa. Kopał tedy rowy i sypał wały, nie zwracając pozornie

najmniejszej uwagi na zbliżającą się parę. Serce zabiło mu żywiej. Rzucił nieznacznie okiem. Poczł ukąszenie jadowite żądła zazdrości.

Olesia szła pod rączkę z Antosiem, jak prawdziwa żona i rozmawiała. O czym? Ten Michaś sobie wyobraża, że bez niego niema zabawy. Otóż ona właśnie woli Antka na męża, ponieważ jest grzeczny chłopak, nie żaden narwaniec.

Antek z głośnym śmiechem pokazał palcem na Michasia: „Patrz, Olesiu, on kopie ziemię, jak szczur.”

Na to dziewczynka niby współczująco dorzuciła: „Nie zaczepiaj go, Antosiu. Widzisz, jaki on biedny. Nie ma z kim się bawić.”

Michaś ledwo pohamował wybuch wściekłości i zaczął gwizdać na dowód, że nic sobie z nich nie robi. Przez lalka dni nie rozmawiano prawie z sobą. Michaś posmutniał. Wojował z pokrzywami, chodzi! bawić-się do stodoły. Bolała go jednak bardzo obojętność dziewczynki.

Olesia nie unikała Michasia, owszem przy spotkaniu nieraz strzeliła weń oczkiem, poprawiając niby od niechcenia sukienkę. Dokuczała Antkowi, który zresztą jej się odcinał, gdy go wyprowadziła z cierpliwości. Michaś spostrzegł tę taktykę i nowa nadzieja zaświtała mu w duszy. „Ma pewno dosyć tego niedźwiedzia. Wolałaby się ze mną pobawić.”

Uczucie goryczy roztapiało się, nikło. Owszem Olesia nabrała w jego oczach nowego wdzięku.

Ale jak to zrobić? Podejść pierwszy? prosić, ofiarować swój udział? Za nic na świecie!... Dopomógł przypadek.

Przeglądając grządkę z truskawkami, wynalazł wśród trawy olbrzymią jagodę. Przyszło mu na myśl pochwalić się nią Antosowi: niech się pozłości, że przegapił taką śliczną jagodę. Niósł truskawkę w dłoni i szukał Antka. Na skrócie alei zobaczył niespodzianie Olesię. Siedziała na ławeczce z lalką na kolanach, nuciła coś, kołysząc w powietrzu smukłymi nóżkami, niedosięgającymi ziemi. Michaś zatrzymał się, jak wryty. Olesia najmilszym głosem pod słońcem zapytała, co trzyma w ręce.

Zapomnia¹ o wszystkich urazach w jednym okamgnieniu. Sta przez chwilę, nie wiedząc, co ma uczynić. Szybkim ruchem złożył truskawkę na kolanach Olesi i z całej siły popędził z powrotem, radosny i zażenowany. W ten sposób pokój został przywrócony. W dodatku Olesia rozgniewała się na Antosia za to, że przez głupi żart zawałał jej czysty fartuszek.

„Wielkie rzeczy fartuszek! pha!” Antos gwizdnał wzgardliwie. „Zadawać się z babami też nie potrzebuję.”

Pierwszy czas po pogodzeniu się, Olesia była bardzo miła. Bawili się ciągle. Czasem Olesia była żoną Michasia, czasem znowu była piękną turczynką, chowała się, uciekała, a on tropił ją, gonił, chwycił i oboje zdyszani wracali do szałas z lip, ich domu. Albo Olesia brała go pod rękę i spacerowali po alei. Zupełnie jak starsi.

„Ciocia Mania zawsze tak chodzi ze swoim mężem i dorośli panowie z pannami.”

Olesia bowiem strasznie lubiła robić wszystko, jak starsi i marzyła tylko o tem, by prędzej dorosnąć.

Antek pozornie ich ignorował. Ciskał kamieniami

w drzewa, płoszył ptaki, chodził sam do stawu do kąpieli, z Michasia podrwiwał. Pewnego razu wyrzucił suszak i odwiązał gałęzie szałas lipowego. Na protest Michasia oznajmił, że oni razem szałas budowali, więc ma prawo do zburzenia swojej połowy.

Oczywiście, byle na złość zrobić. I Olesia też była tego zdania. Ale co ją tak w tym Antku interesuje, że ustawicznie dopytuje się o niego? A czy mówił co o niej? a czy jest zły na nią?... i temu podobne. I nawet dąsa się na Michasia, jeżeli ten powie, że Antek kpi z niej lub wcale o nią nie pyta.

XXIII.

Nastąpiły okropne upały, nie wyłaziłoby się wprost z kąpieli. W okolicy pojawiły się wściekłe psy. Do ogrodu przestano prawie chodzić: a nuż wściekły pies przeskoczy przez płot i rzuci się na nich. Co to można wiedzieć. Bawiono się na podwórzu, pierzchając przy każdym podejrzanym hałasie do chaty.

Olesia przywróciła Antka do dawnych łask, a nawet była dlań bardziej uprzejmą, niż dla Michasia. Chłopak cierpiał z tego powodu. Zabawy mu się znudziły. Pułki wrogów, z którymi niedawno jeszcze tak dzielnie walczył, zamieniły się zpowrotem w pokrzywy i zakurzone burzany. Do odnowienia zniszczonego szałas nie miał najmniejszej ochoty. Nigdzie nie chciało mu się wychodzić, ciągle by przesiadywał koło Olesi. Ale Olesia była coraz zimniejsza, coraz obojętniej sza. I równocześnie taka miła i ładna, że rozpacz.

Raz by ją bił, bił ze złości, drugi raz — wstyd się przyznać do tego — byłby ją całował. Do Antka żywił głuchą niechęć. „Co też się jej w nim podoba? Książek nie czyta, leniuch; nie umie szybko biegać, nic nie potrafi odrazu skombinować. Chyba że wyższy odemnie.

Aha! prawda! słyszał, jak ciocia mówiła do pana Szczepana: „A wiesz, ten Antek rośnie na ładnego chłopaka.”

Michaś z każdym dniem spostrzegał w Olesii nowe objawy zajęcia się Antosiem. Przyniósł jej bukietek niezapominajek, zebranych nad stawem. Olesia grzecznie podziękowała, postawiła niezapominajki do szklanki z wodą. Antek to zauważył, pobiegł do ogrodu i zerwał gałązkę różowej malwy. Po chwili Olesia gawędziła z nim z przechyloną na bok główką i z miłym uśmiechem na ustach. Do fartuszka przypięła gałązkę malwy... kwiaty Michasia zostały gdzieś zapomniane, w pokoju. Chłopak odczuł to, jak zniewagę.

„Muszę jej powiedzieć, muszę!”

Nie wiedział, co właściwie jej powie, tylko tak trwać dalej nie może. Spotkał ją wreszcie w ogrodzie samą. Nie chciała go z początku słuchać.

„Puść mnie; nie mam czasu. Coś chcę powiedzieć Antosiovi. Nie wiesz, gdzie poszedł?”

„Co mnie to obchodzi! Nie wiem. Ja także chcę ci coś powiedzieć.”

„No,” niecierpliwiła się, „mów prędzej.”

„Nie chodź do Antka, Olesiu; nie baw się z nim.”

„Tsss. a to dlaczego?”

„Bo on... boja cię bardzo, bardzo lubię!”

Dziewczynka prychnęła noskiem lekceważąco i, wrzuciwszy ramionkami czupurnie, odparła: „A to lub sobie, cóż mi do tego?”

Michaś pozostał zboląły. Czem ją obraził? Nic prze-

cięż nie powiedział złego. Unikał obojga przez cały dzień. „Żeby wiedzieli!” Nie zwrócili nawet uwagi!

Wieczorem wszyscy troje stali na podwórzu przed chatą. Księżyc miał się dopiero urodzić. Było okropnie ciemno. Raptem przybiegła służąca Oksana. Gospodyni posłała ją na wieś, wracała mimo obory i słyszała tam dziwne hałas...

„O! znowu... znowu!” wyszeptała z lękiem, pokazując na oborę.

Dzieci przysłuchiwały się podniecone. Cichy regularny szmer, jakby cykania jakiegoś płynu do blaszanego naczynia, dolatywał wyraźnie.

„Co to jest?” spytała z niepokojem Olesia.

„Pst...” syknęła Oksana. „Matko przeczysta! I do nas doszło. Toż tam są krowy, i w tej przedziałce stoi Kraska.” —

„Cóż z tego?” zdziwił się Michaś.

„W^Tiedzma doi Kraske — ot co!”

„Wiedzma ?!”

„A pewnikiem wiedźma. To panicz nie wie, że to są takie złe baby czarownice, co z djabłem mają kon-szachty i ludziom lubią płatać figle?”

„Pocóżby wiedźma doiła krowy?” zapytał trochę pod wrażeniem tej wiadomości.

„Po co? A no, żeby mleko zabrać. I krowy wydoi tak, że krew idzie z wymion; czasem przez kilka dni później nie dają mleka. Albo zupełnie krowy zepsuje. Psst! Słyszycie?”

W ciszę wieczoru wkradło się znowu przygłuszone cykanie mleka o cynowe naczynie.

„Ja się boję," szepnęła Olesia. Możebyś poszedł, Antku, zobaczyć."

Antek bynajmniej się nie spieszył. „Madras! A co, jak wiedźma mnie zepsuje? prawda, Oksano?"

„Prawda, paniczu. Oj, Boże-ż mój miły!... znowu doi."

Michaś się zdecydował. On im pokaże, kto jest prawdziwym mężczyzną.

„Et, Oksano! głupstwa pleciesz. Ja nigdy nie czytałem o wiedźmach. To wszystko bajki. Pójdę i zobaczę."

Chłopak mówił głośno. Sam nie czuł takiej pewności siebie, ale mówił głośno, bo to i odwagi dodaje, i tej wiedzy, czy komu tam, pokaże, że on się jej nie boi.

„Oj, paniczu złoty! jeszcze jakie lichy do panicza się przyczepi; — nie chodźcie!" krzyknęła struchlała Oksana.

„A ty się nie boisz, Michasiu?" zaciekawiona spytała Olesia.

„Oczywiście, że nie;" odparł z pychą. „Prawdziwy mężczyzna niczego się nie boi."

Ze świadomością swego bohaterstwa wyciągnął z płotu spory kij, (zawsze się jakoś pewniej człowiek czuje) i ruszył naprzód.

Cykanie ustało.

„Może się nastraszyła wiedźma," pomyślał nie bez ulgi, skradając się do ciemnej ściany stajni, plecionej z wikliny i leszczyny.

Cykanie znowu się rozpoczęło. Ktoś, może Kraska, hałaśliwie wzdychał, ktoś doił, pomrukując pod nosem od czasu do czasu. Lęk zimnemi pajęczynkami pobiegł po plecach, dostał się na piersi. Serce zabiło trwożnie... Drapnąć? Wstyd! Zbuntowała się duma. Za ścianą bulgotało mleko w dzbanie cynowym i ktoś mruczał wciąż, jakby przemawiał.

Michaś zamachnął się i z całej siły walnął kijem w ścianę.

„Jezu Chryste!”

Michaś poznał głos pani Kórnickiej i czempzędzi popędził na palcach do chaty.

Nie było nikogo. Uciekli widocznie. Trochę zły, że nie zaczekali na niego, wszedł do izby. Olesia siedziała na kanapie i spokojnie rozmawiała z Antosiem.

„Tchórz jesteś, Antek. Także starszy!” ze wzgardą zwrócił się do niego. „To ciocia doiła krowę. A ja ją nastraszyłem, tylko nie mówcie nikomu.”

Olesia się śmiała. Antek spróbował osłabić wrażenie michasiowej odwagi.

„Masz się czem chwalić! Ciocię nastraszył!”

„Tak!... a sam bałeś się pójść; może nie?”

„Cóż z tego? Myślałem, że to prawdziwa wiedźma. Wiedźma, wiadomo, może każdemu nogę złamać, głos odebrać lub wzrok wykrzywić. A on ciocię straszy! bohater!”

„Gadaj sobie,” obruszył się Michaś. „Tchórz jesteś i basta!”

„Et, daj mi spokój z głupstwami!” I Antoś odwrócił się od Michasia.

Olesia, niby nie słysząc sporu, układała lalkę do łóżeczka, sprzątała zabawki. Zjawienie się ciotki, mocno wylęknionej, przerwało dalszą sprzeczkę.

Opowiadała, że sama doła krowę, ponieważ Oksa na miała wrócić późno. Wtem jak huknie coś w ścianę! Jak grzmot. O mało Kraska wiadra nie wywróciła. I co to takiego mogło być? Czy zmarł nagle kto z krewnych? Czy duszyczka grzeszna przyszła z tamtego świata upomnieć się o modlitwę?... Ciocia z ciężkim westchnieniem zaczęła odmawiać modlitwę „za dusze zmarłych.”

Więc tak? Nawet nie popatrzyła na mnie. I śmiała się, gdy ten tchórz kpił z mego męstwa! — myślał Michaś z goryczą, przewracając się w łóżku. Trudno, ona kocha go, widać. Ale Michaś nie będzie prosił o łaskę. Obejdzie się i bez Olesi. Przykro okropnie do łez zrobiło mu się na tę myśl, ale dzielnie jej spojrzął w oblicze szydercze. Dobrze, niech Antek będzie jej mężem. Później oceni, jak źle postąpiła, wybierając sobie tego nieuka i tchórze... Wielkie rzeczy, że ładny chłopak. Nigdy jeszcze nie czuł tyle pogardy dla męskiej urody. Od jutra nie będę się z nimi bawił. Nie będę się kłócił, będę grzeczny, ale więcej nic! — przyrzekł sobie z zaciekłością surową.

Michaś wykonał postanowienie. Rozmawiał, ile wymagała konieczność, był uprzejmy, lecz nic ponadto. Na próby wciągnięcia go do zabawy, stale się wykręcał, że nie ma ochoty, może później...

Wały sraiiik-zne-

Z początku Olesia mało na to zważała; potem zaczęła go zagadywać, kokieteryjnie poprawiając fartuszką lub wstążeczkę we włosach.

— A później będzie się z Antkiem ze mnie wyśmiewała! — mówił sobie w duchu i uchylał się od wszelkich pogawędek. Inna rzecz, że ciągnęło go nieprzeparcie do Olesi. Chociaż przejść obok, chociaż okiem rzucić.

Zbliżała się pora odjazdu. Pan Kórnicki miał odwiedzić Olesię do innej ciotki w sąsiednim powiecie. Olesia posmutniała. Czasem bawiła się wesoło z Antkiem, biegając za nim z rozwianym warkoczem, czasem wymawiała mu, że nie jest grzeczny, nic nie umie wymyślić, dąsała się nań całymi dniami. To znowu pogodzona, zalotna, spacerowała z nim pod rękę, jak żona z mężem. I zawsze jakoś wybuchy wesołości i gniewu następowały w obecności Michasia, zawsze na spacer Olesia wybierała miejsca, gdzie on się zwykle bawił, jak gdyby jej zależało na tern, żeby Michaś wszystko to widział.

Żuł w sobie gniew zazdrosny i gorzki tryumf kolejno. Sama tak chciała!

Mijały ostatnie dni. Olesia przycichła, twarzyczka jej, w otoczy złoto-kasztanowatej grzywki, przybladła. Antka prawie ignorowała, odpędzała od siebie. Antek udawał, że nic sobie z tego nie robi, w rzeczywistości martwił się i ciągle ją przeproszał.

Pewnego razu Michaś przechodził niby przypadkiem mimo ławeczki pod krzakami bzu, gdzie lubiła siadywać Olesia.

„Michaś," zawołała po cichu.

Zrobiło mu się gorąco, potem zimno, takim to wymówiła tonem pokornym, proszącym. Zatrzymał się.

„Nie chciałbyś troszkę pobawić się ze mną?”

Tysiąc myśli zerwało się, jak ptactwo, zaskoczone burzą. Powiedzieć jej, że tak, że dawno o tem marzy, że mu było cały'czas bez niej tak ciężko, tak smutno!... A później? Ona go znowu porzuci, będzie drwiła wraz z Antosiem. Tyle już razy było tak samo.

Gorycz **Wspomnień wezbrała. Z pochmurną zaciętością** odparł: „**Nie mam czasu. Lubisz Antka, to baw się z nim.**”

Olesia dziwnie błysnęła oczyma. Jakie szerokie, i jaka i na blada — pomyślał machinalnie... Wstała z ławeczki i cicho, bez jednego słowa, odeszła do pokoju.

Złe jakieś zadowolenie, że się pomścił, że zrozumiała teraz, jak to przyjemnie, że on, mężczyzna, postanowił i zrobi¹, zmieszało się z litością i niepokojem. Wkońcu prawie że żałował swej odpowiedzi Olesi. Może ona Antka więcej nie lubi, może ona serjo... Ale jak to odrobić? Pewno się obraziła.,

Przez kilka godzin zrzędu czyhał na sposobność. Spotkał Antka. Antek szedł zafrasowany.

„Dokąd idziesz?”

„Do Olesi. Nie widziałeś jej gdzie?”

„Nie.”

Michał ruszył ostro w przeciwnym kierunku. Brało go jednak chwilami rozczulenie, że tak do niego przemówiła. Cały ten dzień nie widział Olesi. ni Antka. Widocz-

nie bawili się razem. Wieczorem Antek zapytał Olesię, co ona robiła, że jej nie mógł nigdzie znaleźć.

A więc nie bawiła się z Antkiem. Michaś chciał podejść do niej. Ale dziewczynka zaraz po kolacji położyła się spać, nie rozmawiając z chłopcami.

Michaś nie mógł zasnąć. Wyrzucał sobie swoje zachowanie się z rana, myślał z boleścią, że jutro Olesia wyjeżdż?, kręcił się, wzdychał. Wydało mu się, że słyszy łkanie tłumione.

W sąsiednim pokoju śpi Olesia. Nasłuchiwał.

Znowu łkanie. Stanowczo się nie mylił. Wahał się krótko, wstał i zbliżył się pociemku do jej łóżka.

Podłoga skrzypnęła. Łkania się nagle urwały.

„Olesiu!”

Milczy.

„Czemu płaczesz?”

Cisza, później sucha odpowiedź: „Wcale nie płaczę. Idź sobie, ja chcę spać.”

Michaś powstał chwilkę; wrócił do siebie.

Ostatni poranek. Michaś postanowił dziś wyjątkowo cały czas spędzić z Olesia, choćby i Antek był. Wszystko jedno, skoro wyjeżdża. Snuł się za Olesią ponury, jak noc.

Olesia odzyskała dawny humor. Śmiała się hałaśliwie. Biegała z Antkiem. I tylko chwilami Michaś czuł na sobie przelotne i dziwne jej spojrzenie.

„Chcesz, Antku, podaruję ci na pamiątkę wstążeczkę?”

Tego Michasiowi było trochę za dużo. Odwrócił się i poszedł w inną stronę. Spostrzegła jego ruch, dopędziła jednym skokiem.

„Chcesz, Michasiu, i tobie dim.”

Wzruszył ramionami. „Daj Antkowi, mnie nie potrzeba.”

Całe ożywienie Olesi upadło. Nie odpowiadała na żarty Antka. Zbierała zabawki, znowu je rozrzucała. Poszła pomagać Oksanie w układaniu jej rzeczy.

Obiad się odbył przy grobowym nastroju. Wszyscy ubolewali, że Olesia wyjeżdża. Pan Kórnicki pokręcał węża i melancholijniej, niż zwykle, spoglądał na świat; ciocia wciąż zachęcała Olesię, żeby jadła więcej, bo inaczej byłaby głodna w drodze; chłopcy siedzieli przygnębieni.

Po obiedzie zaprzężono wóz, złożono pakunki, pan Kórnicki usiadł sam i usadził wygodnie Olesię. Ciocia wyszła do pokoju, żeby ukryć łzy. Chłopcy stali koło wozu. Antek był nasepiony; fala rzewności i żalu chwilami uderzała w Michasia z taką siłą, że ledwo się mógł pohamować.

„Zegnajcie się, chłopcy. Szkoda Olesi, ale czas już w drogę.”

Wszyscy się poruszyli.

„Do widzenia,” zaczęła Olesia.

„A moja wstążeczka?” przerwał Antoś.

Olesia spojrzała na niego, na Michasia.

„Idź sobie! nie lubię ciebie.” I rozwiązawszy w jednym okamgnieniu kokardkę pod woalką, wyciągnęła wstążeczkę czerwoną.

„Masz Michasiu, jemu nie dałam.”

Chłopak zacisnął w dłoni wstążeczkę, oddychając szybko. Wymówił: „Olesiu!” — i nie mógł skończyć

A ona, odrzuciwszy woalkę, schyliła się z wózka i zajrzała mu w oczy swą zieloną w skierki złociste kocią źrenicą. Zobaczyła tam coś widać bardzo miłego dla siebie, bo nagle zarzuciła mu rączki na szyjkę i mocno, mocno ucałowała.

„Mój Michasiu! ja tylko ciebie jednego lubię, więcej nikogo!”

Skinęła główką po królewsku osłupiałemu Antosiowi. „Jedźmy, dziadziu.”

Konie ruszyły. Okrzyki pożegnania. Olesia powiewała białą chusteczką. Michaś wywijał czapkę. Był ogłuszony.

— To ona lubi mnie, nie Antka? Dopędzić ją, powiedzieć dużo, dużo, że on ją strasznie lubi i lubił, że mu było tak smutno. Ten głupi Antoś myślał, że Olesia jego lubi! Śmiać się z niego... Krzyczeć z radości... Cóż, kiedy pojechała!

Wóz skręcał za róg ulicy. Ostatnie skinienie chusteczką, — znikli. Antek gdzieś uciekł.

Już jej nie zobaczy. Odjechała! Poszedł w głąb ogrodu, walcząc po męku ze łzami, co się same zdradziecko cisnęły do powiek.

XXV.

Brak Olesi dawał się odczuć na każdym kroku. Michaś ustawicznie rozpamiętywał chwilę rozłąki i pożegnania. Tęsknił za nią ogromnie. Obaj z Antkiem unikali rozmowy o niej. Bawili się od niechcienia, zresztą się nudzili. Zawadzali i dokuczali domownikom. Wkońcu, na prośby natarczywe Antka, pani Kórnicka zdecydowała się odwieźć go do domu.

Rodzice Antka mieszkali daleko i nieobecność pani Kórnickiej potrwała kilka dni. Chłopiec się czuł strasznie osamotnionym i wykolejonym. Bawić mu się nie chciało. Włóczył się po sadybie i myślał, co teraz Olesia robi, czy nie zapomniała jeszcze o nim. Oksana powiedziała mu, że w szafie na strychu jest sporo książek.

Wylazł na strych i po długich poszukiwaniach, w stosie podartych i zakurzonych tomów, wpadł na powieść pod tytułem: Rok 1812. Opisy bitew, potyczek i podejść wojennych zajęły chłopca. Ale jedna szczególnie wzmianka tknęła go do żywego. W liczbie narodów, towarzyszących Napoleonowi, wymienieni byli także polacy.

Daremnie przerzucał ręką niecierpliwą pożółkłe karty, szukając jakichś innych, bliższych o tem wiadomości,

Dowiedział się, że jeszcze przed stu niespełna laty polacy wojowali z Rosją i byli w Moskwie. I nic ponadto.

Zaczynały się żniwa. Nikt nie miał teraz czasu na pilnowanie chłopca i państwo Kórnicy postanowili skorzystać z zaproszenia Michasia do p. p. Markowskich. Chłopiec był również zadowolony z tej zmiany.

Droga do Wasinek, majątku p. p. Markowskich, była podobną do innych, które Michaś znał już wybornie. Dokoła łagodnie falujące złote morze pszenicy. Wszędzie na widnokręgu sioła z białymi chatkami, wyglądającymi wesoło z pośród sadów wiśniowych, z cerkwiami przetrzymi o zielonych, baniastych kopułach. Tu i owdzie przy drodze cmentarzyki skromne, bez drzew, pełne kwiatów i szmeru pszczół. U góry be/deń błękitu niepokalana z wirującymi słupami rozżarzonego powietrza. Ciężki wąż siwej kurzawy leniwie się wlecze z tyłu za wozem... Upał.

Na skrzyżowaniu dróg przed wsią, co należała za czasów pańszczyzny do rodziny Markowskich, stał czarny, wysoki krzyż. Woźnica objaśnił, że krzyż ten kazał postawić za polskich czasów prapradziad dzisiejszych pańszczyźników, który sam był łacińskiej wiary.

Więc i tu sięgały polskie granice... Odruch niejasny dumy na tę wiadomość łączył się znowu z uczuciem drażniącej tajemniczości. Dlaczego i kiedy nastąpiła ta zmiana?

Dwór Wasinkowski był świetnie położony: na stromym wzgórzu nad stawem. Staw leżał w mokrej dolince;

po obu jej stokach rósł rozległy park z ogromnemi drzewami zapuszczony w prawdziwy las. Pola i ogrody warzywne przypierały z tyłu do dworu. Przed gankiem zielenił się bujny trawnik. Dworek parterowy, budynek zbudowany z drzewa, na ceglany fundamencie, zamieszkały był tylko w połowie, drugą połowę zajmowała olbrzymia sala, gdzie kiedyś ponoś odbywały się bankiety i maskarady, — dziś gniezdziły się pająki i szczury.

Rodzice Markowskich umarli młocło. Domu i dziatwy doglądała leciwa już ciotka, stara panna. Najstarszy syn Bazyli zarządzał gospodarstwem polnorn, pod opieką jednego z obywateli okolicznych.

Markowscy znacznie się zmienili od czasu pierwszej znajomości z Michasiem. Grześ i dawniej go mało obchodził; Szura zachował swe sympatyczne cechy koleżeńskie. Nieco poważniejszy, tak samo był ożywiony i wesoły, serdeczny i zapalczywy. Traktował Michasia, choć starszy, jako równego sobie.

Bliżej się chłopak zapoznał teraz z Bazylim. Bazyli miał już około siedmnastu laf śmiał się niskim, basowym śmiechem, robił z siebie „dorosłego”, i resztę rodzeństwa nazywał dzieciarnią. Codziennie wyjeżdżał do robót w polu, w niedziele zaś i święta odwiedzał znajomych z obywatelstwa, lub konno paradował przez wieś, aby przyjrzeć się ładnym dziewczętom. Jechał stępa, z miną gęstą i pyszną, odpowiadając na niskie ukłony włościan skinieniem szpicruty.

Bazyli czytywał gazety, dyskutował o szlacheckich wyborach powiatowych i uważał się za człowieka skoń-

czenie wykształconego, zwłaszcza w sprawach polityki zagranicznej. Przy całej swej zarozumiałości posiadał dobre serce i był pobłażliwy dla służby i włościan, pomimo wyzwisk i odgrażań się strasznymi plagami.

Nie lubił natomiast, by mu przypominano o walkach Ducha Puszczy z indjanami na „górze” i o gimnazjum, które, od trzeciej klasy opuścić musiał za wyraźną poradą ciała nauczycielskiego. Bazyli chętnie rozprawiał z Michasiem, jako, że ten tyrad jego i przemów wysłuchiwał zawsze z uwagą i szacunkiem.

Michaś szybko się oswoił z trybem życia w Wasinkach. Gospodarze nikogo nie krępowali. Każdy robił, co mu się tylko podobało, pod warunkiem stawienia się po trzecim dzwonku do obiadu, podwieczorku lub kolacji. Michaś kąpał się z chłopcami, zbierał jagody, chodził po grzyby do lasu. Rozrywek nie brakowało. Tęsknota za Olesią traciła swój ostry charakter, rozplywając się w szeroki rzewny nurt wspomnień. Przywiązał się ponownie do Szury i stale dotrzymywał mu towarzystwa.

Pewnego popołudnia wszyscy spożywali w skupieniu ducha podwieczorek na werandzie. Bazyli przeglądał grubą plikę dzienników, świeżo odebranych z poczty. Mruczał pod nosem wyrazy zachęty czy nagany politykom i rządowi, czasem odczytywał na głos jakiś dłuższy ustęp, słowem, dzielił się z „dzieciarnią” wrażeniami. Zwracał się przeważnie do Szury, jako do starszego wśród reszty towarzystwa, w równej atoli mierze przeznaczając cenne swe wywody Michasiowi. Pilna uwaga chłopca nie mało pochlebiała Bazylemu wewnątrz,

„Niech diabli tę Anglję!" zakrzyknął. Znowu wyprowadziła w pole Niemcy z koleją bagdadzką. Domyślasz się, oczywiście, Szura, że i Francja w tem rączki maczała... zawsze jednak sprytni są ci brytowie, — ani słowa."

„A Rosja co na to?" odezwał się Szura od niechcenia.

„My? Cóż nas to wszystko obchodzi?" zdziwił się Bazyli. „My sobie na boczku, neutralni. Niech się czubią, dla nas jeszcze lepiej..." zmrużył lewe oko zironją przebiegłą.

Michaś nie umiał ocenić całej wagi sprawy kolei bagdadzkiej, ukrytym dlań pozostał cel tych zabiegów i machinacji dyplomatycznych. Był w tem inny punkt, który go szczególnie interesował. Darmo wyteżał słuch. Bazyli nieraz już rozważał różne zagadnienia doniosłości europejskiej, nigdy jednak, ani razu, nie wspomniał o Polsce.

Zdobył się na odwagę, i, wybrawszy chwilę, gdy Bazyli mieszał łyżeczką w szklance herbaty, zapytał: „A czy Królestwo Polskie co do tej kolei bagdadzkiej także trzyma z Anglją?"

Bazyli rzucił łyżeczkę, wytrzeszczył oczy i parsknął. Szura się uśmiechnął i czytał dalej powieść Gustawa Aimara.

Chłopak się zaczerwienił. Czemu się ten Bazyli śmieje? Czy on co głupiego powiedział?

„Ależ, mój Michasiu," rzekł wreszcie Bazyli dobitnie. „Polski dawno już niema."

„Jak to? Gdzież się podziała?!"

„Gdzie się podziała? A podzielono ją sto lat temu pomiędzy Austrię, Rosję i Prusy.”

„Kiedyż tata mówił, że Królestwo Polskie jest, w Rosji, czy co,” bronił się chłopiec zupełnie oszołomiony.

„Twój ojciec ma słuszość. Większa część waszej Rzeczypospolitej należy do Rosji, tylko żadnego państwa polskiego niema. I nie będzie!” oświadczył Bazyli tonem nieomyślnej powagi politycznej. Dlaczego Polskę podzielono? Bo nie umiała się rządzić,” pouczał z namaszczeniem. Szlachta wasza wojska nie chciała utrzymywać, podatków nie płaciła, z króla zrobiła lalkę malowaną... Złotej wolności, Rzeczypospolitej zachciało się im! — ot i pokazano im wolność i rzeczpospolitą! Nasza miłościwa cesarzowa Katarzyna II-a umówiła się z królem pruskim; Austrii pogroźono, że figę dostanie. I rozebrali Polskę. Prawie bez wojny... Nieżyły figiel, co?” śmiał się Bazyli chępliwie. „A wszystko dlatego, że się polacy kłócili pomiędzy sobą, każdy chciał rozkazywać, a nikt nie chciał słuchać. Szlachta!... Szlachta powinna swego cara czy króla słuchać, jak Boga. Tak, jak my, szlachta rosyjska. Przy Tobie, Carze Samowładny, stoimy i stać wiernie chcemy. Bo to jest misja nasza historyczna,” napawał się swą mądrością Bazyli.

Ale Szurze dokuczyła przemowa starszego brata. Prędko, jak zwykle, walnął pięścią w stół: „Dosyć, Bazyli. Rzuć do diabła tę przeklętą politykę. Wiecznie to samo. Chwili spokojnie poczytać nie można — gada i gada nad uchem.”

„Dlaczego?” uśmiechnął się Bazyli. „Ty, braciszku.

nie lubisz polityki, boś jeszcze zielony, nic się na niej nie rozumiesz. Co innego ja. Czytam gazety różnych kierunków, rozmawiałem nieraz z wielu tęgimi statystami. Żebyś wiedział, że się często w zupełności godzili na moje zdanie. Nasz powiatowy marszałek, naprzykład, mówi to samo, co ja."

„Raczej ty powtarzasz to, co od niego słyszałeś!" przyciął Szura złośliwie. „Zresztą, daj mi święty spokój!" i zatkawszy sobie uszy pięściami, pochylił się znowu nad książką.

„Eb, ciemnota," mruknął z ubolewaniem Bazyli. „Tjczyby was jeszcze. No, na mnie czas. Trzeba pojechać na folwark, bo te chamy tylko patrzą, żeby oszukać pana lub zbijać bąki. Za co im właściwie tę wolność podarowano? Zuch z ciebie, Michaś. Kiedyś jeszcze pogadamy."

Po herbacie chłopak poszedł nad staw. Położył się na brzegu i myślał, patrząc na wodę, leniwie drzemiącą w słońcu. Tyle posłyszał nowin wstrząsających, niespodziewanych. Najprzód, że Polska przestała istnieć; dalej, że była nieporządna, słaba. Przyszli wrogowie i każdy, wziął, co mu się podobało. A Polska na to nic, da⁷a się podzielić. Gdybyż Michaś był wtedy. Oho! On by się nie dał! kopałby nogami, bił, czemkolwiek, coby mu się pod rękę nawinęło, strzelałby z fuzji, a nie dał!

Przykre, zjadliwe rozczarowanie. Dotąd chlubił się jakoś, że nie jest, jak inni, jak rosjanie, że jest czemś lepszym, sławniejszym, będąc polakiem. A teraz?... I nikt mu nic nie powiedział. Pewno dlatego pan Kamiński

gniewał się i klął na moskali, przypominał, jak przez sen. Dzieci przezywały go lachem, jakby to było rzeczą brzydką i złą.

Wstydził się prawie, że jest tym Jachem, synem niedołęznego kłótliwego narodu, co się tak łatwo pozwolił zabrać. I nawet się nie bronili! — pomyślał z zaciekłością. Trudno, — on już się tak urodził, więc polakiem być musi, tylko nie będzie się tem więcej przechwalał. O nie!

Ale jak się to stało? medytował, hamując się w gniewie pomstliwym. Cisnął z rozpędem do stawu płaski kamyczek, że aż trzykroć się odbił od powierzchni wody, nim zatonął... Przecież i ojciec, i pan Kamiński opowiadali, że Królestwo Polskie było wielkie i sławne, że polacy nigdy się moskaliTT-e bali... Pomędzy ich słowami a Bazylego zachodziły, mimo niedomawiań rodziców, liczne sprzeczności. Trzeba pomówić jeszcze z Bazylim, rozpytać go. On widać dużo wie i rozumie się dobrze na polityce.

Zaczem, nękany zwątpieniami, chłopak pobrnął z gorączką do ogrodu na maliny.

Sposobność do bliższej rozmowy z Bazylim, ciągle objeżdżającym folwarki i pola, nadarzyła się dopiero w kilka dni później.

Ogrodnik spostrzegł, że stado wędrowne kawek zatrzymało się na nocleg w północnym skrawku parku. „Wartoby je przepłoszyć, paniczu; inaczej nie dadzą wam spać.”

Po kolacji Bazyli wziął dubeltówkę, nabitą śróteni i, w towarzystwie Michasia, wyruszył na poszukiwanie głównego legowiska najeźdźców.

Schodzili ze stromego stoku, kierując się wzdłuż brzegu mokradła. W mroku nocy bezksiężycowej drzewa zlewały się w czarną, zplątanań haszcz konarów. Zdańa dolatywało słabe pokrakiwanie kawek, budził się szelest niespokojny gałęzi i liści.

Krótką, barczystą postać Bazylego ginęła w ci. mności. Zaledwo połysk luf zarzuconej przez ramię strzelby zdradzał niekiedy jego obecność. Wówczas, gdy zwracał się do Michasia, czerwony punkcik rozpalającego się papierosa rzucał nań lekką łunę, w której wynurzały się na okamgnienie rysy jego twarzy. Potem mrok stawał się gęstszy jeszcze, prawie namacalny.

Mówiąc, mimowołi zniżali głos, aby nie spłoszyć ptactwa przedwcześnie, czy też aby u sanować ciszę zasypiającego gaju. Michaś starał się nie pozostawać w tyle, wyteżając równocześnie w^Tzrok, by nie wpaść do jakiej dziury.

„Bazyli,” zaczepił nieśmiało towarzysza.

„No?” mruknał tamten.

„A czy moskał i lach to są obrailiwe słowa? Niewoliło ich używać? Skąd one się wzięły?”

„Lachami lud ukraiński nazywa polaków. Nic w tem złego niema. Tak samo moskał, — pochodzi oć Moskwy. Dawniej przed wiekami inaczej nie mówiono.”

„Bazyli, czy to prawda, że Królestwo Polskie było wielkie i sławne?” zdobył się wreszcie chłopak na odwagę.

„Owszem, kiedyś Polska była dosyć potężnem państwem.”

„I sięgała aż do Wasinek?”

„Sięgała," dobrodusznie zgodził się Bazyli. „Inna rzecz, że nigdy nie dorównywała potęgą, ni chwałą Rusi Świętej, naszej macierzy. Nikt na świecie nas jeszcze nie pokonał! Wielkim geniuszem był Napoleon: całą Europę z sobą przyprowadził, do Moskwy doszedł — i cóż? Spaliliśmy Moskwę razem z francuzami, i musiał zmykać, aż się kurzyło. Całej jego Europie daliśmy łupnia, jak się patrzy."

„To było w 1812-ym roku; ja czytałem," wtrącił Michaś skromnie.

„Czekaj, kawki muszą być gdzieś w pobliżu... nie widzisz?"

W pośpiechu jednak nadepnęli na stos suszaku, — echo powtórzyło donośnie trzask złamanych gałęzi. Czuje kawki zerwały się z trwożnym krakaniem i poleciały na inny koniec gaju.

„Czort! Licho ten suszak nadarzyło!" zaklął Bazyli. „No trudno; odnajdziemy je pewno koło starego dębu. Nie uciekną!..." Po paru minutach milczenia: „O coś pytał?"

„A czy polacy też wojowali z Rosją?"

„Polacy? — Phi, były tam kiedyś wojny, aleśmy zawsze dali wam w skórę," rzucił niedbale Bazyli.

„Zawsze? A polacy Moskwy nie zawojowali w 1812 roku? zaperzył się Michaś.

„Błaga, nie wierz, Michasiu."

„Jakto błaga!" oburzył się chłopiec. „Sam czytałem w rosyjskiej książce. Tam było jeszcze, że Marynę Mniszek koronowano w Moskwie na carową."

Bazyli pykał z papierosa. Odezwał się po dłuższej chwili.

„Patrzcie go — taki knot, tyle już czytał. Racja, czasem się udało i lachom, — to jest polakom — nie obrażaj się, Michasiu!” poprawił się żartobliwie. „No ale wkońcuśmy was pobili i zabrali.”

Papieros się rozżarzył, czarna surowa sylweta dubeltówki zarysowała się nad głową Bazylego. Ponure i milczące gromadziły się pnie drzew. Wkroczone na wilgotną łączkę. Ziemia się ugiwała i cmokała pod stopami. Trochę się rozwidniło.

„Tak. Kawki napewno są koło starego dębu.”

Po chwili znowu otworzył się przed nimi mrok nieprzejrzany nocy i boru.

„Rzeczywiście, niema chyba narodu, któremubyśmy się nie dali we znaki,” podjął z zadumą Bazyli. „Biliśmy Niemców, Francuzów, Anglików, Chińczyków nawet. A najwięcej Turków...”

„Wiem, Skobelew!” nie wytrzymał Michaś.

„Racja. I to wiesz? A przed nim Suworow. On i waszym sadła gorącego zalał pod Pragą. I pod Maciejowicami;” prychnął nosem wesoło.

Jakiś cień obrazy poruszył się w chłopcu. — No, ale, jeżeli to jest prawdą, Bazyli nie winien. Wołał po-
minąć drażliwą kwestję. %

„Polacy też niegorzej od Rosjan bili Turków...”

„Któż taki?”

„A król Sobieski pod Wiedniem,” odparł z dumą.

„Sobieski był tęgi wódz, rzeczywiście. Tss! Cicho!”

Gaj rzedniał, wrzynając się cyplem w pola. Na samym skraju cypla stał ogromny, uschnięty dąb. Kawki istotnie wybrały sobie ten cypel na nocleg. Słychać było szmer gałęzi, słabe, senne pokrakiwanie i trzepot licznych skrzydeł.

„Tam, tam, Bazyli!” szeptał ze wzruszeniem Michaś, w którym zbudziły się nagle instynkty myśliwskie.

Bazyli wymierzył w skrajne drzewo, którego wierzchołek chwiał się pod ciężarem ptaków. Huknął strzał, powtórzony trzykrotnym echem. Z wrzaskiem przeraźliwym zerwała się czarna zgraja. Bazyli wypalił z drugiej lufy. Parę kawek spadło, reszta z piekielnym krakaniem pociągnęła przez pola, wdał od niegościnnego gaju.

Michaś wracał, jak upojony. Huk i błyski strzałów, krzyki ptactwa i kawki spadające, jak kamień... wszystko to wprawiło go w stan niezwykłego podniecenia. Krew szumiała radośnie w żyłach. Oczy płonęły... Ach, gdybyż miał strzelbę!

Wracali, głośno rozmawiając o przygodach polowania. Michaś opowiadał, przerywając sobie co chwila: „prawda, Bazyli?” I Bazyli skromnie przytakiwał temu, jak to on świetnie, choć pociemku, wymierzył, i jak postrzelił moc tych kawek obrzydliwych.

XXVI.

Michaś nieraz myślał o swych rozmowach z Bazyliem. Pocieszał się wprawdzie trochę tem, że polacy zdobywali kiedyś Moskwę, a pod Sobieskim zwyciężali pod Wiedniem — sam Bazyli to przyznał, nie mniej zawód był dotkliwy. Najbardziej go bolało to, że się polacy dali tak łatwo opanować. Chwilami budziły się w nim wątpliwości. Czy aby to wszystko prawda, co mówił Bazyli? Z początku przecież nie chciał powiedzieć, że polacy byli panami Moskwy w 1812-ym roku...

Myśli te nie dawały chłopcu spokoju. Tyle rzeczy chciałby zbadać, wyświecić. Dziś, po upadku świetnego ideału potężnej i bohaterskiej Polski, gdzieś przecież trwającej, znalazł się w dziwnie bolesnej rozterce. Stracił dawną prostotę i pogodę wiary, że być polakiem jest dobrze i pięknie.

W niedzielę herbatę podano na werandzie. Stara ciotka krzątała się koło kredensu w sąsiednim pokoju, Bazyli z powagą przeglądał dzienniki. Chłopcy czytali, każdy inną powieść J. Yerne'go.

„Mam z tobą do pomówienia, Michasiu,” rzekł Bazyli, odkładając gazety.

I

„Chłopak podniósł głowę zdziwiony. Bazyli mówił z namaszczeniem, lecz bardzo życzliwie.

„Wiesz, podobasz mi się. Chciałem ci dać jedną dobrą radę. Jesteś rozumny chłopiec, lubisz czytać, pewno będziesz s'ę dobrze uczył. Masz drogę otwartą do świetnej kariery. O ilebyś wolał wojsko, wstąpisz do szkoły junkierskiej, potem do Akademji i za lat kilkana'cie możesz zostać generałem. W razie wojny, znajdzie się zawsze okazja do odznaczenia, mógłbyś stać się sławnym wodzem...”

Michasiowi aż oczy rozbłyły. I to Bazyli, dorosły mężczyzna mówi do niego. Kto wie, czy to ni« prawda.

„Gdybyś wybrał służbę cywilną," kontynuował Bazyli, „mógłbyś . ministrem zostać. Łaska cara wszystko może, zasługi u niego nie przepadną. Obdarzyłby cię orderami, rangą, tytułem, hrabią naprzykład, miałbyś pensję sutą...'

Hrabia, minister... widocznie są to ważne posady, skoro tak mówi Bazyli. Pensja bogata, ordery... Pewnie, że to nieźle...

„Ale ja wolę być generałem," zakończył głośno tok swych myśli.

„A więc bądź generałem," przystał wspaniałomyślnie Bazyli.

Szura, zainteresowany rozmową, odsunął książkę i przysłuchiwał się z boku.

„A co trzeba zrobić, aby się to stało?" — Chłopak się zarumienił, chrapki mu drżały z wzruszenia.

„Widzisz, Michasiu, ja mam już cokolwiek doświadczenia w życiu," nadał puchą policzk" Bazyli, „ocierałem się nieraz o grube ryby polityczne — i od nich słyszałem O wielu podobnych wypadkach. Jestem przekonany, że usłuchasz mnie po zastanowieniu/'

„No i co mam zrobić?" niecierpliwił się chłopak.

„Odrazu nic się nie staje. Musiałbyś sporo się napracować. Ale, przedewszystkiem, trzeba zmienić wyznanie. Co ci po tym katolicyzmie, Michasiu? Rzuć go! Przyjmij naszą wiarę, prawosławną."

Michaś nie rozumiał.

„Jakże ja mogę być prawosławnym, kiedy jestem polakiem?"

„O to właśnie chodzi, rzeki z wyższością Bazyli. „Trzeba, żebyś się stał rosjaninem z ducha i wiary. Jaki tam z ciebie polak! W domu mówicie po rosyjsku, po polsku pewno nie rozumiesz."

„Owszem, nawet czytam i piszę!" zaprotestował Michaś.

„Mniejsza o to. W każdym razie rozmawiasz zwykle ~~W~~ rosyjsku, żyjesz wśród rosjan. — zmień tylko religję i będziesz naszym, ruskim człowiekiem. Powiadam ci, Michaś."

„Racja," poparł Szura, który dotąd wcale się nie odzywał. „Wolałbym, żebyś z nami był; łubie talach zuchów, jak ty."

„Zresztą, czy nie wszystko ci jedno, do kościoła chodzić, czy do cerkwi? Jak nie zechcesz, nigdzie nie pójdziesz," śmiał się Bazyli, „bylebyś prawosławje przyjął."

Chaos najsprzeczniejszych uczuć opanował chłopca, Olśniewająca droga godności i zaszczytów. Sława!

Uśmiechnął się na myśl o podziwie zazdrosnym, z jakim przywitaliby jego wyniesienie koledzy i dzieci z podwórza. Z wdzięcznością spojrzął na Bazylego. Ostatecznie... polaków pobito i zwyciężono, Polskę rozebrano — niema jej. A Rosja jest, potężna i wielka. Jaka szkoda, że się nie urodził rosjaninem. Do kościoła i tak nie bardzo Inbi chodzić.

Ciemny jakiś wyrzut wstawał zarazem z dna duszy. I niepokój. Jak gdyby miał coś złego popełnić. Wahał się. Diuna się poruszyła. — Cóż to? Czy on jest czemś gorszeni od Bazylego i Szury? On polak, oni rosjanie — i już. I co to właściwie znaczy: zmienić wyznanie?"

„A polak nie może być ministrem, czy jenerałem?"

„O nie!" odparł Bazyli. „Polacy nie mają praw. Choćby i najzdolniejszy, nie zajdzie daleko."

„Dlaczego?" Chłopak czuł się nieco upokorzony.

„A za to, że się buntowali. Polskę sobie chcieli odbudować z powrotem. Ot i dano im Polskę!" szydził Bazyli.

Nie podobał się Michasiowi głos Bazylego. Brzmiała w nim pogarda i zadowolenie złośliwe. Inna rzecz wszakże uderzyła go w tem nadewszystko... Polacy dobrowolnie się nie poddali — nie byli więc tchórzami!

Spadł mu ciężar z piersi. Hańba nikczemności, niedołęstwa polskiego malała, ustępowała. Odetchnął.

„Więc polacy wojowali, opierali się, gdy ich chciano podzielić?"

„Jeszcze jak! Wasz Kościuszko nie mało naszych wyrzwał w Warszawie. Za to Suworow spalił wam Pragę i dobrze tam pohulał. A Kościuszkę wzięto do niewoli rannego pod Maciejowicami. Potem w 1830-ym roku znowu zrobili powstanie.”

„Aha! to pan Kamiński o tem opowiadał!”

„Pan Kamiński? Zawzięty lach. Nie **ręczyłbym**, czy sam w powstaniu nie był. Mówił ci pewno o ostatnim waszym buncie z przed trzydziestu lat?”

„A jak on się skończył?” domagał się chłopak w dziwnym zamieszaniu i podnieceniu.

„Jakże się miał skończyć?” Głos Bazylego nabrał ostrych, zimnych tonów zwycięzcy. „Buntownicze wyplemię — lachy! I nierozsądne. Sami, przeciw trzem najsilniejszym mocarstwom Europy! Jestże w tem jakiś sens? Rozbito was, wystrzelano, wywieszano, tysiącami na Sybir gnano. Słusznie. Tak i trzeba... Tu w okolicy nawet znam wiele majątków skonfiskowanych. I co wybrali?”

Żal, oburzenie i duma radosna kolejno zmagaly się w sercu Michasia. Widać, że bardzo byli Polacy waleczni, i wcale nie tchórze, jeśli sami szli przeciw trzem państwom. Nic dziwnego, że ich pokonali silniejsi. W tem hańby niema. Każdy najmniejszy chłopak z podwórza to przyzna. Za co jednak ich wieszano i karano? Przecież bronili swego kraju, swej własności, którą im Rosja zabrała?

Bazyli drwił. „Mój Michasiu, takie już prawo na świecie. Skoro Polskę podbito i przyłączono do nas, powinni polacy siedzieć cicho i słuchać, co im każą. Ina-

czej są buntownikami. Za to wła nie im'wszystkie prawa odebrano. Zresztą poco o tem gadać. To już dawno mi-
nęło. Chciałem ci tylko poradzić. Wierzaj mi, Michasiu,
żebyś daleko zaszedł. Mówię ci, że sto razy lepiej być
rośjaninem."

Znowu wróciła pokusa, ofiarująca bogactwa, honory,
zaszczyty. Od matki słyszał nieraz, że wszystkie narody
są równie dobre. Nikomu na tem nie zależy, czy on bę-
dzie polakiem, czy rosjaninem. A jemu będzie lepiej.
Inaczej nigdy jenerałem ani ministrem nie zostanie.
Nie iść do kościoła... Ale do cerkwi też by nie chodził.
Bazyli mówi, że tak wolno.

Znowu chaos i zamęt miał w duszy. Wyrzec się
swoich, uznać, że polak jest niższą, lichszą istotą od
rosjanina?... Urodził się przecież polakiem, więc jakże
z tem będzie?

Wieszali, zsyłali polaków — za co? Za to, że wal-
czyli, że nie byli tchórzami? Matka go uczyła: zawsze
broń słabych, pomagaj uciemiężonym. A on miałby
popierać silniejszych, wstydzić się, kryć z tem, że należy
do tych samych, gnębionych polaków?

A gdyby ktoś napadł na Dadźka? On, Michaś, nie
patrzyłby, czy ten napastnik jest mocniejszy. Skoczyłby
na wroga i grzmocił do ostatniego tchu!

Przyjąć prawosławje, to znaczy prosić rosjan, jak
o zmiłowanie, żeby pozwolili z łaski chodzić do cerkwi.
Czyż kościół polski jest gorszy?

Michaś łamał się z nawałnicą myśli. Każde wzru-
szenie łuną wstydu, bladością goryczy, ogniem gniewu

odbijało się na jego twarzyczce. Tak ciężkiej obwili nie doświadczył jeszcze w życiu. Świetna wizja munduru i szlif jeneralskich, orderów, konia, żołnierzy... z drugiej zaś strony tysiąc oburzeń, wątpliwości i zniewag.

Bazyli, przeglądając niby gazetę, obserwował Michasia z pod oka.

„Cóż, namyśliłeś się? Zgoda? Oczywiście! Zostaniesz rosjaninem. I ja się naszej świętej Rusi-macierzy przysłużę, pozyskując jej nowego, zdolnego sługę;” ze skromnością udaną mówił Bazyli.

Szura z ciekawością oczekiwał na decyzję Michasia.

„A czy te okolice należały do Polski?” zapytał nagle zamiast odpowiedzi.

„Należały, owszem. Zresztą,” dodał Bazyli z przelotnym grymasem lekceważenia, „jeszcze nasz dziadek był Jachem, i to zaciętym. Nawet trochę w powstaniu maczał ręce. Połowę majątków stracił, ledwie uratował drugą. I cóż wskórał? Gdyby siedział spokojnie, byłby nam całe dobra zostawił.”

Michaś słuchał, dziwił się i, żując niewyraźne, mgławicowe jeszcze postanowienia, rozważał: za cóż to Bazyli z Szura chwałą rosjan? Zabrali ich dziadkowi połowę majątku, a oni, wnukowie, stali się rosjanami!”

„A gdyby ktoś bardzo, bardzo mocno w twarz Bazylego uderzył? Czy Bazyli nie oddałby mu z nawiązką V

Bazyli spłonął gniewem. „Zastrzeliłbym, jak psa, na miejscu albo na pojedynek wyzwiał! Niemądre pytanie, zresztą,” rzeki wyniośle, i nic nie ma do rzeczy.”

Ale Michaś już znalazł swoją myśl, już ją trzymał i nie puszczał, by mu nie uciekła.

„Więc jakże, Bazyli. Rosjanie byli silniejsi, napadli wraz z Niemcami na Polaków i Bazyli chciałby jeszcze, żeby ich Polacy przeprosili i stali się Rosjanami, jak wy? A podług mnie, to wstyd. Nigdy tego nie zrobię, i ojciec wasz nie powinien był tego robić. Za to, że jego dziadkowi ziemię zabrano. Urodziłem się i zostanę Polakiem. A tonie, że po polsku nie mówię, nauczę się! Ot co!” i wstał od stołu wzburzony.

„Patrzcie, jakie harde lasze!” gwizdnął Bazyli ze zdumieniem.

„Szkoda, że nie chcesz być Rosjaninem. Mnie tam reszta wszystko jedno. Zuch jesteś!” oświadczył Szura męskim swym barytonem.

Ledwo podziękowawszy za herbatę, Michaś, drżąc ze zdenerwowania, popędził do parku. Chodził po alejach, zarośniętych trawą, wśród ścian grabów i klonów, rozprawiając z sobą półgłosem.

„To tacy są ci Rosjanie! Nie wiedziałem o tem. Zagarnęli nasz kraj i żadnych nam praw nie dają... I ten Bazyli. Wychwalał, wychwalał czem to mógłbym być... Po to, że bym się stał Rosjaninem, Akurat! Niedoczekanie wasze. Zapomnieli nawet, że ich dziadek był Polakiem, że im też dużo ziemi odebrano. Podlizują się Rosjanom, i mnie chcieliby namówić. Aha, właśnie!” śmiał się z szyderczym naigrywaniem.

⁴Opadła fala wzburzenia. Została pustka i uczucie jakiejś urazy głębokiej, prawie niechęci do całego oto-

cienia. Jak gdyby się znalazł nagle wśród ludzi zupełnie mu obcych, mimo ich życzliwości dla niego. Miał wrażenie, że część przewin Rosji względem Polski spada również na jego gospodarzy. I pan Kórnicki, szlachcic, musiał być dawniej polakiem, a zapomniał o tem i po polsku nie mówi. Przypomniał sobie Olesię i do tęsknoty, że jej nie zobaczy, przymieszał się delikatny, nieuchwytny żal, wyrzut... Ona jest rosjanką, więc i ona wraz z braćmi należy do obozu nieprzyjaciół Polski. I na to nie było żadnej rady.

Na drugi dzień Michaś wymógł, żeby go odwieziono do państwa Kórnickich. Nie pomogły ani namowy, ani prośby Markowskich, którzy zrozumieć nie mogli przyczyny jego uporu i nagłej ochoty do wyjazdu. Osłabły wprawdzie rozgoryczenie i niechęć pierwszych chwil, ale uczucie przykrej obcości zostało.

Zimno przywitał państwa Kórnickich, uradowanych jego powrotem. Włóczył się z kąta w kąt i nudził. Potężnym głosem przemówiła tęsknota za rodzicami, dotąd przytłumiona, słabymi odzywająca się tylko echem.

Dość już tej wsi, tych zabaw, dość tych ludzi, choć gościnnych i sympatycznych. Jemu potrzeba serdeczności gorącej, pewnej, jedynej. Rzucić się ojcu na szyję, przygarnąć do piersi matce! Wiedzieć i czuć, że miłość ich jest głęboka, prawdziwa i niezawodna, że miłość ich nie kryje w sobie ziarn zniewagi, ubliżenia, ni złego posmaku boleści.

Napróżno usiłowali państwo Kórniccy zatrzymać, rozerwać chłopca. Dzień w dzień nudził o konie i odesłanie go do

domu. Kórnicy przywiązali się do Michasia, jak do własnego syna, tembardziej, że dzieci własnych nie mieli. Gdy jednak na zapowiedź pana Szczepana, że zostanie jeszcze na parę tygodni, sposepniał, przestał prawie rozmawiać i stracił nawet apetyt, musiano ustąpić i wyznaczono dzień wyjazdu.

Humor Michasia poprawił się odrazu. Poweselał, ożywił się. Poczł coś nakształt wyrzutów sumienia, widząc, jak ciocia zcicha popłakuje po kątach, krzycząc, dla niepoznaki, bez żadnego powodu na służbę. I pan Szczepan chodził, jak struty, pokręcając melancholijnie długiego wąsa. Oksana także żałowała, że panicz jedzie.

„Wszystkim było weselej z paniczem,” mówiła, Ucierając energicznie nos fartuchem.

Michaś czuł, że polubił tych skromnych a szczerých i dobrych ludzi; szkoda mu było ich opuszczać. Na samo jednak napomknięcie o odroczeniu wyjazdu tak się nasrożył, że ciocia zaniechała wszelkich dalszych prób w tym kierunku.

Ostatni dzień zeszedł smutno. Państwo Kórnicy pojechali oboje odprowadzić Michasia. Chłopakowi droga się strasznie dłużyła, wyglądał z upragnieniem, kiedy nareszcie pokaże się szary gmach stacji kolejowej. Niecierpliwił się, że tak wolno jadą, że gotowi jeszcze się spóźnić na pociąg.

„Tak ci, chłopcze, spieszo od nas, jakbyś się djabłu wyrwał z paszczy. A przecież, zdaje się, wszystkośmy robili dla twej przyjemności!”

Michaś zawstydził się i pocałował ciocię w rękę.

Marzył, jak to będzie, gdy przyjedzie do domu. Uściśnie rodziców, mamusia się napewno rozpłacze, uściska Dadźka, i wybiegnie na podwórze powitać znajomych. Kolusiowi opowie przygody wakacyjne. Z łękiem rozkosznym rozpamiętywał, że wkrótce pójdzie do gimnazjum. Wybierze sobie wśród kolegów przyjaciela — zucha, jak on, będzie uczył się, w każdym razie nie gorzej od innych.

Szerokie i czarujące zarysowywały się obrazy nowego życia. Przez to lato tyle dowiedział się i przeżył... Zarmienił się zlekka na wspomnienie Olesi. O niej nikomu nie powie ani słoweczka, nawet Kolusiowi. Odezwała się cicho tęsknota i roztopiła, wsiąkła gdzieś w nawałę nowych, ponętnych nadziei i wrażeń... Mignęły mu się postacie Markowskich. Zrobił wysiłek, by o nich za- _ *
pomnieć. I jakoś mu się to udało.

Droga rozwijała się z nużącą jednostajnością. Pola żłte, pokryte setkami kop, wioski białe i stawy szarobłękitne. Wtem wzniosła się stromo regularna, prawie ścięta w tarasy, linja wzgórków trawiastych.

„Ciociu, co to jest?” I wykrzyknął, przerywając jej: „Ach! to polskie wały!”

Patrzył — i dawne uczucie odżyło z ponowną siłą, głębsze tylko i boleśniejsze. Przypomniał sobie rozmowę z Bazyliem, chwilę pokusy i wahań, zawodu i żalu, że się urodził polakiem. Gorzkie, jak piołun, uczucie wstydu... Patrzył skruszony.

Odległa, smutna i wielka, nieznana mu bliżej, a droga przeszłość szła do niego od tej poważnej, wysokiej i długiej, długiej ściany polskich wałów granicznych, i, jak

krw żywa z rany, trysnęła dumna świadomość sławy minionej i wiara w przyszłość.

Patrzył z przywiązaniem synowskim i wzruszeniem na ten widomy znak polskiej potęgi, polskiej ziemi.

Przypomniały mu się złe, szydercze słowa Bazylego...

Z główką, hardo do góry zadartą, Michaś wymówił, jako przysięgę niemal i wiary wyznanie niezłomne —
lai zdumieniu bezgranicznemu państwa Kórnickich —
wymówił głośno, patrząc na stare polskie wały graniczne:

„A jednak Polska będzie!”

KONIEC.

y

